





B. H. Stowe.

BIALI I CZARNI.

Obrzy z zycia

PÓLNOCNÉJ AMERYKI

(Z Angielskiego.)

TOM I.

KRAKÓW

NAKŁADEM JULIUSZA WILDTA.

—
CZCIONKAMI CZASU.

—
1858.



ARTYSTY J. H. 808

P. J. Stowe.

BIALLI I CZARNI

Chicago - 1852

POKROCIŁ AMERYKI

(2. wydanie)

BIBLIOTEKA
BN
NARODOWA

I 1.567.279

KRAKÓW

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001020081285

1987 k 746/98a

Rozdział I.

PANI NA KANEMIE.

— „Rachunków chcesz Harry? — Tak jest Pani. — A, mój Boże, gdzież! one się też podziały? — Może tutaj! — Nie — Może tam? — O, patrzajno. Jak ci się zdaje ta szarfa? Prawda że śliczna?

— Prześliczna, Mis Nino, ale....

— Ach, te rachunki! Przecież one tu muszą gdzieś być — może tu — może w tém! pudełku — A, nie — to mój kapelus. A co? jak ci się podoba? Czy nie znajdujesz, że ten bukiet srebrnych pszenicznych kłosów jest bardzo piękny? Muszę ci się w nim zaprezentować.

I z temi słowami, maleńka, lekka postać, podskoczyła jakby na skrzydłach się unosząc, a nucąc z cicha melodyą jakiegoś walca, i tańcząc przed zwierciadłem, włożyła mały, filigranowy kapelusik na śliczną główkę, i wykręciwszy na samych końcach paluszków lekkiego pirueta, zapytała:

— „No, a co?“ —

O Harry! o cały rodzie mężczyzn! Najmądrzejszemu z was zawróciłby od razu głowę taki cudowny, taki powiewny, taki olśniewający zbiór loków, zausznie, oczu, ust i rumianych policzków.

Mała postać, która zaledwie dochodziła wzrostu Wenerę, a której okrągłe kształty świadczyły o bardzo

młodym, dziecinnym prawie wieku, odziana była w elegancki negliżyk z czerwono-żółtego muślinu, w którym jój bardzo było do twarzy. Negliżyk ten rozcięty był na przodzie, a z pod niego ukazywała się bogato haftowana spódnica i delikatny koniuszek najmniejszego może na świecie pantofelka. Jój twarz, należała do rzędu tych, które z powodu swój nieregularności stoją po za obrębem wszelkiej krytyki. Kręty, w nieregularnych kędziorach spadający włos, nadawał jój jakiś wdzięk właściwy, dziki, — ciemne oczy błyszczały i iskrzyły się jak kryształowe wisiory świecznika, — mały nosek zdawał się z uporem obstawać przy swém prawie zadzierania się do góry, — a brylanty błyszczące w jój kółczykach, i pływająca w powietrzu srebrna pszenica, którą jój kapelusik był ozdobiony, zdawały się pełne ruchu, życia i filutery.

— No, i jakże ci się to podoba? zapytał pełen życia głosek, taki właśnie, jakiego się z ust tak małej osoby spodziewać można było.

Młody człowiek do którego to pytanie było skierowane, był to mężczyzna przyzwoicie ubrany, z prawdziwie męską fizyognomią, mogący mieć około trzydziestu pięciu lat, z twarzą smagłą, z ciemnymi włosami, i z pięknymi, niebieskiej, głębokiej barwy oczyma. Coś odznaczającego leżało na jego wysokim, kwadratowém czole i w regularnych rysach jego twarzy, które zdradzały niepospolite zdolności. Kolor ciemno niebieskich jego oczu był tak mocny, że na pierwszy rzut oka czarnemi się wydawały. Na obliczu jego napiętnowaném silnie wyrazem poczciwości i rozumu, troska i nałóg głębokiego zamyślenia się, nie jedną już zmarszczkę wryły.

dziewam się jako jój przyjaciel, że Pani tój książki czytać nie będziesz. Straciłbym wszelki szacunek dla kobiety, któraby ją czytała.“

— A Pan czytałeś ją, Panie Klayton? zapytałam.

— Tak jest, Mis Nino, — odparł poważnie.

— A na co Pan czytujesz takie złe książki? zapytałam znów naiwnie.

Wtedy zaczęli wszyscy mówić i rozprawiać; panowie oświadczyli, że za nie w świecie niepozwoliliby swoim żonom i siostram czytać jakiegokolwiek książki lekkomyślnie napisanej; powiadali iż żądają abyśmy do świeżego śniegu podobne były, i dopóty mówili o tém, żeby nie pojęli za żonę kobiety, któraby to lub owo zrobiła, dopóki nie zbilam ich z tropu odzywając się nagle: Jesteśmy wam za to nieskończone wdzięczne, moi Panowie, ale i my kobiety postanawiamy również, nieoddać ręki nikomu, ktoby lekomyślnie książki czytał. Trzeba żebyście wiedzieli, iż świeży śnieg sadzy nie lubi.

Powiedziałam to bez żadnej dalszej myśli; — chciałam tylko trochę upokorzyć tych Panów, i nakazać im winne dla naszój płci uszanowanie; ale Klayton wziął to zupełnie na seryo; to czerwienił się, to bladł naprzemiennie, i był zły okropnie. Spór nasz trwał blisko przez trzy dni, i nareszcie zmusiłam go do tego, że się poddał, i przyznał, że nie miał słuszności. Ja także myślę, że on nie miał słuszności za sobą. Jakże się tobie zdaje? Czyż sądzisz, że mężczyźni nie powinni być równie dobrzy jak my? —

— Ja myślę Mis Nino, że Pani sama musiałaś się przestraszyć własnych słów tak stanowczo wyrzeczonych. —



— Oh, mogłoby to być, gdyby mię którykolwiek z was choć odrobinę obchodził; — ale w całym waszym rodzaju nie ma ani jednego, za którego bym dała choć tyle! — I to mówiąc, pełną garść łupin z kasztanów wyrzuciła w powietrze.

— A jednak, Mis Nino, prędzej czy później, będziesz Pani musiała iść za męża. Pani potrzebujesz kogoś, co by miał staranie o jej majątku i posiadłościach. —

— Ah! tak to!? To ci się już sprzykrzyło prowadzić rachunki z pieniędzy które ja wydaję!? O, ja się bynajmniej temu nie dziwię. Mnie tak żal każdego kto się musi zajmować rachunkami. To okropna rzecz, te straszliwe książki; nieprawdaż Harry? Wystaw sobie, — raz pani Ardaine przyszło do głowy, że my dziewczęta, powinnyśmy utrzymywać rachunki z naszych wydatków. Próbowалам tedy tego przez czternaście dni, ale potem rozboleła mię głowa i oczy, i zaczęłam się obawiać, że sobie tém całkiem zdrowie zrujnuję. Powoli więc, cała ta historya poszła w zapomnienie, — gdyż rzeczywiście, to mię zanadto trapiło. — Bo wreszcie, proszę ja kogo, co za korzyść z tego wyniknąć może? Kiedy kto wyda pieniądze, no, to ich nie ma, i już niewróca, choćby niewiem jakie rachunki prowadził. Zresztą ja bardzo sumiennie postępuję z mojami wydatkami, i nie kupuję nic, bez czego się obejść mogę.

— Naprzykład, rzekł Harry trochę filuternie, — ten rachunek wynoszący 100 dolarów za same cukierki? —

— Ah, Harry! Ty przecie wiesz jak się to dzieje. To taka nudna rzecz uczyć się! Otóż my dziewczęta, potrzebujemy zawsze mieć przytém coś dla rozrywki. Zresztą ja sama tego wszystkiego niepotrzebowałam, — dałam

dużo i innym dziewczętom, — a przecież nie mogłam im odmówić kiedy mię o to prosiły, — i tak to jakoś stało się....

— Ależ ja mówiąc to, niemyślałam Pani żadnych uwag robić. A cóż tutaj znowu mamy?...Pani Les Cartes 450 dolarów....

— Ach! Ta okropna pani Les Cartes! Ty nie możesz mieć najmniejszego o nią wyobrażenia. Jam temu nie niewinna, — ale ona kładzie w rachunki takie rzeczy, których ja nigdy nie brałam, — ona z pewnością tak robi, a to wszystko na tej zasadzie, że jest z Paryża. Wszyscy się o to na nią skarżą, ale cóż robić, kiedy u niej tylko można dostać coś pięknego, gustownego. Już ja cię upewniam Harry, że jestem rzeczywiście oszczędna. —

Harry, który tymczasem wszystkie rachunki zesumował, wybuchnął na te słowa tak serdecznym śmiechem, że dziewczę zawstydzone umilkło i zarumienilo się po same uszy.

— Wstyż się Harry, rzekła nareszcie, za mało okazujesz dla mnie uszanowania!

— Na kolanach błagam Panią o przebaczenie, — odparł ciągle śmiejąc się jeszcze młody człowiek, — ale powinnaś mię Pani mieć za wytlómaczonego, gdyż to oszczędność Pani wprawila mię w taki stan zachwycenia. —

— No, mój Harry, — przejrzyj rachunki, to się najlepiej przekonasz. Wszystkie suknie jedwabne dla oszczędności dałam sobie ufarbować. Znajdziesz tam rachunek od farbierza. A pani Carteau zapewniła mi, że każdą z moich sukien będzie można przynajmniej dwa ra-

zy przenieć. — Nie, -- doprawdy, ja bardzo żyję oszczędnie.

— Ja jednak slyszalem, że czasami nicowanie starych sukien więcej kosztuje niż sprawienie nowych.

— Ach, pleciesz Harry! Co się ty możesz na kobiecych rzeczach rozumieć! Ale wiesz com kupiła? Oto złoty zegarek dla ciebie; oto go masz, — rzekła, rzucając mu z niechęcia małe pudeleczko; — a tam leży jedwabna suknia dla twojej żony. Ja wiem dobrze Harry, jak wiernego mam służbę w tobie. Wiem, że niemogłabym żyć tak szczęśliwie, gdyby nie twoje zabiegi i starania o utrzymanie tutaj wszystkiego w porządku.

Tłum sprzecznych uczuć zdawał się przeciągać po twarzy młodego człowieka, niby cień obłoków po polu, podczas kiedy odbierał podarunek. Ręce mu się trzęsły, usta drżały, ale nie wyrzekł ani słowa.

— Cóż Harry, podoba ci się? Ja myślałam, że cię tym bardzo ucieszę.

— Pani jesteś zanadto dobrą, Mis Nino!

— O nie, to nieprawda; ja jestem mała, egoistyczna osóbką, — to więcej niż pewna. — To rzekłszy odwróciła się, i udała iż nie spostrzega uczuć, które nim miały. —

— Ale prawda Harry, że to była śmieszna scena dzisiaj rano, kiedy nasi ludzie poprzychodzili po podarunki. Była tam i ciotka Sue, i ciotka Tike, i ciotka Kate, z których każda dostała sztukę materyi na suknię. Za trzy dni najdalej, całe grono będzie się pysznić w nowych sukniach i fartuchach. A widziałeś ciotkę Różę w czerwonym kapeluszu z kwiatami? Śmiała się tak, że jej można było wszystkie zęby porachować. Zoba-

uczysz, że je tu lada dzień napadnie z nienacka nabożeństwo, i pójda modlić się, żeby swoje stroje pokazać.... Czemu nie śmiejesz się Harry?...

— Ja się śmieję — czyż Pani niewidzisz, Mis Nino?

— Tak — ale ty się śmiejesz ustami, nie sercem. Co to znaczy?... Mnie się zdaje, że to nie dobrze dla ciebie, że tak wiele czytasz i uczysz się. Papa mawiał zwykle, że to niedobrze dla...

Tu zatrzymała się, przerażona wyrazem, jaki przybrała twarz młodego człowieka.

— Dla służącego, Mis Nino, nieprawdaż? Tak mówił ojciec Pani?

Obdarzona delikatnym taktem, właściwym całej płci swojej, Nina postrzegła, że poruszyła drażliwą strunę w piersiach człowieka wiernego, i zupełnie sobie oddanego; natychmiast więc, szczebiocąc ciągle po swojemu, zmieniła kierunek rozmowy. —

— Ej — doprawdy Harry, uczyć się to nieznośna rzecz, tak dla ciebie, jak dla mnie, jak i dla każdego, wyjąwszy starych mrukliwych ludzi, którzy już nie wiedzą co mają począć ze sobą. Któżby naprzykład miał ochotę uczyć się, widząc tak piękny dzionek jak dzisiejszy? Przypatrz się ptaszkom i pszczołkom! One się nie uczą — one żyją. Otóż widzisz, i ja nie będę się uczyć — chcę żyć. Każ założyć konie i jeźdź do lasu. Radabym mieć trochę jaszminu, konwalij i tego różnego kwiecica, którym nieraz tak się cieszyłam, nimem zaczęła chodzić do szkoły. —

Rozdział II.

KLAYTON.

Zasłona zapadła na poprzedzającą scenę, a oto ukazuje się oczom naszym cichy, spokojny pokój, przeznaczony na bibliotekę, oświetlony ukośno padającymi promieniami popołudniowego słońca. W jednej ścianie pokoju, wysokie szklane drzwi, otwarte na ogród, dozwalają wolnego przystępu powietrzu napelnionemu wonią bzów i róży. Podłogę pokrywa biała mata, a poduszki sofy, obleczone błyszczącą, gładką wełnianą materią, nadają pokojowi cechę świeżości, i niby chłód po nim rozlewają. Na ścianach wiszą najkosztowniejsze ryciny jakie sztuka europejska wydała, a brązowe figury i odlewy gipsowe, rozstawione kunsztownie i ze smakiem, świadczą o artystycznym zmyśle mieszkańca. Przy otwartych drzwiach siedzi dwóch młodych ludzi, przy stolczku, na którym widać staroświecki srebrny serwis do kawy, i podobneż talerzyki na lody i owoce. Jeden z nich znany już jest czytelnikowi z opisu naszej bochaterki. —

Edward Klayton, jedyny syn sędziego Klaytona, i reprezentant jednej z najstarszych i najznakomitszych rodzin północnej Karoliny, powierzchownie wielce był podobny do portretu skreślonego przez naszą młodą przyjaciółkę; był wysoki, szczupły, prawie chudy i zaniedbany pod względem ubioru, tak, że łatwo możnaby go było wziąć za gburę, gdyby pełen znaczenia i rozumu wyraz jego oblicza, nienadawał całej jego fizygnomii cechy pewnej wyższości. Górna część jego twarzy no-

siła na sobie piętno siły i głębokiej myśli, ocienionej melancholiczną zadumą, gdy tymczasem oczy jego zdradzały skłonność do hipokondryi. Usta jego miały w sobie coś z piękności i delikatności kobiecój, a uśmiech co czasami na nich zaigrał, ozdabiał je właściwym jakimś powabem; — był to uśmiech, który tylko na pół do tój męzkiej natury zdawał się należeć, bo nawet nieudzielał się oczom, i tylko pochmurny ich spokój mieszać się zdawał. —

Towarzysz Klaytona, pod wielu względami zupełny z nim kontrast stanowił. Nazwiemy go tutaj Frankiem Russel, i dodamy, że był jedynym synem, niegdyś nader znakomitęj i bogatęj rodziny z Wirginii, która jednak w skutek nieszczęśliwych okoliczności znacznie podupadła.

Wielu mniema, że się przyjaźń po większėj części na podobieństwie charakterów gruntuje, — ale bliższe spostrzeżenia pokazują, że ona daleko częściej zawijzuje się między całkiem przeciwnemi sobie naturami, które właśnie, jedną ku drugiej to najbardziej pociąga, czego jēj samęj brakuje. — W Klaytonie przeważną rolę odgrywały takie skłonności, co to zamykając człowieka w samym sobie, osłabiają zupełnie działalność jego na zewnątrz. Tém wyżej szacował on tęcz w Russelu czynne i praktyczne jego przymioty, prowadzące zawsze do jakiegoś skutku, który on wysoko cenił, ale do którego osiągnięcia, sam czuł się niezdolnym. Lekkość i wdzięk w obejściu, ciągła przytomność i trzeźwość ducha we wszystkich stósunkach towarzyskiego życia, zręczność w osiąganiu jak największych korzyści z każdego wypadku, rzadko są udziałem uczuciowych i głęboko my-

ślących ludzi, którzy właśnie dla tego, niezmiernie wysoką wartość tym przymiotom przyznają. Russel był to jeden z tych ludzi, którzy z wyższych zdolności tyle tylko posiadają, że są w stanie zdolności te w innych ocenić, — ale nie posiadają żadnej z nich w tym stopniu, żeby szkodzić miała ich praktycznemu usposobieniu, które rdzeń ich natury stanowi. Każda z jego zdolności, stała zawsze gotowa na jego zawołanie, i przychodziła mu zawsze w sam raz ku pomocy. Od dzieciństwa znany był z wrodzonego taktu i trafnych odpowiedzi; w szkole był jeneralnym faktotum; cała klasa nazywała go „dobrym chłopcem“; dowodził wszystkiemi szkolnemi swawolami, i zawsze umiał profesora gładziuteńko w pole wyprowadzić. Wydobył on Klaytona z niejednego kłopotu, w który go, jego surowa moralność i drażliwe uczucie honoru nieraz wtrącało; i dla tego Klayton mimo całej swojej wyższości, kochał go, i zawsze w pewnej zależności od niego zostawał. — Z drugiej strony bystry i zdrowy rozsądek Russela, niemógł niepoznać się na wewnętrznej Klaytona wartości; — a tak dwie te przeciwne natury: idealna i praktyczna, przyciągały się wzajemnie. —

Klayton więc i Russel byli sobie od dzieciństwa przyjaciółmi; będąc na kolegium, przez cztery lata mieszkali w jednym pokoju, i od tego czasu nic ani na chwilę niezamąciło ich wzajemnego stosunku.

Russel był średniego wzrostu, i silnego, elastycznego ciała, którego wszystkie poruszenia cechowała żywość i energia. Twarz miał szczerą, otwartą, — oczy jasne, niebieskie, a czoło wysokie, ocienione ciemnym, krętym włosem; około ust jego igrał uśmiech wesoly, któ-

ry czasami w sarkastyczny przechodził. Chociaż uczucia jego niebyły głębokie, jednak łatwe było do pobudzenia, tak, że Russel stósownie do usposobienia przyjaciela, mógł się albo do łez rozczulać, albo serdecznym śmiechem zanosić. Jednak współczucie to nigdy go nie unosiło tak daleko, żeby aż granice przyzwoitości przekroczył, lub żeby miał, wedle własnego jego wyrażenia, zapomnieć co winien sam sobie.

Ale za długo zatrzymaliśmy się przy tym opisie, i czas już aby czytelnik opisane osoby rozmawiające usłyszał. —

— No, i cóż ty na to mówisz Klaytonie, — rzekł Russel z cygarem w ręku rzucając się w wysłane, skórą obite krzesło, — co na to mówisz, że społeczność tak była na nas łaskawa, iż sama poszła swoją drogą, a nas zostawiła naszemu losowi? Powiedz mi mój kochany, co ty teraz porabiasz? Prawa się uczysz? co? — Oczywiście, żeby znów był sędzią: Klayton drugi. Wiesz co mój drogi, gdybym ja był tak szczęśliwym, żebym tylko potrzebował pójść w ojcowskie ślady, to już dawno byłbym wyszedł na człowieka.

— O, z największą chęcią pogadam z tobą o moich widokach na przyszłość, bo mi się zdaje, że ja niedaleko z nimi zajdę.

— A to dla czego? — Czy ci się niechce uczyć?

— I owszem, nauka idzie mi jak najlepiej, — tylko że ja praktyki nigdy nie polubię. Jest coś wzniosłego, wielkiego w owych teoryach: „Prawo wyszło z łona Bożego; — głos jego jest harmonią światów“ itd.; — lubiliśmy to niegdyś deklamować jeżeli sobie przypominasz, ale gdy się przypatrzysz wykonaniu tych teoryj, cóż

obaczysz? Czyż indagacya sądowa jest choć trochę podobna do badania prawdy? Czyż adwokat nie naumyślnie przejmując się jednostronnemi widokami swoich klientów, a zamyka oczy na wszelką prawdę, która mu świeci z przeciwniej strony?... Jestem pewny, że gdybym począł wykonywać prawo wedle moich zasad, przed upływem tygodnia wyrzucono by mię ze sądownictwa.

— Otóż znowu występujesz z twojemi zasadami, z którymi już wtedy, kiedyśmy jeszcze byli chłopcami, dosyć miałem biedy; nigdy nie mogłem ci wyperswadować, że to są tylko próżne tyrady. Ja to nazywam *kolczatemi zasadami* które nigdy nie pozwalają ci postępować jak inni ludzie. Dla tego powiem ci otwarcie, że i polityczny zawód nie dla ciebie. A to wielka szkoda! Miałbyś ogromnie imponującą minę jako senator. Masz wyborne na senatora zacięcie, — wyglądałbyś zupełnie jak owi „*Viri Romae*.“

— Cóż ty chcesz żeby „*Viri Romae*“ robili w Waszyngtonie? Cóżby tu za rolę odgrywali, taki Regulus, Kwintus Kurciusz, Muciusz Scewola?

— No, praktyki polityczne zmieniły się nieco od owego czasu. Ale gdyby dzisiaj obowiązki względem ojezyny były takie same jak wówczas, gdyby naprzykład w Waszyngtonie otwarła się jaka przepaść skalista, ty byłbyś jedynym do wskoczenia w nią z koniem i ze wszystkim, dla zbawienia rzeczypospolitój; albo gdyby się znalazła sposobność włożenia do ognia i spalania swęj prawicy, — albo gdyby Kartagińczykom przyszło do głowy oberznąć komu powieki, i w beczce wybitęj gwoździemi taczać go z góry, a to wszystko w imię prawdy i dobra kraju, niktby lepiej jak ty wykonać

tego nie potrafił. Na posła w takim starożytnym guście, jesteś zupełnie stworzony; ale żebyś miał w purpurze i batystach jako amerykański minister występować w Paryżu albo Londynie, to z zanadto wielu trudnościami dla ciebie byłoby połączone. Ale ja myślałem sobie przynajmniej, że ty będziesz znakomitym adwokatem, że będziesz miał pełno klientów, że twoje obrony będą pełne klasycznych cytat, że w nich swoją erudycją okażesz, że pojmiesz bogatą żonę, i że uczciwie wychowywać będziesz swoje dzieci, nie spotykając się przy tém wszystkim nigdzie z twojemi, tak zwanemi *moralnymi zasadami*. Na moję pociechę dowiaduję się, że przynajmniej w jednej rzeczy postąpiłeś sobie jak inni ludzie.

— A to w czém?

— W czém? Patrzajcie go, jakie niewinniątko! Cóż to, myślisz że ja nie wiem o twojej wyprawie do Nowego Jorku, gdzie zawojowałeś księżniczkę wszystkich kokietek, Mis Gordon?...

Klayton odpowiedział na to niemém tylko wzruszeniem ramion i uśmiechem, w którym tą razą nietylko usta ale i oczy udział wzięły, a twarz aż po czoło oblała się rumieńcem.

— Wiesz co Klaytonie, mówił dalej Russel, to mi się podoba. Ja myślałem zawsze, że będę musiał uciekać od kobiety, w której ty się zakochasz. Zdawało mi się, że taki nadmiar enót, jaki sobie ty wyobrażałeś w kobiecie, będzie musiał koniecznie być podobny do komety, albo do jakiegoś innego zastraszającego zjawiska. — Czy ty przypominasz sobie, coś ty wymagał po przyszłej twojej żonie?.... Powinna była posiadać

uczoność mężczyzny, połączoną z najwyższym wdziękiem kobiecym; (patrz, jak ja to wszystko doskonale umiem na pamięć); powinna była być praktyczną, poetyczną i skromną, — poważną i elegancyi pełną, — powinna była mieć głębokie i rozległe pojęcie życia, — wreszcie powinna była być napół Madonną, napół Wenerą, — czémś najlepszem, poskładaném z przymiotów wszystkich istot ludzkich. Ale, mój Boże! jakież to z nas słabe stworzenia! Oto zjawia się jakaś młoda, zalotna dziewczyna z pensyi, bierze cię, niby wielki i piękny gałgan dla swój lalki, wrzuca cię wraz z innymi gałgankami do koszyka, i skacze i kokietuje dalej. I niewstydzę ciebie?

— Nie. Ja w tém zupełnie podobny jestem do owego pastora z miasta gdzieśmy chodzili na kolegium, który ożenił się był ze śliczniuchną Polly Peters, mającą zaledwie lat szesnaście. A kiedy najstarsi obywatele przyszli do niego, i pytali się go, czy ona posiada przymioty potrzebne dla żony pastora, odpowiedział im, że wątpi o tém; „Ale to pewna, moi bracia, — mówił dalej, — iż jakkolwiek niemyślę utrzymywać że ona jest święta, jednak jest to zawsze bardzo ładna grzesznica i ja ją kocham.“ Otóż zupełnie tak samo rzecz się ma ze mną.

— Otóż toś bardzo mądrze powiedział; — zresztą powtarzam ci że mię to cieszy niezmiernie, gdyż to nazywa się: poczynać sobie jak inni ludzie. Ale, mój drogi, powiedzże mi, czy ty pewny jesteś tój małej, z morskiej piany wydętj Wenus? Czy to nie wychodzi na to samo, jak żebyś był zaręczony z obłokiem albo motylem? — Zresztą tobie potrzeba kobiety, któraby przy-

najmniej jakie takie wyobrażenie miała o różnicy, jaka zachodzi między tobą, a resztą tych istot chodzących w surdutach, które mężczyznami się zowią.

— Posłuchaj, opowiem ci rzecz całą, rzekł Klayton który zaczął się ożywiać i nabierać energii. Nina jest roztrzepana i zalotna, — jest to, jeżeli chcesz, zepsute dziecko; — niema ona żadnego wykształcenia ani ocytania, również nieprzywykła nigdy zastanawiać się nad sobą, i niebyłbym nigdy pomyślał, żeby taka osoba jak ona, mogła jakikolwiek wpływ na mnie wyrzeć; a jednak posiada ona jakiś ton, coś właściwego sobie, coś, co Francuzi *le timbre* nazywają, — co mi się właśnie podoba. Jest w niej jakaś mieszanina energii, oryginalności i swawoli, która mię urokiem swoim bardziej pociąga, aniżeli wszystkie wdzięki kobiet, w których się przedtem kochałem. Ona nieczyta nigdy, — niepodobieństwem jest prawie nakłonić ją do tego, a przecież sąd jój w rzeczach literatury odznacza się dziwną świeżością i prawdą, ilekroć uda się komuś choć na pięć minut ucho jój uwiezić. Tak samo rzecz się ma z jój sądem w innych przedmiotach. Co się tyczy jój serca, to jestem tego zdania, że ono śpi jeszcze i dopiero zbudzić je trzeba. Dotąd żyła ciągle w świecie zgiełkliwym i powierzchownym, który do głębi jój piersi nie zakolał. Tylko raz albo dwa razy, przytrafiło mi się dostrzedz w blasku jój oczu, w dźwięku jój głosu, iskierkę tego wewnętrznego ognia, i zdaje mi się, a raczej jestem tego pewny, że ja jestem jedynym człowiekiem, któremu się tę iskrę obudzić udało. Nie mogę powiedzieć, że mię teraz kocha, ale jestem przekonany że mię kochać będzie.

— Powiadają, wtrącił Russel, że ona zwykle z dwoma lub trzema mężczyznami naraz zaręczoną bywa.

— To bardzo być może, odparł Klayton spokojnie; zdaje mi się nawet że i teraz zachodzi ten wypadek,— ale to mnie bynajmniej nie niepokoi. Widziałem wszystkich mężczyzn którzy ją otaczają, i wiem że żaden z nich nie stoi bliżej jej serca.

— Dobrze to wszystko mój kochany, ale jakże też mogą twoje surowe pojęcia o moralności pogodzić się z takim systematem zwodzenia?

— To wprawdzie niezupełnie przypada mi do smaku, ale ponieważ tak jak ów pleban: kocham „tę małą grzesznicę“ — to i cóż mam począć. Może sobie pomyślisz, że mówię zwyczajnie jak zakochany, ale ja cię upewniam, że Nina, chociaż zradca, nie jest jednak zradliwą. — Główna rzecz w tém, że to dziecię, które wczesnie rodzice odumarli, wychowało się jako dziewczka, między własnymi sługami. Ma ona tam wprawdzie jakąś ciotkę, czy coś podobnego, która w obec świata rolę pani domu odgrywa, ale zdaje mi się, że maleńka sama tam rządzi. W Nowym Jorku była na jednej z pierwszych tamecznych pensyj, gdzie nabyła wielkiej wprawy i biegłości w wyłamywaniu się od godzin przeznaczonych na naukę, i w czynieniu wszystkiego wbrew panującemu tam porządkowi, — przyczem starała się zawsze jak najwięcej mieć wielbicieli. Myślę że to są wszystkie doskonałości, jakich nabyć można w podobnej szkole, niemówiąc nic o wstąpieniu do ksiązek i wszelkiego literackiego wykształcenia.

— A jej posiadłości?

— Niezbyt wielkie. Pozornie zarządza niemi stary jój wuj, a w istocie młody Kwadron, którego jój ojciec zostawił, a którego wychowanie i zdolności mają daleko przechodzić po za obręb klasy do której należy. On tedy jest właściwie nadzorcą jój plantacyj, a ja nieznam na świecie stworzenia wierniejszego i usłużniejszego.—

— Klaytonie, — cała ta historia, byłaby niewiele znaczącą dla każdego, do mnie podobnego człowieka; ale dla ciebie, który całkiem inaczej świat pojmujesz, jest ona nader ważną. Dla tego strzeż się, żebyś nie zaszedł dalej niżbyś chciał.

— Spóźniłeś się z radą mój Russelu, — już się stało!

— Kiedy tak, to życzę ci najlepszego szczęścia, mój drogi. A skorośmy się już o tém rozgadali, to powiem ci, że i ja w podobnym do ciebie jestem położeniu. Zapewne słyszałeś już kiedy o Mis Benoir z Baltimore. Otóż widzisz, w jój to ręce postanowiłem złożyć przyszłość moją.

— I jesteś już na seryo zaręczony?

— Wszystko już podpisane i pieczęciami obłożone,— wesele odbędzie się na Boże Narodzenie.

— A, to powiedzże mi co o niej przecie.

— Bardzo chętnie: — Jest wzrostu dobrego (wiesz, że ja zawsze mówiłem, że się nie ożenię z małą kobietą), — niepiękna, ale dobrze wygląda, maniery ma wyborne, zna świat, gra i śpiewa pięknie, i ma ładny mająteczek. Możesz mi wierzyć, że nigdy nieożeniłbym się dla samego majątku, ale w położeniu, jakie na tym świecie dostało mi się w udziale, niemógłbym być zakochać się bez tego dodatku. Są ludzie którzy to na-

zwą brakiem serca, ale ja myślę wcale inaczej. Gdybym poznał Maryą Benoir dowiedział się był że ona nie ma, byłbym tém samém już wiedział, że mi się na nie nie przyda bliższe z nią poznanie się; — wiedząc zaś iż jest majątną, starałem się do niej przybliżyć, i wkrótce ujrzałem, że ona i inne posiada zalety. Jeżeli to ma się nazywać „ożenieniem dla majątku“ to mniejsza o to! — Twoja miłość Klaytonie, jest ślepą, ale ja mam zawsze oba oczy otwarte.

— I cóż myślisz począć ze sobą?

— Muszę najprzód popróbować, i jakoś się ustalić, rozumiesz; a potem: niech żyje Waszyngton! Mogę przecież tak samo jak każdy inny awanturnik zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych. Dla czegożby mnie miało szczęście gorzej niż innym dopisać?

— Niewiem doprawdy, rzekł Klayton, czyby to dobrze było dla ciebie, — i czybyś miał dosyć woli i wytrwałości do osiągnięcia tego zaszczytu. Podobno to na to samo wyjdzie, jak żebym ja chciał chodzić po ostrzu miecza, które jak powiadają, ma stanowić most do raju Mahometa.

— Ha, ha, ha! Zdaje mi się że cię widzę jak balansujesz na tym moście, i najokropniejsze miny wyrobiasz! wyborniebyś wyglądał. Ale jestem przekonany, że w tém nawet położeniu, nie czułbyś się gorzej jak na jakimkolwiek politycznym stanowisku; — a przecież ty pod każdym względem o tyle wyższym jesteś ode mnie. Tylko że nawą naszego państwa sterować muszą ludzie podrzędni, mojego kalibru, choćby dla tego, że się lepiej obracać i wykręcać umieją.

— Ja znów, mówił Klayton, nie myślę uganiać się za tём, co ludzie nazywają świetną karyerą; o ile bowiem dotąd przekonać się mogłem, to zdaje mi się, że na każdym kroku wiodącym do tego celu, widzę napis: „Cóż człowiekowi pomoże choćby posiadał świat cały, jeżeli na swój duszy szkodę poniesie?“

— Nie rozumiem cię Klaytonie!

— Oto widzisz rzecz tak się ma: wśród takich okoliczności, jakie dzisiaj w kraju naszym panują, trzeba mi albo porzucić moje wyobrażenia o prawie i honorze i stłumić najszlachetniejsze mego serca uniesienia, albo wyrzec się wszelkiej karyery. O ile mi wiadomo, dzisiaj niema wśród życia ani jednej ścieżki, na którejby szarlatanerya, nierzetelność i zdrada, nie były do osiągnięcia celu nieodbitnie potrzebnymi, — żadnej drogi, na którejby czystość uczuć należne ocenienie znalazła. Na każdym wznioślejszem miejscu, zdaje mi się że widzę szatana który na mnie woła: „Wszystko to będzie twojém, jeżeli mi się pokłonisz, i cześć mi oddasz!“

— To czemuż nie wstąpisz do stanu duchownego, i nie postawisz kazalnicy i grubój biblii, między sobą a szatańskimi pokusami?

— Bo się boję, że je i tam nawet znajdę. Nie mógłbym uzyskać prawa przemawiania z kazalnicy, dopóki bym nie złożył wyznania wiary i przyrzeczenia, że tylko o tём lub o owém mówić będę, co mówiąc między nami, byłoby niebezpieczną na moje sumienie połapką. U stóp kazalnicy musiałbym przysiąc, że tylko w samej formie prawdy szukać będę, i własną cześć, własne powodzenie i szczęście musiałbym stawić w zakład, że ją zawsze tam tylko będę znajdował. Powiadam ci, że

gdybym chciał iść za głosem mego sumienia, musiałbym jeszcze prędzej ustąpić z kazalnicy, jak z izby sądowej w skutek mego postępowania sądowego.

— Bóg z tobą Klaytonie! I cóż ty myślisz właściwie zrobić ze sobą? Chceszże osiąść na swojej plantacyi, żeby bawelnę chodować i Negrami handlować?... Ja bo lada chwila spodziewam się usłyszeć, żeś się zaprenumerował na *Liberatora* i że zamysłasz zostać abolicyonistą.

— Myślę rzeczywiście osiąść na swojej plantacyi, ale nie dla tego, żeby tylko bawelnę i Negrów chodować, jakby to było głównem zadaniem człowieka. *Liberatora* prenumeruję, bo jestem wolnym człowiekiem, i mam prawo czynić co mi się podoba. Nie zgadzam się we wszystkim u Garyssonem, bo wiem cokolwiek więcej o tém przedmiocie, niż on ze swego stanowiska wiedzieć może. Ale on, jako uczciwy człowiek, ma prawo wypowiedzieć co myśli, i ja podobnież użyłbym tego prawa, gdybym był na jego miejscu. Gdybym widział rzeczy tak jak on, zostałbym abolicyonistą, — ale tego nie zrobię.

— To szkoda, — wtrącił Russel, — zwłaszcza, że ty taki pociąg masz do męczeństwa!... No, ale cóż tedy będziesz robił?

— To, co powinien robić każdy Chrześcianin, który widzi czterystu bliźnich swoich, w zupełnej od siebie zależności. Będę ich wychowywał i przygotowywał do wolności. Niemasz nic wznioślejszego nad moc, którą Bóg w ręce panów złożył; prawo nadaje nam władzę nieograniczoną. Ptantacya, gdyby była tém czemby być powinna, mogłaby być „światłem świecącym pobożne-

mu". — Etyopska ta rasa posiada dziwną siłę i zdolność do rozwoju, i warto sobie zadać pracę, żeby zdolność tę skierować do celu życia, żeby ją rozbudzić i nadać jęj popęd. Uprawa bawełny jest ostatnią rzeczą. Ja uważam moję plantacyą jako rolę przeznaczoną na uprawę mężczyzn i kobiet, i na wykazanie przymiotów ludzi tęg klasy. —

— Stało się! — zawołał Russel.

Klayton zdawał się być urażony tym wykrzykiem.

— Daruj mi Klaytonie. Wszystko to jest wspaniałe, wielkie; tylko jeden zarzut miałbym do zrobienia: to jest czystem niepodobieństwem!

— Tak nazywano każdą myśl wielką, nim została wykonana.

— Słuchaj, — ja ci przepowiem jak to będzie: Stಾನiesz się celem pocisków obudwóch partyj, i obrazisz swoich sąsiadów, chcąc lepiej robić jak oni. Niepotrafisz twoich Murzynów postawić na takim stanowisku, z którego by się parciu nieprzychylnego im tłumowi skutecznie oprzeć mogli, a u abolicjonistów nie znajdziesz zaufania, mimo wszelkich twoich usiłowań, będą oni cię nazywać rzeźnikiem, zbójcą, złodziejem owiec, i Bóg wie jakich tam jeszcze nazwisk ich słownik im dla ciebie dostarczy. Doprowadzisz rzeczy do stanu, na który nikt nie potrafi się z tego punktu co ty zapatrywać, — a i tobie to z uajwiększą przyjdzie trudnością; — i narazcie ulegniesz i umrzesz, a wszystkie twoje pomysły daleko prędzej jeszcze w niwecz się obrócą, niż ty o ich wykonaniu zamarzyłeś. Gdybyś był jednym z tych ludzi, co to zwykli rzeczy tylko przez połowę robić, byłoby jeszcze pół biedy; ale ja cię znam nie od dzisiaj;

ty nieoprzestasz na tém, żeby ich nauczyć katechizmu i niektórych hymnów, któreby sobie mogli jak papugi powtarzać, co ja zresztą uważam za bardzo stósowną, religijną rozrywkę, dla naszych niewolnic zwłaszcza; — ty ich nauczysz czytać, pisać, myśleć i mówić. Nie zadziwi mię to bynajmniej, jeśli kiedy usłyszę o wielkim jakim transporcie elementarzy i wzorów kaligraficznych. — W końcu założysz wyższą szkołę i porządzasz im kluby. Cóż twoja siostra na to mówi? Anna to rozumne dziewczę, ale założę się, żeś ją już napoły zjednał dla swoich zamiarów.

— Anna interesuje się tém zarówno ze mną, tylko że ona ma daleko więcej praktycznego zmysłu niż ja, i dla tego bez porównania prędzej odkrywa trudności tam, gdzie ja je wprzód ledwie przeczuwałem. Mam także nieoszacowanego człowieka, który zupełnie podziela moje przekonanie, i będzie kierował administracyjną częścią tego przedsięwzięcia, tak, że się zupełnie bez tych łotrów dozorców naszych obejdę. Zaprowadzę porządnny systemat, wedle którego praca i zapłata wymierzone będą, — systemat, który im da pojęcie prawa natury i prawa własności, a do pilności i oszczędności ich przyzwyczai, bo zarobek każdego, będzie się miał zupełnie w stosunku jego pracowitości i jego postępowania. —

— A jakież korzyści sobie obiecujesz z tych nowych urzędzeń? Czy ty będziesz żył dla swoich niewolników, czy oni dla ciebie?

— Ja im będę służył za przykład, żyjąc dla nich, — i spodziewam się, że tym sposobem obudzę uspięnego w nich ducha dobrego. Obowiązkiem jest mocnego żyć

dla słabego, — powinnością ukształconego myśleć o pro-
staczku. —

— No, mój Klaytonie, niechże ci Bóg dopomaga!
Teraz widzę że to nie żarty. Chociaż przekonany je-
stem że ci się to nie uda, jednak życzę aby się udało.
Szkoda, żeś się na tym świecie urodził; bo to nie ty,
zaprawdę, fałszywą idziesz drogą, — to nasz planeta
i jego bieg odwieczny. Duch twój wydaje mi się jako
skład bogato zaopatrzony; — złoto i perły Ofiru w nim
leżą, — ale one leżą na piątém piętrze, a niema scho-
dów, żeby je ztamtąd zdjąć można. Ja zanadto wysoko
umiem cenić takie rzeczy, żebym się miał śmiać z cie-
bie, ale na dziesięciu ludzi, dziewięciu pewnie tak uczy-
ni. Powiem ci prawdę: gdybym ja tak jak ty miał za-
pewnione w życiu stanowisko, gdybym miał rodzinę,
przyjaciół, wpływy i środki po temu, mógłbym również
myśl moję na ten przedmiot skierował. A jednak, su-
mienie takie jak twoje, to rzecz djabelnie kosztowna;—
jest ono jak ekwipaż, którego niemożna sprawić, nie-
posiadając środków do jego utrzymania. Jest to zaiste
przedmiot zbyt kowoy!

— Dla mnie jest on potrzebą życia, — odparł Klay-
ton trochę sucho.

— Zgoda, — niech i tak będzie; to już leży w twojój
naturze. Ja sobie tak pozwalać nie mogę, bo sam
muszę sobie własną drogę torować. Ja muszę sam być
twórcą własnego szczęścia, a przy twoich wygórowa-
nych wyobrażeniach byłoby to czystém niepodobieństwem.
Mimo tego wszystkiego, mogę jednak być niemniej
religijnym jak tysiące tych szacownych mężów, któ-
rzy sobie na nocny pociąg bilety do rajy kupili,

aienne światło obracają na doczesne swoje interesa.

— Zapewne.

— Tak jest, — i spodziewam się że osiągnę to do czego zdążam, kiedy tymczasem ty Klaytonie, wiecznie nieszczęśliwy, wiecznie będziesz niezadowolony, bo upędzasz się za czemś, co dla śmiertelnych za wysoko jest położone. I na tém polega cała różnica między nami.

Wejście rodziny Klaytona, przerwało rozmowę dwóch przyjaciół. —

Rozdział III.

RODZINA KLAYTONA I SIOSTRA ANNA.

Towarzystwo które weszło do pokoju, składało się z ojca, z matki i z siostry Klaytona.

Sędzia Klayton, był to jeden z tych wysokich, poważnych ludzi, z których na pierwszy rzut oka poznać można, że do dawniejszej szkoły należą. Włosy jego białe jak śnieg, tworzyły szczególny kontrast ze świetną jasnością niebieskiego oka, które bystrością swoją sokoli wzrok przypominało. Było coś w sztywnym sposobie trzymania głowy i całego korpusu, w wymuszonej staranności w ubiorze i w pedanckich nieco jego manierach, co mu nakawało lekką cechę surowości. Przeszywające spojrzenie jego jasnych, niebieskich oczu, świadczyło o spokojnym, wytrawnym umyśle i o ściśle logiczném jego sposobie myślenia, a srebrny włos jego odbijał od tego oka z tą samą zimną pięknością, z jaką śnieżne Alpy odrzynają się na ciemno niebieskiem tle tyrolskiego nieba. — Patrząc na tego człowieka, mimowolnie przychodziła myśl, że jego rozumu lękać się trzeba, a niewiele spodziewać się po jego sercu. A jednak pierwsze to wrażenie czyniło krzywdę sędziemu Klaytonowi, bo pod tą zimną powierzchnością kryło

się silne, głębokie uczucie, i silnie w karby rozumu ujęta skłonność do najognistszych, najnamiętniejszych uniesień. Uczucia jego rodzinne były silne i tkliwe, chociaż rzadko objawiały się w słowach. Zresztą, był to człowiek sprawiedliwy aż do ostateczności, nawet w najdrobniejszych wypadkach towarzyskiego i domowego życia, — zawsze gotów powiedzieć komuś prawdę, lub przyznać się do błędu.

Mis Klayton była to kształtnie zbudowana kobieta, której pleć delikatna, ciemne, błyszczące oczy, i wysmukła postawa, dziś jeszcze świadczyły jak musiała być piękną za młodu. Ognista z natury, pełna fantazyi, najwznioślejszym przystępna popędom, z namiętném przywiązaniem przytuliła się ona do swego małżonka, wysokim obdarzonego rozsądkiem, podobna do róży alpejskiej, co się do błyszczącej piersi jasnego lodowca przypięła.

Między młodym Klaytonem a ojcem istniało także głębokie, wewnętrzne przywiązanie; ale im bardziej syn się rozwijał i na męża dorastał, tém widoczniejszą było rzecza, że niepójdzie tą samą co ojciec drogą. Odziedziczył on po matce tak silną skłonność do uniesień, że długoletnie, niezmordowane usiłowania ojca, chcącego uczynić zeń wierną kopiją siebie samego, na nieprzezwyciężone trafiły przeszkody. Klayton był idealistą do przesady; idealizm nadawał barwę wszystkim władzom jego duszy, i pociągał ku sobie jego rozum, niby magnes żelazo. — Cała jego istota przesiąknięta była na wskrós idealizmem, który zmuszał go ciągle bujać w sferach o wiele wyższych nad to, co powszedniem życiem i powszednią nazywamy moralnością. Z tąđ to także

pochodziło, że brzydził się wykonywaniem prawa, kiedy unosił się nad jego teorią. — Mimo tego posiadał Klayton wiele z silnego, stanowczego charakteru ojca, i dla tego był bożyszczem niemal dla matki, która, jeżeli to być może, kochała go jeszcze czuliej niż ojca.

Anna Klayton, najstarsza z trzech sióstr, była szczególnie powiernicą i przyjaciółką brata; przeto, podczas gdy stojąc przed zwierciadłem rozwiązuje wstążki od kapelusza, zapoznamy z nią czytelnika. Jest ona wzrostu trochę więcej niż średniego, a kształty jej odznaczają się tą pełnością, którą podziwiamy w Angielkach; piękna jej głowa z pewnym stanowczym wyrazem, wznosi się na wdzięcznych ramionach. Smagława, właściwa brunetkom pleć jej, okraszona pięknym rumieńcem na policzkach, świadczy o wyborném zdrowiu. Wreszcie czysta linia ostro wygiętego nosa, pięknego kroju usta z dwoma rzędami błyszczących zębów, czarne oczy mające nieco bystrości ojcowskiego wzroku, stanowią pojedyncze rysy tego obrazu, którego całość każdemu w oczy wpaść musi. Badając bliżej całą jej istotę, można było w niej dostrzedz pewną dostojną otwartość, która rozmowę z nią czyniła łatwą i poufałą. A jednak najzarozumialszy mężczyzna niebyłby śmiał najlżejszej względem Amny Klayton dopuścić się poufałości. Przy całej swobodzie w obejściu się, było coś w jej postawie, co zdawało się mówić: Dotąd ale nie dalej! — Mnóstwo zakochanych, wielbicieli, stało, klęczało i jęczało u jej ołtarza, ale wszystko nadaremnie. Anna Klayton miała dwadzieścia siedm lat, a była jeszcze niezamężną. Wszyscy dziwili się temu, i my niemniej się też dziwimy. Jej oświadczenie w tym względzie by-

ło proste, ale stanowcze: nie chciała iść za męża, bo dosyć czuła się szczęśliwą bez związków małżeńskich.

Wielka poufałość panowała między dwojgiem rodzeństwa, mimo w oczy bijącą różnicę charakterów. W Annie nie było ani iskierki idealizmu; posiadała ona dużo uczucia, żywości i odznaczała się nader przyjemnym humorem, ale przytem była w wysokim stopniu praktyczną dziewczyną. Podziwiała i wielbiła wszystkie przymioty swego brata, choć one były wprost przeciwne jej naturze, — zachwycała się poetyczno-heroicznym żywiołem który w nim panował, ale to dla tej samej zupełnie przyczyny, dla której młode damy podziwiają takiego Wiliama Wallace, lub innego tego rodzaju bohatera; podziwienie dla takich ludzi budzi w nich właśnie to, że oni wychodzą całkiem po za obręb kobiecej sfery. Anna ubóstwiała prawie swego brata, ale niemogła nie przyznać sobie, że w sferze praktycznej działalności, wyższą jest daleko od niego. I Klayton też nieczyjego w świecie sądu w tej mierze nie obawiał się tyle, co sądu swojej siostry.

W tej chwili właśnie, Klayton czuł pewien niepokój i pomięszanie, bo jej miał udzielić wiadomości, o której już dawno wiedzieć miała prawo. Przeżywszy dwadzieścia siedm lat w takiej zażyłości, z taką siostrą jak Anna, niepodobna mu było niepomyśleć, że jej pierwsza wiadomość o jego zamiarach małżeńskich będzie bolesną. Trudno jednak powiedzieć jak się to stało, że Klayton, który ciągle z siostrą korespondował, niezawiadomił jej o rodzącej się w nim skłonności ku Ninie. Pochodziło to, zdaje się, z tego instynktowego przekonania, że praktycznej i pełnej trafnego sądu siostrze, nie-

potrafi przedstawić Niny tak, jak się ukazywała jemu pod wpływem pobudzonej fantazyi. Wiedział, że wszystko co mówią o niej, będzie przeciw niej świadczyło, a jak każdy człowiek tkliwego usposobienia, lękał się, czy skłonność swoją będzie umiał obronić i usprawiedliwić. I rzeczywiście niemasz nic trudniejszego nad wyrozumowanie tych delikatnych poglądów na charakter pewnej osoby, na których każda skłonność się gruntuje. Doświadczenie uczy nas poznawać zalety najsurowszym wymaganiom enoty odpowiadające, a przecież nieraz pociąga nas ku sobie przedmiot, bynajmniej zalet tych nieposiadający, i dajemy mu się opanować, niemogąc nic na swoje usprawienie przytoczyć.

Wiecznie czynna *fama*, nieomieszkała Annie Klayton donieść co się dzieje, ale jej delikatne uczucie i duma niepozwoiliły jej szukać zaufania, z którym się do niej niespieszono, którego brak jednakże czuła dokliwie. Okoliczność ta niezbyt pobłażająco usposabiała ją względem naszej małej bohaterki. Ale teraz, cała ta sprawa tak już była w duszy Klaytona dojrzała, że poczytał sobie za obowiązek zawiadomić o tém rodzinę swoją i przyjaciół. Co się tyczy matki, zadanie to ułatwiała mu ufność, jaką ona umiała każdego natchnąć ku sobie, i gotowość, z jaką umiała się wcielić w uczucia tych, których kochała; — jej też poruczone zostało udzielenie tej wiadomości z pewną oględnością Annie, — z czego się też wywiązała podczas rannej przechadzki. —

Zaledwie Klayton spojrział na siostrę wchodzącą, poznał że była niespokojną, cierpiącą. Niedługo pozostała w pokoju, i nieczując się zdolną do prowadzenia rozmowy, po chwili roztargnionego zamyślenia,

otwartemi drzwiami wyszła ^{na} ogród, gdzie napozór zdawała się skrętnie zajęta być swemi roślinami. Klayton poszedł za nią. Jakiś czas stał przy niej w milezeniu, patrząc jak obrywała żółtkle listki z krzaka gieranii.

— Czy ci matka powiedziała? — odezwał się narreszcie.

— Powiedziała, — odparła Anna.

Potém nastąpiła długa pauza, podczas której Anna oberwała taką masę suchych i świeżych liści, że wątpić wypadalo, czyli to niewinnej roślinie na zdrowie posłuży.

— Anno, — rzekł Klayton, — jakbym ja pragnął, żebyś ty ją widzieć mogła.

— Słyszałam o niej od Lingwistonów, — odparła Anna sucho.

— I cóżes słyszała? — zapytał prędko Klayton.

— Nie to, cobym chciała była usłyszeć, Edwardzie; nie z tego wszystkiego, co spodziewałam się usłyszeć o kobiecie, na którą padł twój wybór.

— Ale, proszę cię, cóżes przecie słyszała? Powiedz mi, niech wiem co téż świat o niej mówi? —

— No, świat mówi że to jest kokietka, lekkomyślne stworzenie. Ze wszystkiego com o niej słyszała wnosić muszę, że to jest dziewczyna bez żadnych zasad.

— Anno, taka mowa przykro brzmi w twoich ustach.

— Prawda jest zwykle przykrą, — odrzekła Anna.

— Moja dobra siostró, — rzekł Klayton, ujawszy ją za rękę i prowadząc ku ławce, — czyż już zupełnie zaufanie we mnie straciła?

— Podobno z daleko większą słusznością możnaby powiedzieć, że ty do mnie całkiem ufność straciłeś. Dla

czegoż to ja ostatnia o tém się dowiaduję? Jak się to stało, że mi wszyscy już o tém mówili, wyjąwszy ciebie? Czyż ja takbym kiedykolwiek z tobą postąpiła? Cóż się kiedykolwiek zdarzyło w mém życiu, o czémbym zamilezała przed tobą? Jam przed tobą zawsze aż do dna otwierała moje duszę!

— To prawda, Anno, to prawda. Ale gdybyś téż była pokochała mężczyznę, o którymbyś wiedziała, że mnie się podobać nie będzie? Widzisz Anno, toby ci się mogło było przytrafić. Otóż pytanie, czy w takim razie byłabyś uczuła potrzebę zawiadomić mię o tém zaraz, czy téż możebyś była zwłóczyła, i to z tego, to z owego powodu odkładała to zwierzenie się z dnia na dzień, — a im dłużejbyś zwłóczyła, témbyś je znajdowała trudniejszym?

— O tém nie mogę sądzić, — odparła Anna gorzko, — nikogo niekochalam bardziej jak ciebie — to jest właśnie nieszczęście.

— To i ja téż nikogo niekocham bardziej jak ciebie Anno. Miłość moja dla ciebie bynajmniej się niezmniejszała; powiedz sama czy cię mniej szacuję jak dawniej? Tylko moje serce otwarło się dla drugiej miłości, całkiem różnej od tamtej; miłości która właśnie dla téj różnicy, w niczém nadwreżyć niemoże mego przywiązania do ciebie. Ach Anno! siostró kochana! gdybyś ty ją kochać mogła, choćby jako cząstkę mnie samego!...

— Chciałabym, żebym to uczynić mogła, — rzekła ułagodzona już nieco Anna, — ale to co o niej słyszałam było tak niekorzystne! To nie jest wcale osoba, o której pomyslećbym mogła, że ją pokochasz Edwardzie.

Niczego tak nie cierpię, jak kobiet które żartują z uczuć mężczyzny! —

— Zapewne, moja droga; ale Nina nie jest kobieta, — to jest dziecko, — wesole, piękne, nieuksztalcone dziecko, do którego wybornie zastosować można słowa Popego:

„Jeśli los nawet błędy jój przydzielił,
„Zapomnisz o nich, gdy spojrzysz w jój lice.“ —

— A tak, tak, rzekła Anna, — wy mężczyzni, wszyscyście pod tym względem jednacy; — piękna twarzyczka oczaruje każdego z was. Ciebie Edwardzie miałam za wyjątek, ale pokazuje się, że i ty nie różnisz się pod tym względem od reszty.

— Moja Anno, — czyż to w ten sposób chcesz mię natchnąć zaufaniem ku sobie? Dajmy na to, że jestem oczarowany, — to czyż potrafisz mię odczarować, niemając dla mnie ani trochy pobłażania? Mów co chcesz, ale ja zawsze utrzymywać będę, że przeznaczeniem mojem jest kochać to dziecko. Przedtém próbowałem kochać niejedną kobietę, — znałem nie jedną którą nic do zarzucenia nie miałem, a jednak, niewiedzieć dla czego, pokochać jój nie mogłem, — znałem wiele kobiet daleko piękniejszych, wyżej wykształconych, doskonalszych, a jednak patrzałem na nie bez wzruszenia, i serce ani razu mocniej mi nie zabiło. — Ta dziewczyna przeciwnie, zdaje się że nowe życie we mnie obudziła. Ja niewidzę w niej nic z tego wszystkiego co w niej świat widzi; widzę w niej owszem typ prawdziwie idealny, — widzę to, czémby być mogła, i czém niezawodnie będzie, gdy się jój dusza zupełnie rozbudzi i rozwinie.

— Otóż to to właśnie, Edwardzie! — zawołała Anna. Ty nigdy nie widzisz tak jak jest, — ale zawsze ukazuje ci się jakiś sztucznie oświecony obraz, — zawsze widzisz jakby coś być mogło, lub powinno; — to jest właśnie twoje nieszczęście. Z małej, zalotnej pensyonarki, robisz coś bajecznego, wzniosłego, — a ubrawszy ją całkiem wedle swojej fantazyi, upadasz na kolana i modlisz się do niej. —

— Moja kochana Anno, — przypuśmy że tak jest; cóż więc tedy? Ja, jak powiadasz, jestem idealistą, — tyś realistka. Niech i tak będzie. Ja tedy muszę tak postępować jak myślę, — mam zresztą takie samo jak ty i każdy prawo do tego. Ale widzisz, ja nie każdą osobę uidealizować potrafię, — i w tém to leży, zdaje mi się, główna przyczyna, dla której nie mogłem pokochać żadnej z tych pięknych pań, z którymi niegdyś byłem w bliższej znajomości; — one nieposiadały całkiem warunków potrzebnych do tego, aby je uidealizować można było, — nie mogłem ich przyozdobić barwą mojej fantazyi; krótko mówiąc, brakowało im właśnie tego, co Nina posiada. Ona podobna jest zupełnie do tych szumiących, skocznych wodospadów w *White Mountains*, a powietrze które ją otacza tworzy tęczę.

— I przez ową to tęczę patrzysz też na nią ciągle.

— Tak jest, siostrze; ale są osoby na które tak patrzeć nie mogę. Dlaczegoż mi to wyrzucasz? Czyż to nie wielka przyjemność patrzeć na tęczę? Dla czegoż chcesz mię odczarować, kiedy mi tak dobrze w mojem oczarowaniu?...

— Czy przypominasz sobie tego człowieka, zapytała Anna, który od wrózek obdarzony został złotem i dro-

giemi kamieniami, — ale gdy przeszedł przez pewien strumień, postrzegł, że to były proste krzemki. Otóż widzisz: małżeństwo podobne jest do owego strumienia; niejednen przebywszy go spostrzega, że po drugiej jego stronie, dyamenty w krzemienie się zamieniają; — i dla tego to postawiłam mój prosty, szorstki, ale naturalny sposób widzenia rzeczy, naprzeciw twoich mglistych obrazów. Ja już doskonale rozumiem tę dziewczynę: jest to jawna kokieta, — a taka kobieta niemoże mieć serca. Ty zaś Edwardzie zanadto jesteś dobry, zanadto szlachetny, — zresztą zanadto długo cię kochałam, żebym cię miała tak odrazu powierzać takiej dziewczynie!

— Kochana Anno, — w tém zdaniu jest przynajmniej tuzin punktów, na które ja się niezgadzam. A najprzód, co się tyczy kokieteryi, to znowu nie jest w moich oczach grzech nie do przebaczenia; — to jest w pewnych razach przynajmniej.

— Chciałeś powiedzieć: w takim razie, kiedy Nina Gordon jest kokieta?

— Nie — nie to wcale myślałem. — Jest to fakt niezaprzeczony, że w zwyczajnych towarzyskich stosunkach między młodymi ludźmi płci obojęd, nader mało panuje prawdziwej szczerości, życzliwości i wzajemnego szacunku. Płeć nasza, któraby przykładem swoim przodkować powinna, tak jest samolubna, tak nieogłędna w postępowaniu swoim z kobietami, że się i dziwić nie można, iż młoda, żywa dziewczyna, czując się na siłach, mści się za swoją pleć, napadając naszą z jęd słabęd strony. Niemyślę, żeby Nina zdolną była igrać z prawdziwą, głębką, bezinteresowną skłonnością, — z miłością

życzącą, jęj jak najlepiej, i gotową każdego czasu z samęj siebie zrobić dla nięj ofiarę, — ale jestem przekonany, że się z taką miłością dotąd nie spotkała. Wielka zachodzi różnica między człowiekiem który pragnie aby go kobięta kochała, a takim który ją kocha. Chęć pojęcia panienki za żonę nie jest jeszcze dowodem, że ją mężczyzna kocha, i że nie jest zarówno i jednocześnie kim innym zajęty. To wszystko pojmują dziewczęta wrodzonym swoim trafnym instynktem, — i dla tego częstokroć obwiniają je, że igrają z sercem mężczyzny, kiedy one poprostu na wskrós go przejrzawszy, wiedzą, że on żadnego serca niema. Zresztą, ubieganie się za władzą, w mężczyznach poezytywano zawsze za grzech bardzo zaszczytny; dla czegoż tedy mamy potępiać kobięte, jeżeli zna się na swojej władzy i chce ją nam dać uczuć?

— Ja wiem, mój Edwardzie, że niemasz nic pod słońcem, czego byś ty nie potrafił podnieść i wyidealizować. Ale mimo tego ja kokieteryi i tak niepolubię. — Potęm mówiono mi, że Nina Gordon jest nadzwyczaj excentryczną, — że dziwne rzeczy nieraz wygaduje i wyprawia.

— To właśnie najbardziej mnie może ku nięj pociąga. — Na tym sztywnym świecie, na którym wszystkie kobiety na jednę modłę są odcięnięte, niby pieniądze w naszych woreczkach, miło jest spotkać czasami taką, która niedała się nagiąć do myślenia i działania jak jęj towarzyszki. Ty sama, moja Anno, posiadasz odrobinę tęj zalety, — a przecież, pomyśl tylko, że ciebie wychowała mama, że pod jęj wpływem wyrosłaś, i że ona kierowała tobą zawsze, może nawet więcj niż się do-

myślasz; — tymczasem Nina wyrosła bez matki, — żyła jak dziedziczna pani pośród sług swoich, a potem poszła na pensyą do Nowego Jorku. Zresztą pamiętaj i o tém, że ty masz dwadzieścia siedm lat, kiedy ona ma zaledwie ośmnaście, i że między ośmnastym a dwudziestym siódmym rokiem, wiele nauczyć się można.

— A ty bracie, przypomnij sobie znowu, co mówi Mis Hannah Moore, czy któraś inna rozsądna kobiéta: „Mężczyzna, który sobie żonę jak obraz na publicznej wystawie obiera, niechaj pamięta o tém, że różnica między obrazem a kobiétą, na tém polega, że obraz wzięty ze swego miejsca, nie potrafi sam wrócić do niego, — ale kobiéta jest w stanie to uczynić.“ — Tyś ją sobie upodobał, bo cię zajęła błyszcząc wpośród towarzystwa; ale czy ci się uda uczynić ją szczęśliwą, wśród jednostajności domowego pożycia? Czy ona téż nienależy przypadkiem do rzędu tych istot, które do szczęścia potrzebują ciągle towarzystwa i coraz to nowych wzruszeń?

— Nie sądzę, żeby tak być miało, — rzekł Klayton. Mnie się zdaje, że ona jest jedną z tych kobiét, które siłę żywotną czerpią same z siebie, i których życie, właściwa im świeżość i oryginalność, od powszedniości uchronić potrafi. Spodziewam się także, że gdy z nami pożyje, polubi nasz sposób życia.

— Radzę ci mój bracie, nierób sobie przynajmniej nadziei, że ją nawrócisz, i nagniesz wedle swoich widoków.

— Co, ja? ja miałbym sobie do tego rościć pretensye, — jabym miał myśleć o czemś podobném?... Już to ostatnia rzecz: poślubić żonę, a potem dopiéro zacząć jęj wychowanie. Takie postępowanie jest tylko do-

wodem najwyższego egoizmu pleci naszej. Zresztą nie-
zyczyłbym sobie wcale żony, któraby była wierném mnie
samego odbiciem. Co mi po bezrozumnym arkuszu bi-
buły, któryby tylko wciągał w siebie wszystko co ja po-
wiem, i któryby tym sposobem stawał się tylko bladym
oddrukiem moich myśli i wyobrażeń. Mnie potrzeba ko-
bięty, któraby zupełny kontrast ze mną stanowiła; —
wszystkie zbawienne wstrząśnienia w życiu, mają źródło
we wzajemném przeciwieństwie.

— No, a ja myślałam, rzekła Anna, że człowiekowi
takich potrzeba przyjaciół, z któremiby mógł żyć zgo-
dnie. —

— Tak jest rzeczywiście; ale bo też nie się na świe-
cie lepiej ze sobą nie zgadza, jak to, co sobie jest prze-
ciwne. Tak np. w muzyce nieżądamy ciągłego powta-
rzania się tych samych nót, ale rozmaitych tonów, które
razem tworzą harmoniją; — i owszem, nawet dyssonanse
są koniecznie potrzebne do harmonii. Otóż widzisz, Nina
właśnie posiada ton różny od mojego, który jednak
z moim akord stanowi. Wszystkie te nasze małe sprzecz-
ki, — a mieliśmy ich już porządną ilość, i zapewne na-
przyszłość nam ich niezabraknie, — są to niby owe chro-
matyczne gamy, owe dyssonanse, które przez septymę
znów do toniki prowadzą. Ja żyję życiem wewnątrz
zamkniętém, badawczém, absorbeyjnym; — jestem hypo-
kondrykiem, nudziarzem, i dla tego właśnie potrzeba mi
jój żywości. Ona mię pobudza, popycha, utrzymuje w cią-
głej czynności, a jój trafny instynkt, jest jakby nau-
myślnie stworzony dla mojego rozumu. Dla tego też
ubóstwiam to dziecko mimo jego błędów, bo ono mię
wielu rzeczy nauczyło.

— Ha! jeżeli tak, zawołała śmiejąc się Anna, to już muszę ustąpić. — Kiedy rzeczy już tak daleko zaszły, że aż o ubóstwianiu Niny Gordon mówisz, to widzę, że już muszę cię jęj odstąpić; i jeszcze będę tyle wspomniała, że zniosę to z najlepszą miną z jaką potrafię. Chcę mieć nadzieję, że wszystko tak będzie jak sobie wyobrażasz, a w każdym razie niczego niezaniebdam, coby cię w nowych twoich stósunkach uczynić mogło tak szczęśliwym, jak na to zasługujesz.

— Niechże Bogu będą dzięki! Otóż teraz jesteś znowu Anną Klayton! Słowa te są godne ciebie siostró, i ja sam niepotrafiłbym nic lepszego powiedzieć. Uczyniłaś zadość twemu sumieniu, — zrobiłaś wszystko co było w twojéj mocy, a teraz zgadzasz się na to co widzisz nieuchromém. Wiém że Nina cię pokocha, — a jeżeli nie będziesz gwałtem narzucać się jęj z radami i z wpływem swoim, osiągniesz go właśnie w wysokim stopniu. Wielu, rozumnych nawet ludzi, długiego czasu potrzebują, nim przyjdą do tego przekonania, Anno; zdaje im się że coś dobrego świadczą bliźniemu, mięszając się w jego czynności i dając mu rady, a niewiedzą o tém, że żyć tylko potrzeba, aby przykładem dopiąć swojego celu. Z początku gdym poznał Ninę, byłem tyle nierozsądny, że chciałem jęj rad swoich udzielać, — ale teraz rozumiem się na tém lepiej. Wszystko, co pozostaje do uczynienia mamie i tobie, gdy Nina wśród nas wejdzie, ogranicza się na tém, abyście ją życzliwie przyjęły, i żyły tak, jak teraz żyjecie; — w ten sposób wszystko co w niej potrzebuje zmiany, samo z siebie się odmieni.

— No, kiedy już rzeczy na tym stopniu stoją, rzekła Anna, to pragnęłabym bardzo ją obaczyć.

— Ja myślę, żebyś przypisała kilka wierszy do listu, który mam właśnie do niej napisać; — to utoruje drogę do wzajemnych odwiedzin.

— Chętnie, kochany Edwardzie, uczynię wszystko wedle twego życzenia. —

Rozdział IV.

RÓDZINA GORDONÓW.

Kilka tygodni upłynęło od chwili, gdyśmy poraz pierwszy Ninę Gordon pokazali czytelnikowi, — a przez ten czas ozwyczaiła ona się ze szczegółami swego domowego życia. Pozornie była ona panią i władczynią w swój plantacyi, ale w istocie, młodość jej i niedoświadczenie, oraz niezajomość praktycznej strony życia, oddawały ją w ręce tych, którym na pozór rozkazywała.

Obowiązki pani domu w południowych plantacyach, trudniejsze są niżby się to komu zdawać mogło. Każdy przedmiot do codziennego użycia przeznaczony, musi tam pod ścisłym zostawać zamknięciem, a nawet gdy przyjdzie chwila jego użycia, musi być starannie rozdzielony, gdyż służący tamtejsi są to po większej części stare dzieci, bez zastanowienia, bez oględności, bez żadnej władzy nad sobą, żyjące w ciągłych sprzeczkach między sobą, podzielone na stronnictwa, tak, że najmniejszego śladu jakiegokolwiek rozumnej czynności dopatrzeć się u nich niepodobna. Każda część odzienia tych paruset albo i więcej ludzi, musi być przez panią obmyślona, kupiona, pod jej nadzorem przykrojona i uszyta; — dodajmy do tego starania około dzieci, do których własne ich matki nie są zdolne, a będziemy mieli słabe pojęcie

o ogromie ciężaru, spoczywającego na głowie pani domu w prowincjach południowych. —

Czytelnik widział Ninę w chwili jęj powrotu z Nowego Jorku, może sobie zatęm łatwo wystawić, jak dalece niezdolną była do podjęcia ciężkich obowiązków takiego życia.

Od czasu śmierci matki Niny, stanowisko pani domu zajmowała pozornie jęj ciotka Mrs. Nesbit, ale rzeczywistość, wodze domowego zarządu trzymała stara Mulatka imieniem Katy, którą matka Niny naumyślnie włożyła do tego. — Mimo zwykłego u Negrów braku doświadczenia i dziecinnego umysłu, niektórzy z nich posiadają wielkie zdolności praktyczne. Zdolności te, uważane póspolicie jako wyłączny monopol ludzi wolnych i ucywilizowanych, rozwijają się zwykle wtedy, gdy potrzeba, albo wrodzony takt, zmuszą pana do wybrania takiego slugi, i postawienia go na stopie pewnej niezawisłości i odpowiedzialności. — Matka Niny będąc słabowitą, zmuszoną była wiele odpowiedzialności złożyć na „ciotkę Katy“, która w ten sposób, wykształciła się pod jęj okiem na wyborną, roztropną gospodynią. W wysokim czerwonym turbanie, z pękiem brzęczących kluczy, i z dumą jaką ją napawało przekonanie o ważności jęj urzędu, była to bardzo poważna osoba, której lekko pominąć nie można.

Zachowywała ona najwyższe uszanowanie względem swojej młodej pani, i przez grzeczność pytała się jęj zwykle, co rozkaże. Wiadomą przecież było rzeczą, iż Nina każde rozporządzenie ciotki Katy zatwierdzi, tak jak królowa zawsze skłania ucho, na rady swego ministra. A jeżeli przypadkiem zacheiało jęj się w rozporzą-

dzeniu t \acute{e} m robić jakie zmiany, to ciotka Katy, nieprzekraczając bynajmniej granic winnego uszanowania, umiała ją wprowadzić natychmiast w labirynt nieskończonych płatanin. A że Nina przedewszystki \acute{e} m lubiła wygodę, i wiele czasu potrzebowała na zabawę, powzięła więc mądry zamiar: niewtrącać się w rządy Katy, a schlebianiem i perswazyą otrzymywać od niej to, coby jej trudno było wymó \acute{z} z na konsekwentnej i upartej staruszce, gdyby ją na mocy sw \acute{e} j władzy zmusić do tego chciała.

W podobny sposób, na czele zewnętrznych interesów stał Harry, młody Kwadron, któregośmy już wprowadzili na scenę w pierwszym rozdziale. Aby wyjaśnić st \acute{o} sunek w jakim on zostawał do plantacyi, musimy się zwyczajem powieściopisarkim o jakie sto lat w tył cofnąć, aby czytelnikom dać pewien punkt oparcia. —

Pomiędzy pierwszemi wychodźcami do Wirginii, w czasie jej kolonizowania, był Tomasz Gordon, potomek znakomitej rodziny Gordonów, która się w historii szkockiej sławą okryła. Był to szlachcic obdarzony od natury wielką energią, któremu szczupłe granice starego świata były zaciasne, bo wśród nich mało znajdował sposobności zrobienia majątku odpowiedniego godności jego rodu, — i dla tego udał się do Wirginii. — Będąc z natury awanturniczego nieco usposobienia, powziął on pierwszy śmiałą myśl założenia osady nad brzegami *Chowan River*, — która to myśl później nader trafną się okazała. Zajął w posiadanie wielki obszar podmokłego kraju, i uprawił go z właściwą jego narodowi zręcznością i energią. Grunt był świeży i żyzny, i przedsięwzięcie jego, najświetniejszym skutkiem uwieńczone zostało. — Ożywiona wspomnieniami sławy swoich przodków, rodzina

Gordonów przekazała swoim potomkom wszystkie tradycje, uczucia i zwyczaje, całej téj arystokratycznej kasty właściwe. Osada otrzymała nazwę „Kanema“ od imienia Indyanina, który staremu Gordonowi służył za przewodnika i tłumacza, i ślepo był do niego przywiązany.

Osada ta prawem spadku przechodziła następnie z jednego członka rodziny Gordonów na drugiego, — a bogactwa ich zdawały się z każdą powiększać generacyą.

Budynek mieszkalny postawiony był w stylu, w jakim w Anglii budują zwykle wiejskie mieszkania, — w stylu, który osadnicy tak lubią naśladować, o ile im na to ich stan pozwala.

Snycerze i cieśle z ogromnym kosztem sprowadzeni zostali ze starego świata, aby pracą i sztuką swoją dodali piękności budowie. Gordon, który ten dom stawiał, ze szczególném zamilowaniem ozdobił go niezmierném bogactwem budowlanego drzewa, we wszystkich najrzadszych gatunkach, jakie tylko w Ameryce znaleźć można. Odprawił on umyślnie w tym celu awanturczą podróż do południowej Ameryki, i ztamąd sprowadził gatunek drzewa, dającego materiał równie piękny jak drzewo różowe, a twardy jak heban. Drzewo to rośnie nad brzegami rzeki Amazonki w takiej obfitości, że go krajowcy na budulec używają. Z pniaków tego pięknego drzewa, ułożona była posadzka w głównej sieni domu.

Zewnątrz dom ten był starowirgińskiej struktury, z dwoma rzędami ganków, które budynek obiegają do koła, i lepiej przypadają do amerykańskiego klimatu, aniżeli jakkolwiek europejski sposób budowania. Wnętrze ozdobione było rzeźbą i snycerskiemi wyrobami. Niektóre z nich przedstawiały stare zamezyska szkockie, będące

niegdyś w posiadaniu Gordonów, — i nadawały gmachowi pozór starożytności.

Tutaj mieszkała rodzina Gordonów przez dwa czy trzy pokolenia, opływając w bogactwa i zaszczyty. Jednak, jeszcze za życia ojca Niny, a bardziej jeszcze po jego śmierci, poczęły się w niej pojawiać znaki powolnego upadku, który niejedną rodzinę wirgińską do ubóstwa i nędzy doprowadził. Praca niewolników wyczerpała rodzajne siły ziemi; posiadacze powoli utracili tę energiją, którą konieczność wywoływała w pierwszych osadnikach, i wszystko odbywało się z tém wygodném niedbalstwem, wśród którego pan i niewolnicy zdawali się mieć jeden wspólny zamiar przekonania się, kto z nich swobodniej czas i pieniądze marnować potrafi.

Półkownik Gordon umierając, córce swojej przekazał całą posiadłość, zostającą pod nadzorem slugi, którego zdolności i wierności niezaprzeczone miał dowody. Wziąwszy na uwagę, że nadzorcy są to zwykle ludzie biali, którzy częstokroć głupsi i dziksi są od samych niewolników, — że ich rozrzutność i drapieżnia cheiwość znane są powszechnie, — łatwo pojąć, że półkownik Gordon zostawiwszy plantacyą swoją pod nadzorem tak energicznego, pewnego i wiernego człowieka jakim był Harry, przekonany był, że los córki, jak tylko mógł najlepiej zabezpieczył.

Harry był synem swego pana, i wiele odziedziczył z powierzchowności swego ojca, złagodzonej jednak podobieństwem do matki, lubej, pięknej Mulatki imieniem Eboe. Z tego to powodu Harry otrzymał wychowanie, które go wynosiło ponad ludzi jego klasy. W ciągu podróży po Europie, w której ojcu swemu jako służący

towarzyszył, znalazł sposobność wzbogacenia znacznie zasobów swoich wiadomości, — i wtedy rozwinął się w nim i wyrobił ów właściwy takt, z jakim ludzie krwi mięszanej umieją pochwytywać najdelikatniejsze strony konwencyonalnego życia. — Ztąd też poszło, iż w jakimkolwiek kole towarzyskiem, trudno było znaleźć człowieka lepiej i przyjemniej ułożonego jak Harry. Że pólkownik Gordon człowieka z takim charakterem, a do tego jeszcze własnego syna, zostawił w więzach niewoli, przyczyną tego było namiętne przywiązanie do córki, które mu na wszystkie inne względy zapomnieć kazało. Powiedział sobie, że tak wykształconemu człowiekowi wiele dróg stałoby otworem, gdyby był wolnym, — że mogłaby go zdjąć pokusa, plantacyą zdać na cudze ręce, a samemu szukać szczęścia w świecie, — i dla tego postanowił zostawić go i nadal w tych więzach, w nadziei, że przywiązanie jego do Niny, przymus ten znośnym mu uczyni.

Obdarzony niepospolitą siłą charakteru, trafnym sądem i głęboką znajomością ludzkiej natury, Harry potrafił uzyskać przeważny wpływ na mieszkańców plantacyi, i wszystko, częścią z przyjaźni, częścią z bojaźni, było mu tam posłuszne. Exekutorowie testamentu niekorzystali prawie zupełnie z prawa wglądania w jego czynności, a tak mógł on wszystkie swoje plany i zamiary przeprowadzać z zupełną niezależnością wolnego człowieka. Wszyscy na milę do koła znali go i szanowali, — i gdyby w spuściznie po krwi szkockiej co w jego żyłach płynęło, nie był oddziedziczył skłonności do smutku i zadumy, byłby mógł żyć szczęśliwie, i zapomnieć o kajdanach które go wcale nie gniotły.

Tylko obecność Tomasza Gordona, szlubnego syna półkownika, przypominała mu że jest niewolnikiem. Od dzieciństwa, powstała była między dwoma braćmi nienawiść, która z latami zakorzeniała się coraz głębiej, — a ponieważ za każdą bytnością młodego człowieka w osadzie, Harry widział się wystawionym na przycinki i obelgi, na które odpowiedzieć, jego położenie mu nie dozwalało, postanowił więc nie żenić się i nie wchodzić w rodzinne koło, dopóki niebędzie w stanie rozrządzać dowolnie losem swoim i swojej rodziny. Atoli wdzięki jednej pięknej francuzkiej Kwadronki, odniosły zwycięstwo nad tém postanowieniem.

Historya Tomasza Gordona, jest to historia bardzo wielu młodych ludzi, którzy wzrosli pod temi samemi prawami, i wśród tych samych towarzyskich stósunków. Natura obdarzyła go była niemałemi zdolnościami, i tą niebezpieczną, bystrą, nerwową organizacyą, która podobna do ognia, dobra jest kiedy się nad nią panuje, ale straszna, jeśli sama dorwie się panowania. Gdyby uśpione w nim żywioły użyte były jak należało, byłby się z niego wyrobił człowiek czynny, wygadany, pożyteczny. Ale on od dzieciństwa żył między sługami, dla których dziecinna jego wola była prawem, — potem jako młodzieniec otoczony był niewolnikami, o których moralności, jak to zwykle bywa w plantacyach, niewiele da się powiedzieć. To téż namiętności jego w młodym bardzo wieku straszliwie się rozwinęły, i zanim ojciec pomyślał o uchwyceniu cugli swój władzy nad nim, już one się na zawsze z ręki jego wymknęły. Wzywano nauczycieli jednego po drugim, ale wszyscy niedługo bawili, bo temperament Tomasza wszystkie ich usiłowania

daremnemi czynił. Samotne położenie osady odejmowało jęj powab towarzyskiego pożycia, który częstokroć jest dzielnym pomocniczym środkiem, do powściągnięcia i upamiętania zepsutego chłopca. Towarzystwo jego składali niewolnicy i dozorecy, ludzie niemoralni i złośliwi, — albo wreszcie biali, należący do klasy stojącej na wyższym jeszcze stopniu moralnego zepsucia. Interes nakażywał tym ludziom pochlebiać jego występkom, i pomagać mu w sprzeciwianiu się woli rodziców, i ich oszukiwaniu. Tak więc, bardzo wczesnie stał on się pilnym uczniem w szkole występku. — Nareszcie z rozpaczki posłano go do jednej z akademij na północy, gdzie pierwszego dnia zaraz karierę swoją od tego rozpoczął, że uderzył w twarz profesora, i w skutek tego wypędzony został. Z tamąd udał się gdzieindziej, — i tam, nauczony doświadczeniem, dłużej już utrzymać się potrafił. Tutaj szczęśliwie udało mu się nabyć obszernych wiadomości: o nożach „Bowie“ zwanych, o rewolwerach, i o sprośnej literaturze. Ponieważ był przebiegły, śmiały i przedsiębiorczy, przeto rok jego tam pobytu wystarczył mu na to, żeby czwartą część przynajmniej swoich towarzyszków naprowadzić na drogę zepsucia. Był piękny, — gdy go niedrażniono łagodny, i posiadał wybornie ten niedbały sposób wyrzucania pieniędzy, który między młodemi chłopcami za wspaniałomyślność uchodzi. Prostuduszni synowie pracowitych dzierżawców, wychowani wśród pracy i mierności, byli olśnieni i zachwyeceni łatwością, z jaką on mówił, pił, pluł i kłął; — był on bohaterem w ich oczach, — a oni biedacy poczęli się dziwić niepomału, że jest wiele rzeczy na świecie o których im się przedtém ani śniło, a które jednak do po-

trzeb życia należeć się zdają. — Z téj szkoły przeniesiono go następnie do pewnego kollegium, i umieszczono u pewnego profesora, któremu ogromne pieniądze płacono za to, aby się nim opiekował i miał oko na niego. W skutek tego stało się, że gdy inni chłopcy, których rodzice niemogli tyle od nich płacić, byli nieraz surowo karani, grubijańsko traktowani, albo całkiem wypędzeni, Tomasz Gordon chwalebnie szedł coraz dalej swoją drogą, upijał się dwa albo trzy razy na tydzień, wybijiał okna, drażnił i męczył lisy, rozliczne figle w rozmaitych stronach płał, — a w końcu postępował jednak do coraz wyższej klasy. Jak się to działo, nikt o tém nie wiedział prócz profesora, który za trudy swoje w téj mierze, osobne jeszcze dostawał wynagrodzenia. Gdy Tomasz Gordon do domu powrócił, uczęszczać począł do bióra jednego adwokata w Raleigh, — oddano się tedy słodkiej nadziei, że się prawa uczy, gdyż w wolnych chwilach, które mu zostawały od gry, włóczęgi i pijaństwa, widywano go w biurze rzeczywiście. Ojciec jego, człowiek pełen uczucia, ale namiętny, nieumiał go całkiem prowadzić, a sprzeczki między niemi, zakłócały często całe domowe pożycie. Mimo tego pólkownik Gordon oddawał się słodkiej nadziei, że Tomasz nareszcie naklnie się dowoli, usatkuje się, i stanie się porządnym człowiekiem, i w téj nadziei oddał mu połowę swego majątku. Od téj chwili zdawało się, że Tomaszowi o nic innego niechodziło, jak tylko o to, jakby tu najprędzej roztrwonić tak lekko nabyty majątek, i siebie w ubóstwo i nędzę pogrążyć.

Jak się to zwykle dzieje w razach takiego ostatecznego zepsucia, wszystkie, nawet dobre przymioty To-

masza Gordon, przyczyniały się tylko do pogorszenia jeszcze jego charakteru; — zostało mu bowiem tyle poznania i przekonania wewnętrznego, że sam z siebie ciągle był niezadowolony. W miarę im bardziej czuł się niegodnym przywiązania i zaufania ojcowskiego, rosła w nim zazdrość i złość, za każdą razą gdy ich brak poczuł. Niecierpiał siostry jedynie dla tego, że ojciec znajdował właśnie w niej pociechę i podporę, których w nim znaleźć nie mógł. Od dzieciństwa szczególnie miał upodobanie w dręczeniu jej i dokuczaniu, — i to też między innymi spowodowało Harrego, że namówił Jana Gordon, stryja i opiekuna Niny, aby ją oddał na pensję do Nowego Jorku, gdzie też otrzymała to, co nazywają wychowaniem. Po upływie czasu, który na jej pobyt tamże przeznaczono, — przepędziła kilka miesięcy wśród rodziny jednej z krewnych swjej matki, gdzie używała w pełni uciech eleganckiego świata.

Szczeniem zachowała ona nienaruszone zamiłowanie w naturze, które jej uprzyjemniało chwile wiejskiego życia na plantacyi. Sąsiedztw było tam bardzo mało. Plantacya jej stryja, jakie pięć mil odległa, była najbliższem sąsiedztwem, a posiadłości innych rodzin, z któremi Gordonowie w przyjaznych żyli stosunkach, były dziesięć lub piętnaście mil oddalone. Jednak Nina znajdowała zabawę w bieganiu po plantacyi w muślinowej sukni i słomianym kapeluszu, w szczebiotaniu z murzynami, i w rozlicznych fraszkach, które przez czas jej oddalenia, wdzięku nowości dla niej nabyły. Lubiła także się na koń, i w towarzystwie Harrego, albo którego ze służących, uganiać po lasach gdzie rosło wielkie mnóstwo kwiatów. Czasami też wyjeżdżała na cały dzień

do swego stryja, z którym posprzeczawszy się, wracała zwykle nazajutrz.

Wśród tego samotnego życia, duch jęj znalazł sposobność otrząśnienia się z niejednego błędu, podobny do wody, która postawszy dłuższy czas spokojnie, osadza męty na spodzie. Oddalona od tęg hałaśliwęg rzeszy i od świata pełnego zabaw, który jęj głowę zawracał, niemogła się na wielu jego głupstwach niepoznać. Wiele do tego przyczyniły się także listy Klaytona. Ton w którym były pisane, był zawsze tak męzki i szczerzy, tak pełen szacunku i przyjacielski, tak daleki od pochlebstwa i wszelkięg sentymentalności, że wywierały na nią wpływ większy aniżeli myślała. Aż nareszcie jednego dnia stało się, że Nina usiadła z właściwą sobie determinacyą i napisała do pozostałych dwóch konkurentów swoich listy z rekuzą, co jęj wielki ciężar zdjęło z serca. —

Niepodobna nawet pomyśleć, żeby istota taka młoda jak Nina, mogła zostawać w większej niż ona niezależności od swych krewnych, chociaż obecność przy niej siostry jęj matki, zdawała się stawiać ją pod jęj opieką.

Rzeczywiście jednak, Mrs. Nesbit, była tylko jednym z tych dobrze wychowanych i dobrze ubranych automatów, u których cel życia zdaje się ograniczać na tém, że zamieszkują pewien pokój w domu, że w oznaczonym czasie zajmują pewne miejsca, i we właściwych przestankach wśród rozmowy, wygłaszają pewne zdania. W młodości swojej dama ta miała sławę piękności. Natura obdarzyła ją była piękną twarzą i przepyszną figurą, a młodość i powszechne uwielbienie, zastąpiły

w niej na czas pewien brak zupełny wewnętrznego życia. Poszła za męża bardzo młodo i została matką siedmiorga dzieci, które jednak śmierć, jedno po drugim zabrała. Po śmierci męża który ją z bardzo małym majątkiem odumarł, kontenta była, że znalazła u swęj rodziny przytulisko. — Mistres Nesbit miała się sama za bardzo religijną; a że wiele praktyk któremi ona się zajmowała, zwykle za religią uchodzi, przeto chcielibyśmy dać czytelnikowi bliższe objaśnienie jęj religijnego uczucia.

Gdy była młodą, myślała tylko o sobie, ubiegając się za hołdami, i puszczając cugle swoim marzeniom; gdy weszła w związki małżeńskie, obok męża i wśród dzieci, myślała znów tylko o sobie, a ich kochała tylko dla tego, że do niej należeli.

Gdy śmierć zniszczyła jęj domowe kółko, a czas odarł ją z wdzięków i świeżości, miłość jęj własna inną postać przybrała, — bo gdy spostrzegła że dawny świat już zamierzchł dla niej, postanowiła czynić wszystko co tylko było w jęj moey, aby jak najwyższe poważanie wymódz dla siebie na ludziach.

Religią nważała ona jako bilet wejścia, który raz kupiwszy i zawiąwszy starannie w chusteczkę od nosa, potrzeba dopiero u bramy niebieskiej wydobyć i pokazać, aby niezawodny wstęp uzyskać.

Dopóki więc mniemała, że sobie tego biletu niezakupiła, wyglądała bardzo umartwiona i przygnębiona, i grzebała się wśród masy pism teologicznych, których sam widok, za czasów jęj świetności, byłby ją w niemale wprawił podziwienie. Nareszcie po pewnym przeciągu czasu zameldowała się w sąsiedzkim kościele pre-

sbyteryjańskim, i oświadczyła chęć swoją należenia do *chrześcijańskiego kursu*. Przez taki kurs chrześcijański rozumie się następujące obowiązki: ukazywanie się w pewnych, oznaczonych terminach na zebraniach religijnych, czytanie w pewnych dnia godzinach biblii i psalterza, dawanie w oznaczonym czasie pewnej summy na uczynki chrześcijańskiego miłosierdzia, i zachowanie zupełnej, obojętnej pobłażliwości względem wszystkich ludzi, i wszystkich rzeczy na świecie.

Szczęśliwa była w tém przekonaniu, że zerwała ze światem, — bo ze wstrętem patrzała na jego rozkosze, w których słabość i brak wszelkiej świeżości ducha, niepozwalaly jęj brać już udziału. — Nie przeszło jęj nawet nigdy przez głowę, żeby ta gorliwość, z jaką obecnie duch jęj po wązkiej ścieżce egoizmu wędrował, miała być tęg samej natury, co dawniejszy jęj zapal, z jakim stroiła się i tańczyła. Nowy ten egoizm ograniczał się na przywiezywaniu niezmiernęj wagi do fałdów na rannym czepeczku, do kroju piaskowych atlasowych sukien, do przyrządzenia herbaty i łóżka, wreszcie do rozdzielania szczupłego jęj dochodu. Podobnie jak wiele osób, żadnego na pozór nie okazujących charakteru, posiadała ona upór nieprzewyciężony; — i jakkolwiek plany jęj w życiu były bardzo ograniczone, miała ona jednak swoje wyobrażenia, których uporeczywie się trzymała. — Poczciwa kobieta nieprzeczuwała nawet, żeby się pod jakimkolwiek względem mogło do nięj stósować dowodzenie Pana Othodoxy, który wykazuje, że samolubstwo jest kwintessencją wszelakiego złego, — i ani pomyślała, żeby mały, spokojny strumyk jęj miłości własnej, który tak cicho i łagodnie toczył swoje nurty,

mógł podkopać ję nadzieje i pretensye jakie sobie rościła do nieba. Mrs. Nesbit znosiła naturalnie widok Niny i innych młodych i pełnych życia osób, z pewnym rodzajem melancholicznej rezygnaeyi, — jako zgrozą przejmujące uosobienie światowości. Słaba też bardzo sympatya panowała między wesolą, szczebiotliwą, śmiałą Niną, a pochmurném, siwo-popielattem widmem, które się cichuteńko po domu ję ojca ślizgało. Zdawało się nawet, że ciotka znajdowała złośliwe upodobanie, w straszaniu swęj krewnej przy każdej sposobności. Oprócz tego Mrs Nesbit poczytywała sobie za obowiązek, przywoływać czasami swoją hożą siostrzenicę do swego pokoju, i nakłaniać ją do czytania ksiązek takich; jak odezwa Lawa, albo uwagi Owena nad sto dziewiętnastym psalnem. Posuwała się nawet do przypominania ję o marnościach tego świata, pod któremi rozumiała ubieranie się w inny kolor jak czarny albo popielaty, taniec, zalotność, pisanie i odbieranie listów miłosnych, i inne jeszcze tego rodzaju główne grzechy. Podobna scena dzieje się właśnie w tęj chwili w pokoju zanej damy, dokąd łaskawego czytelnika zapraszamy ze sobą.

Mrs. Nesbit, szczupła, niebieskooka, delikatnej powierzchowności osoba, kołysała się z lekka w wygodném amerykańskiem huśtającym się krześle. Każdy szelest ję srebrzystęj jedwabnej sukni, każdy fałd ję czystiejszej chustki na szyi, każdy zmarszczek ję śnieżnego rannego czepka, świadczył o duszy, która się już dawno od świata i zabiegów jego odsunęła. Jednakże na łóżku, z największą posłaniem akuratnością, leżał formalny chaos francuzkich strojów, wstążek, kutasów, ko-

roniek, które ręka Niny w ciągłym utrzymywała poruszeniu, tak, że kiedy wszystkie te delikatne a różnobarwne przedmioty przed oczyma swjej krewnej rozwijała, rozkładała i rozrzucała, zdawało się zupełnie, że to lekki wietrzyk, grzędą okrytą kwiatami porusza.

— Wszystko ja to już przeszłam, moja Nino, — mówiła zacna dama smutnie potrząsając głową, — i wiem jak to wszystko jest znikome!

— Wierzę, ciociu, — ale ja tego nieprzeszłam, i nie wiem nic o tém.

— Tak, tak, moja kochana, gdym była w twoim wieku, lubiłam także chodzić na bale i w towarzystwa, i o niczem niemyślałam tylko o tém, żeby się ustroić, i żeby się podobać. Wszystko to już przeszłam, i znam marność tego wszystkiego!

— Otóż ciociu, jabym także chciała to wszystko przejść, i poznać marność tego wszystkiego. To jest mojem najsilniejszym życzeniem. Ja już nawet jestem właśnie w trakcie zostania równie pochmurną i poważną jak ciocia, ależ muszę wprzód użyć chwil wesolych. Niech jeno się ciocia tylko przypatrzy tej różowej materji.

Gdyby materja ta była całunem grobowym, niemożliwą była bardziej żalosego ściągnąć na siebie spojrzenia.

— Ach! dziecię! Na tym znikomym świecie tyle myśli i czasu na stroje poświęcać!

— Ej, ciociu Nesbit, wczoraj właśnie potrzebowałam akurat dwie godziny na to, żeby się zdecydować, czy kwiatki na twojej czarnej materyalnej sukni mają iść nadół czy dogóry, — a przecież świat wczoraj był ró-

wnie znikomy jak dzisiaj. Doprawdy, nierozumiem eoby to miało być lepszego myśleć o kolorze czarnym niż o różowym?

Zdawało się, że zacna dama z téj strony jeszcze nierozważała tego przedmiotu, i dla tego nic nieodpowiedziała. —

— No, kochana ciciu, — ale co teraz to musisz się choć trochę wypogodzić, i obejrzeć to pudełko sztucznych kwiatów. Zapisałam sobie znaczny ich zapas z Nowego Jorku, — czy nie ładne? Ja tak lubię kwiatki, które przecie do czegoś są podobne, a te tak doskonale naśladują prawdziwe, że ledwie je od nich rozróżnić można. Przypatrz się ciciu tym różom, albo tym ślicznym auryklom, — czyż nie wyglądają, jakgdyby świeżo były uszczknięte? A ten słonecznik i jaśmin, a te pomarańczowe kwiaty, albo ta kamelia z wosku...

— Odwróćcie się oczy moje od téj próżności! zawołała Mrs. Nesbit, a zamknawszy oczy i wstrząsając głową zadeklamowała

„Jakkolwiek pysznie strojni będziecie,
Ten sam los czeka was na tym świecie;
I ciało twoje, człowiecze płochy,
Robak roztoczy na marne prochy!“

— Doprawdy ciciu, ty jesteś właścicielką najobrzydliwszego zbioru pieśni nabożnych, jakie tylko istnieją pod słońcem. We wszystkich jest tylko mowa o robakach, o prochu i o zgniliznie. —

— Moje dziecko, jest to moim obowiązkiem przypo-

minąć ci o tém, gdy cię widzę tak bardzo tym grzesznym strojem zajęta.

— Ale dla czego też ciocia sztuczne kwiatki za grzeszne uważa?

— Bo są grzeszném marnotrawieniem czasu, i myśli nasze odwracają od ważniejszych przedmiotów.

— Kiedy tak, to powiedzże mi kochana ciociu, na co dobry Bóg stworzył te piękne aurykle, te róże, i pomarańczowe kwiecie? Ja bo jestem przekonana że dla tego, aby na wzór ich sztuczne kwiatki ludzie robić mogli. Prócz tego Pan Bóg nie uczynił wszystkiego szarém i popielatém! Ach ciociu! gdybyś była dziś rano wyszła na ogród, i obaczyła te oleandry, te mirty, te gwoźdźki, te róże, te tulipany i hiacynty, pewna jestem, żeby ci to wielką sprawiło przyjemność.

— A, niech mię Bóg broni! Zaziębiłabym się niezawodnie, ledwiebym wyszła. Kiedyś wieczór Milly zostawiła tylko kwaterekę w oknie otwartą, a już od tego czasu ze trzy albo cztery razy kichnęłam. Chodzenie po ogrodzie wcale mi nie służy. Wilgoć którą z ziemi wciągają w siebie moje trzewiki, szkodzi mi bardzo.

— W każdym razie, ja myślę moja ciociu, że gdyby Pan Bóg był niechciał żebyśmy się ubierali w kwiatki, toby ich był nie stworzył, i sądzę, że zamiłowanie w kwiatkach jest rzeczą najnaturalniejszą na świecie.

— Ono podsyca tylko próżność i zalotność moja kochana. —

— Ja zaś niemyślę, żeby to [miało być] próżnością albo zalotnością. Co do mnie, to gdybym nawet sama jedna była na świecie, i takbym czuła potrzebę ubierania się pięknie; bo ja lubię piękne rzeczy, dla tego że piękne,

i lubię się w nie dla tego ubierać, że w nich pięknie wyglądam.

— To też to właśnie nieszczęście, moje dziecko, że ty lubisz stroić to śmiertelne ciało! — to właśnie!

— Zapewne że lubię — bo i czegożbym lubić nie miała. I będę się starać, dopóki tylko żyć będę, żeby zawsze jak najładniej wyglądać.

— Ty widzisz masz bardzo wysokie wyobrażenie o swojej piękności! — zawołała trochę szydyczko ciotka Nesbit.

— A, bo wiem żeś ładna, i wcale niemyślę się tego zapierać. Podobam się sama sobie, — to więcej niż pewna! — Wiem że niejestem wcale podobna do greckich posagów, — że niejestem klasycznie piękna, — i że świat z powodu mojej piękności nie okryje się pożogą. Ja sobie jestem poprostu ładna, mała dziewczynka, która lubi kwiatki, koronki, i wszystkie tym podobne rzeczy, i która myśli je zawsze lubić, bo niewierzy, żeby to najmniejszy pożytek przyniosło religii, gdyby ich nie lubiła. Co się zaś tyczy owych szkaradnych pieśni o robakach itd, które mi ciocia ciągle przytaczasz, to sędzę, że one mi żadnego nieprzyniosą pożytku, bo jeżeli religia ma mię uczynić taką zimną na wszystko jak ciocia, to stronić od niej będę jak najdalej.

— Ja właśnie tak samo myślałam, moja kochana, alem się przekonała o własnem mojem głupstwie.

— Ze mną gdyby miało przyjść aż do tego, żebym straciła miłość wszystkiego co piękne, co hoże, co przyjemne, i tylko takie głupie książki miała czytać, — ha! to wolałabym umrzeć raczej.

— Jest to jedna z tysiącznych ułomności serca ludzkiego, moja kochana.

Rozmowa przerwana została wejściem ładnego, kędzierzawego chłopca Mulata, który Mrs. Nesbit codzień śniadanie przynosił.

— Aha! Otóż i Tomtit, zawołała Nina, — będziemy mieli zaraz jaką scenę. Ciekawam, czego on też dzisiaj zapomniał.

— Tomtit pod pewnym względem odgrywał w domu znakomitą rolę. On i jego matka byli własnością Mrs. Nesbit. Rzeczywiście było mu na imię Tomasz, ale Nina, którą wielce bawił ten chłopiec, z powodu swego dziwnego, śmiesznego usposobienia, stworzony jakby umyślnie na udreczenie ludzi spokojnych, przekreśliła to imię na Tomtit, i wkrótce nikt w całym domu nie nazywał go inaczej. — Cała jego istota zdawała się być w ciągłym ruchu i zawrocie, a w jego filuternych oczach igrała wiecznie ochota do śmiechu. Chociaż był niewolnikiem, jednak zdawało się że wyobrażenie o uszanowaniu dla kogobądźkolwiek, spało w najlepsze pod tą kędzierzawą czaszką. — Jedyne też żywsze wzruszenia przytrafiające się w spokojnym życiu Mrs. Nesbit, miały źródło w wiecznej kłótni z Tomtitem; — przynajmniej czterdzieści albo pięćdziesiąt razy przez dzień zapewniała go staruszka, że postępowanie jego zupełnie jej mowę odejmuje, a on za każdą razą odpowiadał jej na to otwierając szeroko usta pełne przepysznych zębów, niebaczny, że tym sposobem w nową rozpacz ją wprowadzał. —

Zaledwie wszedł do pokoju, wzrok jego napotkał owe błyszczące przedmioty porozrzucane na łóżku; postawi-

wszy więc czempredziej tać z herbatą na pierwszym lepszym stołku, jednym wiewiórczym skokiem był już przy łóżku, i usiadłszy na jego krawędzi z wyciągniętymi nogami, począł się oddawać głośnym wybuchom radości.

— O, mój Boże! nie! Mis Nino, zkađ to wszystko brać się na świecie? Mój Boże! mnie także coś z tego— prawda?

— No, przypatrz się co to za chłopak! zawołała Mrs. Nesbit, huśtając się w swoim krześle z miną męczennicy. Mimo tylu moich nauk! Nino, ty niepowinnaś tego cierpieć, — to go ośmiela tylko.

— Pójdź ztađ Tomtit, nieznośny chłopeze! weź stoliczek i postaw na nim tać. Miej przecie rozum! — rzekła śmiejąc się Nina.

Tomtit wywinął kozła z łóżka na ziemię, i śpiewając na cały głos: „Stawiam mój pieniąż na kusego konia,“ począł tańczyć do koła z małym stolikiem, jakby z tancerką, i wreszcie postawił go z silnym zamachem przed Mrs. Nesbit, która chciała mu wyciąć policzek. Ale gdy chłopiec zręcznie głowy uchylił, ręka jój z większą niżby sobie tego życzyła siłą, spadła na stolik.

— Doprawdy, ten chłopak jest chyba z powietrza! Nigdy go trafić nie mogę, — skarżyła się zacna dama, której oblicze poczęło się rumienić. — Onby świętego do niecierpliwości przyprowadził! —

— O, zapewne moja ciociu, — zwłaszcza takie święte jak my obie. Tomtit! ty niedobrego! rzekła uderzając go z lekka po kędzierzawej głowie, — bądź grzeszny a pokażę ci dużo ładnych rzeczy. Postaw tać na stoliku i przecie raz chodź porządnie.

Tomtit spuściwszy oczy ze śmieszną powagą, postawił nareszcie tacę przed swoją panią.

Zacna dama zdjęła rękawiczki i zajęła się mnóstwem drobiazgowych przyrządzeń, podczas których odmówiła także krótką modlitwę. Przez ten czas Tomtit stał na boku, i zdawało się że z trudnością wesołość swoją powstrzymuje. W tem Mstrs. Nesbit chwyciwszy za ucho u herbatniczki, nagle zatrzymała się, krzyknęła, i poczęła trząść ręką, jakby się sparzyła.

— Tomtit, ty kiedykolwiek na śmierć mię spalisz!

— Oh, Missus, to być gorące?... Ja uważał dobrze, ja przystawił dzióbkiem do ognia, jak Missus zawsze robić!

— Kłamiesz! przysunąłeś ucho do ognia! jak zwyczajnie.

— O mój Boże! nie! Ja bardzo się dziwił jak to zrobił, — rzekł Tomtit przybierając minę zamyśloną. Zda się ja nigdy nie uważa co jest dzióbek a co ucho. A ja całe rano tego się uczył, — tak, tak! — zawołał nabierając odwagi na widok śmiejących się oczek Niny, którą ta scena niezmiernie bawiła.

— Zasłużyłeś na porządną chłostę, — tego ci też to właśnie brakuje! krzyknęła Mrs. Nesbit z wybuchającym gniewem.

— O, ja wiem, — rzekł Tomtit, — my wszyscy jesteśmy niegodni służby, wszyscy co do jednego. Cud, że nas Bóg jeszcze nie wygubił; — wszystkich co do jednego!

Nina niemogła już dłużej powstrzymać cugli swojej wesołości, i wybuchła śmiechem, usłyszawszy to cie-

kawe zastósowanie textu, który jój ciotka przeszłej niedzieli z wielką zarliwością Tomtitowi wykladała.

— Ach, ciociu, jemu nie niepomozę! On nie nierozumie! On już taki na zawsze zostanie!

— Nie, — ja nie niewiedzieć, Mis Nina, — rzekł Tomtit zezując z pod długich rzęs, — ja nie niewiedzieć, nieumieć.

— Słuchaj Tomtit, — rzekła Mrs. Nesbit, wyciągnawszy z pod swego krzesła mały, niebieski szpicrut, i ostro patrząc na niego: — jeżeli jeszcze raz uszko od herbatniczki będzie gorące, to dostaniesz tém, rozumiesz?

— Rozumiem Missus, — odparł Tomtit tym nieopisanym, dzwięcznym, obojętnym głosem, jego klasie właściwym.

— A teraz ruszaj na dół, i wyczyść noże do obiadu.

— Dobrze, Missus, — odrzekł obracając się ku drzwiom. Ledwie wyszedł na korytarz, począł śpiewać z całego gardła: „Idę w szczęście wiekuiste, — Czyż niechcesz iść ze mną razem!“, a śpiewowi temu wtórował, uderzając się z całej siły rękami po udach, i skacząc po kilka schodów naraz.

— Idzie w wiekuiste szczęście! — zawołała Mrs. Nesbit, — właśnie on téż na to wygląda. Już czwarty czy piąty raz poparzył mi ręce herbatnicą — i to naumyślnie, jestem tego pewna. To okropna niewdzięczność względem mnie, która tyle czasu tracę, i tyle trudów ponoszę, żeby go przecież czego nauczyć. Doprawdy ja zaczynam wierzyć, że ci ludzie duszy niemają.

— Zapewne ciociu, że z nim niepodobna się niezniecierpliwieć; ale przy tém taki jest zabawny, że na jego widok niemogę się wstrzymać od śmiechu.

Wtém dał się słyszeć na schodach łoskot, zmieszany z odgłosem metodystowskiej pieśni poczynającej się od słów: „Chodźcie o mili bracia!“, co wszystko zwiastowało powtórne ukazanie się Tomtita. Wkrótce też otwarły się drzwi, i on wszedł z najpoważniejszą miną na świecie.

— Tomfit, czy niepowiedziałam ci, żebyś poszedł noże ~~zabrać~~

— No, Nissus, ja przychodził, listy miłosne Mis Niny przynosił; — tłumaczył się chłopak pokazując dwa albo trzy listy. — Aj, jaj! znowu zapomniał położyć ich na tacy! — I jak błyskawica zniknął z pokoju, zbiegł po schodach, i zaczął się okropnie klócić ze służącą, która czyściła srebro, a której gwałtem chciał zabrać tacę, żeby na niej listy Niny położyć.

— Ach! Mis Nina, — zawołał zwracając się do nadbiegającej, — Róża niechce mi dać żadnej tacy!

— Poczekaj, ja ci tu natargam za to czupryny, ty hultaju! rzekła Nina, biorąc mu z ręki listy i pociągnawszy z lekka za ucho. —

— Dobrze, odrzekł na to Tomfit z wielką powagą patrząc na nią, — Missus ma zupełną słusność. Żadnego porządku tu w domu, mimo wszystkiego co ja czynić. Jeden powiada: listy na tacę położyć, drugi niechce mi dać tacy, żeby listy na niej położyć, i nareszcie Mis Nina mi je wydrzeć. Tak się to wszystko dzieje tu w domu — tak ciągle! — Ja nie nie pomódz! Zrobił co módz! Tak właśnie jak Missus mówić!

W domu Niny była jeszcze jedna osoba tak odznaczającego się charakteru, że jej osobnego miejsca na obrazie naszym odmówić niemożemy. Była to Milly, pokojowa ciotki Nesbit.

Ciotka Milly, jak ją powszechnie nazywano, była to wysoka, barczysta Afrykanka, której pełne kształty ciała, do otyłości się zbliżały. Jój postawa i chód miały coś właściwego, majestatycznego, i przywodziły na pamięć wyrażenie Pisma Ś.: „prosty jak palma.“— Skóra jój była nadzwyczaj czarna i mięka jak aksamit;— oczy miała wielkie i ciemne, a w nich ten wyraz tęsknoty i żądy, który tak często w ciemnych oczach dostrzedz można. Usta jój były szerokie, a wargi chociaż cokolwiek wystające, w rysunku swoim miały coś stanowczego, energicznego, — który to wyraz podnosił jeszcze krojem swoim podbródek. Szczery uśmiech, który zawsze u niej widzieć można było, odsłaniał dwa rzędy pięknych, przepysznych zębów. Włos jój, jakkolwiek nie dał się w niczem porównać z włosami rasy anglosaskońskiej, był jednak całkiem różny od zwyczajnej murzyńskiej wełny, i tworzył jakoby jedną nieprzebitą masę mocno skręconych loków świetnej czerności.

Rodzice Milly dostali się w niewolę w czasie jednej z afrykańskich wojen, a ona sama była godną reprezentantką téj silnej, wojowniczej rasy, która tak rzadko trafia się między niewolnikami na południu, dla tego że nigdy gromadnie ujarzmioną nie była.

Zwyczajne ubranie jój głowy stanowił wysoki turban, zrobiony z jednej z tych jaskrawych chustek z Madras, które wedle wrodzonego ciemnym rasom gustu, są celem najwyższego ich uwielbienia. — Milly nosiła swój turban z książęcą powagą, jak gdyby on był królewską koroną; — zresztą ubiór jój składał się z dobrze zrobionej sukni z ciemnej materyi, w lepszym cokolwiek gatunku, jak suknie innych służących. Mocno wykro-

chmalona, biała, muślinowa chustka na szyi, skrzyżowana na piersiach i rażącej białości fartuch, dopełniały tego stroju.

Patrząc na nią, trudno było niezachwiać się w swoim przekonaniu o wyłączności wdzięków i powabów ras białych. Wystawiwszy ją sobie na tle wspaniałej afrykańskiej okolicy, niepodobna przypuścić, żeby ktoś znaleźć mógł potrzebę wybielenia jej skóry, której kolor tak wybornie harmonizował z ognistą pięknnością podzwrotnikowych krajobrazów. —

Charakter Milly godny był jej powierzchowności. Niebo obdarzyło ją było wielką, szlachetną duszą; namiętności podzwrotnikowym żarem paliły jej piersi; — przebiegły, obfity dowcip, do którego niekiedy mieszało się trochę złośliwości, ożywiały, i tym miłszą czynił całą jej istotę. —

Wrodzona zręczność nadawała jej wielką władzę nad wszelkimi poruszeniami pięknego ciała; a obok tego posiadała ona wysokie uczucie własnej godności, które sprawiło, że we wszystkich swoich przedsięwzięciach nadzwyczaj była pilną i wytrwałą. Nie tyle w skutek zależności lub posłuszeństwa względem tych którym służyła, ale w skutek pewnego rodzaju dumy, wszystko co robiła starała zrobić jak najlepiej, i uważała za rzecz niegodną siebie, zbywać lekko, albo całkiem porzucać powierzone sobie zatrudnienie. Przymierzenia jej były święte, i ten komu je dała mógł być pewny że ich dotrzyma, jeżeli tylko granic ludzkiej możliwości nieprzechodziły.

Wartość osoby tak hojnie uposażonej na ciele i duszy, łatwo ocenić potrafią ci, którzy wiedzą jak rzadko

taki zbiór, tak wybornych przymiotów, napotkać można zarówno między niewolnikami, jak i między ludźmi wolnymi. To też Milly była zawsze wysoko szacowana od rodziny do której należała, i traktowana z większemi niż zwykle względami.

Częstokroć też zdarzało się, że moc charakteru i niepospolite usposobienie Milly, nadawało jej przewagę nad temi, którzy z imienia byli jej przelożonemi, — a że zwykle pokazywało się, iż to co ona zrobiła, było zrobione jak najlepiej, przeto pozwalano jej powiększej części działać wedle własnej woli. Ale jakkolwiek obchodzono się z nią bardzo łaskawie, jednak życie jej było trosk pełne. — Pozwolono jej pójść za mąż za jednego uzdolnionego Mulata, który należał do sąsiedniej plantacyi, — i została matką licznych dzieci, które po rodzicach odziedziczyły przymioty ciała i duszy. Niezwykłą siłą uczucia obdarzoną, kamieniem leżało na sercu przekonanie, że ukochane jej dzieci od urodzenia już nie do niej należały; że od pierwszej chwili swego bytu niczém inném nie były, jak tylko artykułem handlu, — że cena ich naprzód już wedle ich przypuszczalnych zdolności oznaczoną była, i że były wystawione na wszystkie zmiany losu, każdej ruchomej własności zagrażające. Ponieważ familia do której należała, w skutek nieszczęść coraz bardziej podupadała, przeto niepozostawał jej inny ratunek, tylko corocznie jednego albo dwu murzynów sprzedawać, i ceną za nich otrzymaną bieżące wydatki pokrywać. Dzieci Milly były nader poszukiwanym w okolicy towarem, tak, że częstokroć nader świetne obietnice uwodziły na pokuszenie ich właścicieli, — i koniec końców dzieci Milly jedne po drugich sprzedane zostały.

Z początku wypadki te budziły w innej wściekłą rozpacz Iwicy; atoli gdy się ciosy powtarzać zaczęły, nauczyła się znosić je z rezygnacją, a jak się to często między niewolnikami przytrafia, promienie nauki Chrystusa, przedarły się w głąb złamanego jej serca. Przykłady pobożności, które niekiedy, chociaż rzadko napotkać można między niewolnikami, pobożności bez porównania wyższej nad pobożność klas ukształconych, są to zwykle skutki nieszczęść i cierpień tak bezmiernych, że dusza zmuszona jest w jednym chyba Bogu czerpać swe siły. — Ale na *jedną* duszę, która się do takiej wzniosłej pobożności podnieść potrafi, przypadają *tysiące* takich, które w nieuleczoną zapadają głupotę.

Rozdział V.

HARRY I JEGO ŻONA.

O kilka mil od siedziby Gordonów, wśród stariej, podupadłej nieco plantacyi, stał śliczny drewniany domek, którego powierzchowność dobry smak i staranność właściciela zdradzała. Domek ten prawie cały ocieniony był gęsto rozpiętymi gałązkami żółtego jaśminu, a z przodu przystrajał go krzak przepysznych róż zwanych *lamarqua*, których białe jak mléko pączki i kwiaty, cudnie odbijały, od ciemnych, połyskujących, delikatnie wykrojonych ich listków.

Chatkę otaczał do koła płot z kolezystej amerykańskiej palmy, której liść wiecznie zielony i szkarłatne jagody, nader miły pozór nadawały temu ogrodzeniu. Wewnątrz ogrodu znajdował się starannie utrzymany ogród, w którym najpiękniejsze owoce i kwiaty pielęgnowane były.

Ta mała sadyba, staranną czystością tak różniąca się od zwyczajnych chat na południu, była ojezyczną żony Harrego. Lizeta, takie było jej imię, była niewolnicą jednej francuzkiej Kreolki, na którą plantacya ta niedawno spadła była w sukcesyi.

Było to małe, delikatne, eteryczne stworzenie, w którym pomieszała się krew afrykańska i francuzka, a któ-

re zjawieniem się swoim czyniło wrażenie pełne blasku i niby jakiegoś bogactwa, — takie samo, jakie czynią na nas owady i kwiaty podzwrotnikowe. Po obu rodzicielskich rasach, odziedziczyła ona delikatne usposobienie, niepospolitym ożywione wdziękiem, — i naturę, której cechą charakterystyczną była wieczna młodość, świeżość, i niedbała ufność w przyszłości.

Oto właśnie stoi przed chatką i prasuje, wesoło przyspiewując sobie przy pracy. Piękność okrągłych dziecinnych jęj kształtów, podnosi jeszcze czysta niebieska sukienka, zasnurowana z przodu na białej koszuli. Główkę jęj okręca pstry turban, z pod którego tu i owdzie wymykają się pukle czarnych jedwabnych włosów. Oczy jęj, kiedy się podniosą, mają to spojrzenie zamglone, marzące, które tak charakteryzuje wszystkie rasy mieszane. Mała jęj rączka zajęta jest składaniem i przyrządzaniem różnych strojów, które za cienkie i za kosztowne się wydają na taką właścicielkę.

Prasowała, składała i śpiewała przytém, a wszystko prędko i skrzętnie; czasami jednak przerywała robotę, biegła pomiędzy rabaty kwiatów aż do płotu, i tam pilnie wpatrywała się w drogę, oczy od słońca rączką przysłaniając. Nareszcie dostrzegła człowieka jadącego na koniu, który się coraz przybliżał; — pobiegła naprzeciw niemu.

— Harry! Harry! jesteś przecie? Jaka ja szczęśliwa! A co to tam masz w papierze? Czy to co dla mnie?

On trzymał pączkę wysoko, a ilekroć chciała ją pochwycić, podnosił jeszcze wyżej.

— Nie — nie z tego, ty mały ciekaweze! wołał wesoło. —

— A kiedy ja wiem, że to coś dla mnie! rzekła z cudowną, nawpół nadaśaną minką Lizeta.

— A z kąd możesz wiedzieć, że to dla ciebie? Czy myślisz że wszystko na świecie dla ciebie przeznaczone, ty małe niedobrego? —

— Niedobrego! proszę! — zawołała z urazą podnosząc główkę pstrym turbanem strojną. — Właśnie téż godzi się tak mnie nazywać mój Panie! Przypatrz jeno się tylko, jeżeli łaska, tym dwóm tuzinom koszul, którym dzisiaj wyprasowała! — Ale teraz weź mię na konia, mam ochotę się przejechać.

Harry podstawił jój nogę i podał rękę, a ona lekkim skokiem usiadła przed nim na karku końskim, ale zarazem zgrabnym obrotem wyrwała mu z ręki ów pakiet pożądany.

— Kobieca ciekawość! zawołał.

— No, teraz przecie zobaczę co to jest! O mój Boże! jakiż mocny sznurek! nie potrafię go rozerwać! Aha, — wiem co zrobię — wytargam dziurę w papierze. O! to jedwab, — doprawdy jedwab! — No, może mi jeszcze i teraz powiesz, że to nie dla mnie, ty niegodziwe stworzenie — ty!...

— A któż to ci powiedział, że to nie jest dla mnie na surdut letni?

— Na surdut letni!... strasznie niezgrabna historia! O! znam ja cię dobrze mój Panie! — Ale teraz puść konia galopem. Jabym tak rada prędko jechać. Proszę cię puść go galopem! —

Harry zebrał konia eułami i oboje równo z wiatrem popędzili. Potém jechali znów klusem przez mały sosnowy lasek, a chłodny wietrzyk roznosił echo serde-

eznego ich śmiechu. Potém zniknęli z patrzących oczu, i znów ukazali się, zbliżając się ku drzwiom swego domku. W mgnieniu oka Harry konia uwiązał, żoneczkę wziął na plecy i zaniósł do chatki, i tam stawiając ją na ziemi, zawołał:

— No, idźże już sobie, idź, ty mój śliczny obrazeczku. Ja im tam w wielkim ich domu pomagałem ustawiać żywe obrazy; ale ty jesteś prawdziwym moim żywym obrazkiem. — Ty jesteś jak ten koliber, co się miodem żywi.

— Co to, to prawda, — odrzekła mała, — tylko że dużo trzeba miodu, żeby mię wyżywić. Mnie trzeba ciągłych pochwał, pochlebstw i kochania. To niedosyć że mię kochasz, — ja muszę słyszeć to od ciebie codziennie, co godzinę, co minutę. Ty musisz ciągle mię uwielbiać, — musisz wszystko chwalić co zrobię, — jak...

— Jak naprzykład to, że dziury robisz w pakietach? przerwał jęć Harry.

— O, moja materyjka, moja nowa jedwabna sukienka! zawołała Lizeta, teraz dopiero przypominając sobie o pakiecie który trzymała w ręku. — A, ten szkaradny sznur! Jak on mi palce podrzyna! Ale ja muszę go zerwać! Ja go zębami przegryzę! Harry! Harry! Czy nie widzisz jak ja sobie palce kaleczę? Czemu nie rozetniesz sznurka?

I mała czarodziejka skakała po całej chatee rozdierając papier i szarpiać sznurek, niby rozdrażniony koliber. Harry śmiejąc się zaszedł jęć z tyłu, ujął silnie obie jęć rączki, rozciął sznurek i rozwinął przed jęć oczyma przepyszną jedwabną sztuczkę szkockiej materyi, w czerwona, zieloną i pomarańczową kratę.

— No, i cóż? jak ci się podoba? — Mis Nina w zeszłym tygodniu przywiozła to z Nowego Yorku.

— Ach! jaka ona dobra! jaka kochana!... Jakie to śliczne! Ach! mój Boże! jaka ja szczęśliwa!... Jacy my szczęśliwi!... Prawda Harry, żeśmy szczęśliwi?...

Cień jakiś przemknął po czole Harrego, który z przytłumioném westchnieniem odpowiedział:

— Prawda!

— Ja dzisiaj rano wstałam o trzeciej, żeby wszystko na czas sobie poprasować, bom była pewna że dziś wieczór przyjedziesz. A żebyś wiedział jakim ja tu przepyszny przyrządziła podwieczorek! No, zobaczysz; — już ja ci coś szczególnego pokażę. Ale ci teraz niewolno zaglądać do drugiego pokoju! Rozumiesz Harry! niewolno!

— Nie wolno? — zapytał Harry, i wstawszy ku drzwiom postąpił.

— A kto jest teraz ciekawcem? Radabym wiedzieć! — zawołała, jednym skokiem stając między nim a drzwiami. — Nie, niewchodź. Proszę cię, Harry, bądź grzeczny!

— No, już dobrze, — ja ci zawsze ustąpię muszę; — zresztą to jest twój dom nie mój.

— Aj — panie Posłusznicki, jakżeśmy grzeczni! No, ale kiedy tu jesteś, muszę z tego korzystać; mógłbyś pójść do studni, przynieść mi wody, żeby było czém ko ciółek od herbaty napełnić. Spodziewam się, że się nie będziesz zatrzymywał i bawił po drodze.

Podczas gdy Harry idzie po wodę, my pójdziemy z jego żoną do zakazanego pokoju. Chłodne i miłe jest jego wnętrze; w oknach wiszą bieluchne firanki, podłogę zaścielają maty, na boku stoi łóżko, na którym leżą

czyściuchne, faldowane poduszki, a po nad niém zwieszają się garnirowane kotary, stanowiące główną chlubę i ozdobę każdej chaty ua południu.

Drzwi, przez które widać było kompletną jakoby wystawę prześlicznych kwiatów, ubrane były różami o których wspomnieliśmy wyżej, a długie ich gałązki okryte białemi pączkami i liściem, małeńkie rączki przy pomocy szpilek i koleczków tak rozpięły, że się z nich utworzyła niby tryumfalna brama, z róż i zieleni złożona. We drzwiach stał niewielki stolik nakryty czyściuchnym adamaszkowym obrusem, tak cienkim, żeby ksiąźcemu domowi wstydu nie zrobił, i dla tego w czasie wielkich tylko uroczystości przez gosposię był używany. Na nim rozstawione były, mchem i winnym liściem przystrojone talerze z poziomkami i brzoskwiniami, dzbanek jeden z mlékiem a drugi z serwatką, małe talerzyki z bryndzą, ciastkami, biszkoktami i świeżem złotawem masłem.

Urządziwszy wszystko na stole, Lizeta obeszła go do koła, tu i owdzie coś poprawiła, potem odstąpiła krokiem w tył, i przechyliła główkę, jak ptaszek kiedy sobie wesoło nuci piosenkę, właśnie jak ona w téj chwili. Potem znów, tutaj ubrała trochę mchu, tam wetknęła kwiatek, i znowu się odsunęła, żeby się swemu dziełu przypatrzeć.

— Jak on się zadziwi!— rzekła sama do siebie, i nucąc półgłosem zwijała się po całym pokoju. Najprzód poprawiła firanek: jedną z nich spuściła całkiem, a potem podpięła ją tak, że promienie słońca mogły padać prosto na stolik.

— Otóż tak dobrze! Jak ładnie to światło wpada!... Ciekawam czy téż pokój pachnie jak należy rezedą?

Zbierałam ją, kiedy jeszcze rosa na nią była, to powinna cały dzień pachnąć. A tam szafa z książkami Harrego... A mój Boże! że też te muchy wszędzie się weisnąć muszą. Marsz, marsz! precz ztąd! — I pstrą ost-indyjską chustką do nosa, którą wyjęła z komody, poczęła wyganiać te intruzki, które wlatywały, opadały, brzęczały, i zwyczajnie jak muchy, zdawały się być zdecydowane latać wszędzie, byleby nie ku drzwiom, aż nareszcie usiadły spokojnie u wierzchu kotary, i z najzimniejszą krwią poczęły sobie układać skrzydła i łapy muskać. W téjże chwili dał się słyszeć Harry wracający od studni, i Lizeta musiała porzucić swoją gonitwę, a pospieszyć do pierwszego pokoju, dla przeszkodzenia zawczesnemu odkryciu całego przyrządu do herbaty. — Wtedy wystąpił jeszcze na scenę niewielki czarny kociółek od herbaty, który wkrótce szemrzącą piosenkę swoją szeptać począł. — Dusze od prasowania zostały wyrzucone, a kociółek został samowładnym panem na zróście, pełnym zarzących się węgli drewnianych.

— No, Harry, — czy to źle mieć taką pracowitą żonę jak ja? Obok wszystkich innych zatrudnień, wyprasowałam ci twój strój biały płócienny. Możesz go wdziać Nie tu! zawołała odciągając go ode drzwi. Tam sobie idź. A nawet dobrze że sobie ztąd pójdziesz na chwilę

Spiewając wybiegła do ogrodu, a śpiew jój podobien był do woni wiatrem poruszonego kwiatka, a słowa jego wyrażały uczucia szczęścia, któremi serce jój było przepełnione.

— Biedaczka! — rzekł Harry sam do siebie, — i po-cóżbym ja ją miał uczyć czegoś więcej? ...

W kilka chwil wróciła, z białym fartuszkim w ręce, z którego wyglądały: jaśmin żółty, rzymska lewanda i róże. Skakała więc wesoło, i złożywszy swoje skarby na stoliku od prasowania, poczęła z wielkiem zajęciem układać dwa bukiety, przyczém mówiła i śpiewała na przemiany:

„Przybądźcie chwile różowe,
„Nieście mi radość i szczęście...“

— Widzisz Harry, dostaniesz odemnie bukiet, a będzie ci w nim bardzo ładnie. Przypatrz się tylko: —

„Zrywajmy kwiatki po drodze,
„I nućmy sobie wesoło!...“

Nagle urwała śpiew, a spoglądając na niego filuternie, rzekła:

— Zgadnij dla czego ja to wszystko robię?

— A kto tam zgadnie dla czego wy kobiety co robicie?

— No, proszę! jak górnice powiedziano. Otóż dla tego, mój najjaśniejszy Panie, że to dzisiaj dzień twoich urodzin. Aha, myślałeś może, że nie wiem nic o tém, dla tego, że nigdy nie mogę spamiętać który dzień mamy? Ale ja sobie poradziłam; — każdy dzień od czterech tygodni znaczyłam sobie krédą, żeby się nie omylić. A dziś od drugiej godziny rano jestem na nogach. I teraz — ale tam wre już woda na herbatę! — i pobiegła ku drzwiom.

— Ach, mój Boże! Dałam sobie też dałam, doprawdy! — poczęła się skarżyć podnosząc jedną rękę do góry, i machając nią po powietrzu; — ktoby się spodziewał, że ten kociołek taki gorący!

— Mnie się zdaje, że gospościa która się umie obchodzić z żelazkiem do prasowania, powinna także wiedzieć, że kociołek, który stoi przy ogniu musi być gorący; — rzekł Harry całując sparzoną rączkę. — Dajże, ja go już zaniosę, i przyrządzę herbatę, tylko mi pozwól przestąpić za ten próg zakazany.

— Nie, mój Harry, już ja sama wszystko zrobię. — I zapomniawszy o sparzonych palcach zniknęła na chwilę, a potem ukazała się z błyszczącą herbatnicą, do której nalala herbatę. Nareszcie otwarły się drzwi tajemnicze i Lizeta utkwiała wzrok w Harrego, śledząc jakie wrażenie sprawi na nim jej niespodzianka.

— Wspaniale! pysznie! cudownie! Król mógłby zasiać do tego stołu! Ale zkadżeś ty tego wszystkiego nabrała? zapytał Harry.

— Ha, to z naszego ogrodu, — wszystko oprócz brzoskwiń, które mi stary Fog podarował, — one pochodzą z Florydy. Pamiętasz jakieś się to ze mnie przeszłego lata wyśmiewał, kiedym zakładała grządki pod poziomki, i coś to wtenczas nawygadywał?... A teraz cóż mówisz na to?...

— Co ja mówię?... Oto że ty jesteś zachwycająca istotka, — prawdziwa czarodziejka!

— No, a teraz siadajmy, — ja tu, a ty tam; a otworzywszy drzwiczki od klatki wiszącej przy oknie, zawołała: Buton, pójdzże i ty do nas!

Buton, piękny żółty kanarek z małym czarnym czubkiem na głowie, zdawał się wybornie rozumieć rolę, którą odgrywał w tej scenie domowego pożywania, bo posłuszny, przyleciał natychmiast na wyciągniętą ku niemu rączkę, a potem usiadłszy z wdziękiem na brzegu talerza mchem obłożonego, począł dziubać poziomki.

— A teraz, — prosiła Lizeta, — opowiadaj mi co wiesz o Mis Ninie. Jak też teraz wygląda?

— Piękna i hoża jak zawsze, — odparł Harry, — równie kapryśna a czarująca w swoim postępowaniu jak dawniej.

— A pokazywała ci swoje stroje?

— A jakże, wszystkie.

— O, opowiedz mi o nich, proszę cię Harry!

— No—najprzód, była tam blade różowa suknia z gazy, przetykana srebrnymi listkami, która się nosi na białej atlasowej spódnicy.

— Z falbanami? — zapytała Lizeta z miną bardzo seryo.

— Z falbanami.

— A z wieloma?

— Tego już doprawdy niewiem.

— Niewiesz z wielu falbanami? Harry, to nie do rzeczy... Powiedz mi proszę cię, jak ci się zdaje? Czy ona przysze po mnie, żeby mi te wszystkie rzeczy pokazać?

— O, niezawodnie przysze; a ja tym sposobem uniknę niebezpieczeństwa służenia ci za żyjącą gazetę mód. —

— A kiedy mię weźmiesz ze sobą, Harry?

— Może jutro, moja droga. A teraz ponieważ ci się tak wybornie udało sprawić mi niespodziankę, pozwól że i ja ci tą samą monetą odplacę. Zgadnij co mi Mis Nina przywiozła:—

— Nie, — niepotrafię zgadnąć; — cóż takiego? zawołała podskakując Lizetta, — no powiedz mi, — tylko prędko!

— Cierpliwości, cierpliwości! odparł Harry, zwolna szukając po kieszeniach i bawiąc się jej ciekawością. Ale któż zdoła opisać zdziwienie i zachwycenie Lizety, z jakim otwarła duże czarne oczy, gdy nareszcie ujrzała zegarek. Poczęła klaskać w rączki i skakać po całym pokoju, przyczém stół i wszystko co na nim stało w wielkim było niebezpieczeństwie.

— Mnie się zdaje, że my jesteśmy najszczęśliwsi ludzie na świecie — ty i ja! Wszystko nam tak idzie jak sobie życzymy! Nie prawdaż Harry?!...

Harry potwierdził słowa swjej żony, ale jakoś zimno, nieszczerze.

— Co to znaczy? co tobie jest? czemu nie jesteś taki wesoly jak ja? — zapytała z uczuciem, siadając mu na kolanach? — Aha, już wiem, — bardzo się dzisiaj spracował. Poczekaj, zaśpiewam ci jedną piosenkę, bo widzę, że cię trzeba trochę rozzerwać.

I to rzekwszy, Lizeta wzięła swoje banjo, usiadła we drzwiach pod owym z róż sklepieniem, i poczęła brząkać wesoło.

— Jednak to śliczny instrument to moje banjo, — niedałabym go za wszystkie gitary na świecie. A teraz zaśpiewam ci coś, co jakby naumyślnie dla ciebie jest ułożone:

I Lizeta śpiewała:

„Cóż tam za rozkosz u białych ludzi,
I co za szczęście, pytam się?
Duma w nich ciągle cierpienia budzi,
Banjo ich nie cieszy jak mnie.
W dzień im spoczynek, w nocy czuwanie,
I troska nigdy co nieustanie, —
I nawał żądy nieposkromionych,
Smutek z nadziei nieuiszczonych.

„Czyliż mam białym zazdrościć losu,
Powiedz mi, powiedz, pytam się?
Wśród hałaśliwych uciech chaosu
Banjo ich nie cieszy jak mnie.
Mnie noc pokrzepia gdy się w dzień strudzę,
Troska nie dręczy gdy się obndzę, —
Co jutro będzie, niepytam zgoła,
I śpiewam sobie szczęśna, wesola!“ —

Lizeta uderzyła w struny swego banjo, i śpiewała z takim serdecznym wyrazem wewnętrznego szczęścia, że miło było patrzeć na nią. I mimowolnie na jej widok przychodziła myśl, że dusza ptaszka zaklęta w ciało kobiety, inaczej śpiewałyby nie mogła.

— Wiesz co, — rzekła porzucając banjo, i sadowiając się napowrót na kolanach męża, — wiesz co — ty mi zupełnie wyglądasz na białego człowieka w mojej piensence. — Radabym wiedzieć co ci brakuje. Widzę oczywiście że nie jesteś szczęśliwy, ale nie mogę zgadnąć dla czego?

— Ach, Lizeto, ja mam bardzo przykre, ciężkie obowiązki na głowie. Mis Nina jest to miła, dobra Pani, ale najmniejszego niema wyobrażenia o rachunkach i pieniężnych interesach; — teraz np. przywiozła ogromną masę rachunków, a ja zupełnie nie wiem zkad wzięść pieniędzy na ich zapłacenie. W dzisiejszym czasie nie lada to zadanie wydobyć dochody ze stariej plantacyi; — wysilona ziemia nie wydaje takich zbiorów jak dawniej, przytem ludzie nasi są nieslychanie dziecinni, i zupełnie im nie chodzi o to co zmarnują, i jak niedbale pracują. W takim stanie interesów, utrzymanie domu jest nader kosztowne; a widzisz, Gordonowie zawsze muszą być Gordonami, i niemogą się obchodzić tém co inne rodziny. Ach! a rachunki które Mis Nina przywiozła z Nowego Jorku, są rzeczywiście ogromne.

— No i cóż ty zrobisz Harry? — zapytała Lizetta przytulając się do męża. Ty przecie zawsze umiesz sobie radzić.

— Będę musiał zrobić to, com już zrobił dwa albo trzy razy — to jest rachunki te zapłacić pieniędzmi, którym sam zaoszczędził — pieniędzmi przeznaczonemi na nasze wykupienie z niewoli, Lizeto.

— O, nie martw się tém. Potrafimy je przecie odzyskać. Ty masz pełno środków do zarobku, — a ja znów, — wiesz przecie jak sławne jest na okolicę moje prasowanie i moje roboty na muślinie. No, no, nie martw się Harry, — już my sobie poradzimy.

— Ależ Lizeto, nasz ładny domek, nasz ogród, i wszystko co mamy, to jakby na powietrzu stoi, dopóki nie jesteśmy wolni; lada wypadek może nas tego pozbawić. Powiem ci zaraz przykład; Mis Nina jest zaręczona, jak

mi to sama powiedziała, i to jak zwyczajnie z kilkoma swemi wielbicielemi.

— Ona zaręczona? zapytała z zajęciem Lizeta, bo ciekawość kobieca przemogła w niej nad troskami domowymi. Wiesz, — ona zawsze miała pełno wielbicieli, — zupełnie tak jak ja.

— Tak, ale koniec końców, ona kiedykolwiek pójdzie naprawdę za męża, a jakie z tąd skutki dla nas wypłynąć mogą?... Od jej męża będzie zależeć szczęście całego mego życia; a jeżeli on będzie przeciwko mnie uprzedzony, — jeżeli mu się niespodobam? O, Lizeto, wieleż ja to widziałem nieszczęść z małżeństw wynikłych. Miałem nadzieję, że nim to nastąpi, będę w stanie zapłacić całą summę za naszą wolność, i że sam sobie będę panem. Ale teraz przepadła ta nadzieja. Właśnie teraz, gdy mi do całej summy niewiele brakło, muszę z niej wziąć pięćset dolarów, a to nas cofa o dwa albo trzy lata w tył. Najbardziej zaś niepokoi mnie to, że jestem przekonany, iż Mis Nina wkrótce pójdzie za jednego z trzech konkurentów.

— Z kądże ci to przekonanie, Harry?

— Znałem dosyć dziewcząt, i znam się trochę na tém.

— No, powiedzże mi, co ona robi, co mówi?

— Sili się na to, żeby jak najgorzej mówić o tym człowieku, — i powiada stanowczo, że go nie cierpi.

— Właśnie tak, jak ja robiłam z tobą Harry, nieprawdaż?

— Oprócz tego, mówił dalej Harry, widzę z tego, jak mi go opisała, że całkiem inaczej o nim myśli, niż o którymkolwiek innym mężczyźnie. Mis Nina nie troszczy się wcale o to, co ja sobie myślę, kiedy ona mi

o swoich wielbicielach szczebiocze. A ja wtedy zapytuję się sam siebie: „Który też będzie moim panem?“ I moim panem będzie ten Klayton, — jestem o tém przekonany.

— No, i czy to niedobry człowiek?

— Ona powiada, że jest dobry, — ale kto to może wiedzieć? Dobrzy ludzie są częstokroć bardzo dziwni w swoim postępowaniu. Ten człowiek może zmienić całkiem nasze położenie, a będzie miał prawo po temu, gdy zostanie jój mężem. Może niepozwoić, żebym się wykupił, a wtedy wszystkie te pieniądze, którem dotąd wypłacił, za nic nie będą rachowane.

— Mis Nina niezezwoi zapewne na coś podobnego.

— Mis Nina może tego niechcieć, — ale pan Klayton może mieć całkiem inne chęci; już ja takie wypadki widziałem. Powiadam ci Lizeto, my, którzy od spojrzenia i słowa drugich zależymy, zwykliśmy dużo myśleć i dostrzegać. Nasz rzut oka bywa bardzo trafny, zapewniam cię o tém. Im miłszem okiem spogląda na mnie Mis Nina, tém bardziej nienawidzić mię może jój małżonek. Czyż tego nie możesz pojąć?

— Nie Harry; — przecież ty lubisz tych, których ja lubię.

— Oj, dziecko, dziecko! — To wcale co innego.

— No, dobrze mój Harry; — ale kiedy się tém tak dręczysz, to cóż cię zmusza płacić za Mis Ninę? — Ona niewie o tém, ona cię o to nie pyta, i wątpię żeby tego żądała od ciebie, gdyby wiedziała jak rzeczy stoją. — Czemu zresztą, zapłaciwszy pieniądze, nie miałbyś zażądać za to karty swojej wolności? Czemu Mis Ninie nie powiesz wszystkiego?

— Nie, tego zrobić nie mogę. Całe jęj życie powierzone mojęj pieczy; i jam ścięzkę tego życia jak mógł wyrównaę, — a teraz miałębym ją niepokoię? Zresztą lękam się, czy dowiedziawszy się o wszystkim, zrobiąby to co słusność każe; tego niemożna z pewnością przewidzię Lizeto. Teraz mogę przynajmniej sam do siebie powiedzię: „biedaczka! co ona się tam rozumie na rachunkach i na prowadzeniu ksiązek? Co ona wie, co ja czuję?“ — A widzisz, gdybym ja jęj wszystko odkryę, a ona przyjęła to obojętnie, i postąpiła sobie tak, jak wiele innych kobiet, to już nie mógłbym tak mówię nawet sam do siebie. — Ja niemyślę, żeby ona tak sobie postąpiła, ale rozumiesz, nie chcę próbowaę.

— Ale powiędz mi Harry, dla czego ją ty tak bardzo kochasz?

— Czy przypominasz sobie Lizeto, jaki to zły chłopiec był Master Tom? Zawsze uparty i złośliwy, — wiecznie krwawię serce swego ojca, a siostry swojęj niecierpiaę. Z kąd to poszło, doprawdy niewiem, bo to była zawsze bardzo miła dziewczynka, a jego kocha nawet dzisiaj, chociaż on jest takim obrzydłym samolubem. Co się jęj tyczy, to ona nie jest samolubna, tylko nierozważna; bo wiem, że kilka razy zrobiła dla niego to, co ja dla nięj robię. Dawała mu pięniądze, a nawet własne kosztowności, żeby mu pomódz w przykrych okolicznościach. W końcu jednak, wszystko to spada na mnie, i to jeszcze całą rzecz pogorsza. Lizeto, ja ci coś powiem, ale zachowaj to w sekrecie. Nina Gordon jest moją siostrą!

— Harry!

— Tak, Lizeto, — przypatrz mi się, rzekł Harry mimowolnie się prostując; ja jestem najstarszym synem pułkownika Gordona. Niechże mi wolno będzie, aby ten jeden raz głośno to wypowiedzieć, bo więcej razy tego nieuczynię.

— I kto ci to powiedział, Harry?

— On mi to powiedział, Lizeto, — on mi to sam powiedział, kiedy umierając poruczał ją mojej pieczy, — i uczynilem zadość jego żądaniu. Nie mówilem tego Mis Ninie, i za nic w świecie bym tego nie zrobił. Ona by mię dla tego niepolubiła bardziej, i owszem, to by ją, według wszelkiego prawdopodobieństwa, źle przeciw mnie usposobiło. Widziałem jak wielu sprzedawano jedynie dla tego, że za nadto byli do swych siostr i braci podobni. — Mnie, jój przydzielono, a moja siostra i moja matka poszły za ciotką Mis Niny nad brzegi Mississipi.

— Nie mówiłeś mi nigdy o tej siostrze; — czy była ładna?

— Była aż nazbyt piękna i powabna, Lizeto, — a prócz tego posiadała wysoki talent. Słyszałem niejedną śpiewaczkę na scenie, — a przecież żadna z nich przy całej swój sztuce niepotrafiła tak zaśpiewać jak moja siostra, która śpiewała nieuczenie.

— I cóż się z nią stało?

— Ha, to, co ze wszystkimi kobietami z naszej klasy! Pieszczono ją, cackano, i wychowywano; — uczono ją wszystkiego co potrzebne do pozornej świetności, ale nie zasadniczego. Osoba która się nią opiekowała, życzyła jój naprawdę dobrze; — była to Mrs. Stewart, siostra pólkownika Gordona; — nie mogła ona jednak prze-

szkodzić, żeby jój nieupodobał sobie jój syn własny. Była jego kochanką, aż do śmierci swój protektorki.

— I cóż potem?

— Po trzechletnim z nią pożyciu, Jerzy Stewart zachorował na ospę. Wiesz, jak nieprzewyciężony wstręt każdy ma do tój choroby. Nikt z jego białych znajomych i przyjaciół niezbliżył się nawet do jego plantacyi, murzyni umierali ze strachu, jak zwyczajnie, — nadzorca uciekł. — Wtedy Kora Gordon pokazała co umie. Pielegnowała go przez cały przeciąg choroby; co więcej, wpływem swoim tyle dokazała, że jaki taki porządek utrzymał się na plantacyi, — sama doglądała ludzi przy zbiorze bawelny, tak, że gdy tchórzliwy nadzorca powrócił, rzeczy nie były w tak złym stanie, w jaki bez niej byłyby popadły. — Młody człowiek obdarzony był szlachetniejszymi uczuciami, niż wielu z jego kasty, bo gdy wyzdrowiał, opuścił swoją plantacyą, poszedł z Korą nad brzegi Ohio, ożenił się z nią i tam zamieszkał.

— A dla czego nie mieszkał z nią na swojej plantacyi?

— Niemógłby jój był tam wolną uczynić, boby to było przeciw prawu. Ale niedawno otrzymałem od niej list w którym mi donosi, że on umarł, a całą swoją posiadłość jój i jój synowi przekazał.

— To ona teraz będzie bardzo bogata, — nieprawdaż?

— Tak, jeżeli tylko ten spadek rzeczywiście otrzyma. Bóg wie jednak co się jeszcze stanie, bo wiem, że mało pięćdziesiąt jest sposobów, któremi ją pozbawić go można. Jak dalece zaś obchodzi mię majątek Mis Niny, tego niemożesz sobie wystawić. Majątek ten, równie jak opieka nad nią poruczony mi został. Ona nie wiele wię-

céj jak dziecko ma wyobrażenia o tém z kąd się biorą pieniądze i gdzie się podziewają; a jednak nie mogę pozwolić na to, aby powiedziano, iż obciążylem długami plantacyą, żebym miał czém wykupić się na wolność. Całą moją dumę na tém zakładam, żeby posiadłość w dobrym stanie oddać mężowi Mis Niny. Ale wiele mię to trudów kosztuje! Jak to ciężko te stworzenia do jakiegokolwiek rozsądnej pracy zniewolić; — jakie to przykre dla mnie te podstępny i wybiegi, któremi ich zażywać muszę, aby choć tyle władzy nad niemi uzyskać, żeby cośkolwiek przecie robili. Oni nienawidzą mię i zazdroszczą mi. Ja sam we własnych oczach podobny jestem do owego nietopérza w bajce: niejestem ani ptakiem, ani czworonogiem. Nieraz pragnąlbym być po prostu dobrym, uczciwym czarnym murzynem, jak np. wuj Pomp! Wtedy wiedziałbym przynajmniej czém jestem, — a tak nie jestem ani tém ani owém. Stoję w tak bliskich stosunkach z białemi, że ich przejrzałem dobrze, mogę ich ocenić, i pożądać tego co u nich widzę. Wychowanie moje, stan mój jeszcze pogorszyło. Jest to rzecz pewna, że jeżeli ojcowie takich jak ja dzieci, kochają nas, to miłość ta całkiem jest różna od przywiązania jakie czują dla swych białych dzieci. Wstydzą się miłość swoją ku nam wyraźnie okazać, — a żal i litość którą z tego powodu czują nad nami, zniewala ich do tego, że nam dają wychowanie. Obsypują nas podarunkami i pobbają nam; dopóki dziećmi jesteśmy, bawią się nami, i rozwijają nasze namiętności, jak gdyby doświadczenia jakies na nas robić chcieli. Jeżeli się w nas pokażą ja-

kie wyższe zdolności i talenta, słyszymy zaraz, jak ktoś z boku szepee: „ szkoda tych zdolności! nieprawdaż? „ albo: „On jest zanadto utalentowany na swoje położenie.“ Razem ze krwią co w naszych żyłach płynie, odziedziczamy i ich dumę rodową, — ale do czegoż to prowadzi? — Ja czuję, że jestem Gordonem. Czuję to w głębi serca, że'm równy pólkownikowi Gordonowi, — wiem o tém; wiem nawet że'm do niego podobny, i dla tego to Tom Gordom zawsze mię nienawidził. A jednak z tego wszystkiego najboleśniej dla mnie jest: mieć taką siostrę jak Mis Nina, — wiedzieć że ona jest moją siostrą, a niemódz jęj tego powiedzieć! Mam przecież oczy i rozum, i jestem w stanie porównać się z Tomem Gordon. Wiem że on we wszystkich szkołach do których uczęszczał niczego niemógł się nauczyć, — i że ja, gdybym był miał tych samych co on nauczycieli, byłbym dwa razy więcej niż on skorzystał; a jednak jemu przypadły udziałem wszelka cześć, poważanie i wysokie stanowisko. Ileż to razy słyszałem, jak Mis Nina usprawiedliwiając jego postęпки, mówiła: „Ach, przecież wiesz Harry, że to jedyny brat, którego mam na świecie!“ — Czyż to nie boli? Pólkownik Gordon dał mi staranne wychowanie, dla tego zapewne abym był zdatny do zajęcia dzisiejszego mego stanowiska. Mis Nina była jego ukochaném dzieckiem, i szczególnym przedmiotem jego troskliwości; — rozpusta Toma przestraszała go, — mnie więc pozostawił przykutego łańcuchem niewoli do tój posiadłości, uczyniwszy tylko rozporządzenie, że przed samém zameściem Mis Niny, mogę się pod łagodnemi wykupić warunkami, na co i ona się zgodziła. Nie by-

łoby dla mnie nie łatwiejszego, jak ciągnąć wielkie ko-
rzyści z jej nieogłędności. Mr. John Gordon zgadza się
na wszystko co ja zrobię, i jest bardzo łaskaw na mnie.
Jako opiekun, podpisał on wraz z Mis Niną akt, mocą
którego, w razie jej śmierci, lub innego jakiego wypad-
ku, mam prawo za pewną oznaczoną summę, zażądać
mojej wolności; mam także kwity na summy które już
upłaciłem. W ten sposób interesa moje nieźle stały. Po-
stanowiłem sobie był jednak nieżenić się, aż dopóki
niezostanę wolnym; — ale widać tyś mię oczarowała
Lizeto... I źle zrobiłem.

— Cicho, cicho! — przerwała Lizeta, — nie mów tak
Harry! Na co się to wszystko przyda? Już my sobie
jakoś radzić będziemy. Wszystko pójdzie dobrze, zoba-
czysz. Mnie zawsze sprzyjało szczęście, to będzie sprzy-
jać i dalej.

Głośny tentent kopyt końskich przerwał rozmowę
dwojga małżonków.

— Co to znaczy? — zawołał Harry przyskakując do
okna. — Jak mi Bóg miły, — toż to ten huncwot Tom-
tit na moim koniu ugania. Ale z kąd on się tu wziął?
Zniszczy mi konia! — Stój! Hola! — krzyczał przez drzwi
otwarte wybiegając za Tomtitem.

Tomtit odpowiedział na to tryumfalnym okrzykiem,
i zniknął wpośród sosen.

— Żebym przynajmniej wiedział co go tu sprowadzi-
ło! — mówił Harry, niespokojnie chodząc tam i nazad.

— On tylko przez lasek przejedzie, i zaraz wróci, —
uspakajala go Lizeta; nie turbuń się; — ale prawda że
to jednak ładny huncwot?

— Że też ty w niczem brzydkiej strony dopatrzysz się niemożesz; — rzekł Harry nieco gniewnie.

— Zapewne, zwłaszcza kiedy takim tonem do mnie przemawiasz... Proszę cię, nie rób tego Harry. W czémże ja to mam się brzydkiej strony dopatrywać?

— Niewiem, mój ty mały pustaku; rozśmiał się Harry, pieszcząc jej rękę.

— A, otóż i malec wraca, tak, jakem powiedziała, — zawołała Lizeta. On się chciał tylko trochę przetrząść, i koniowi krzywdy nie zrobił. — Wybiegła, i uchwyciła za cugle, właśnie gdy Tomtit wjeżdżał w bramę; — w mgnieniu oka był on już w ogrodzie i w obu rękach trzymał pełno kwiatów.

— Słuchajno, ty niedobrego, — powiedz mi co cię tu przygnało? — zagrział Harry wstrząsając go za ramię.

— Jak mi Bóg miły, Massa Harry, jabym tak dobrze mógł jeść brzoskwinie, jak inni ludzie, — odparł chłopiec, chytrze spoglądając przez drzwi na stół zastawiony do herbaty.

— No, dostaniesz brzoskwiń i kwiatów, rzekła Lizeta, tylko bądź grzeczny i niedeptaj mi po grządkach.

Tomtit cheiwie porwał za brzoskwinie, którą mu dała, siadł na ziemi nie posuwając się z miejsca, i zaczął ją jeść z taką gorliwością, jakby na tém cel jego życia polegał. Policzki jego zarumieniły się w skutek ruchu, — i chłopiec ten z długimi, krętymi, pływającymi lokami, z długimi rzęsami, otoczony kwiatami które na ziemię porzucił, tworzył wcale ładny obrazek.

— Jaki on piękny! — rzekła Lizeta, pociągając Harrygo za rękaw; — bardzobym rada była, żeby on był mój.

— Tobyś dopiero kłopot miała, — odparł Harry, niechętnie spoglądając na nieproszonego gościa, gdy tymczasem Lizeta obierała z krzaka poziomki, żeby mu je dać, gdy zje brzoskwinie.

— Wam kobietom piękność zawsze zawraca głowy, — odezwał się Harry sarkastycznie.

— Czy i ja dla tego poszłam za ciebie? — zapytała Lizeta filuternie. — Już jabym z niego zrobiła dobrego chłopca, gdyby był pod moim dozorem. Tylko przez miłość. — No, i cóż ty, Tom?

— Jestem gotów, — odpowiedział Tom, otwierając gębę i pakując w nią poziomki.

— Czyż się chociaż teraz nie dowiem, — rzekł Harry, — co cię tu właściwie sprowadziło? Mówże przecie, Tom! Czy niemiałeś do mnie jakiego interesu?

— A, mój Boże, — i owszem! zawołał Tom wstając z ziemi, i drapiąc się w głowę. — Mis Nina mnie posłać. Ona chce, żeby Harry siąść na koń, i jak strzała prędko do niej pojechać. Ona dostać dwa czy trzy listy od swoich konkurentów, i tańcować, i płakać bardzo smutnie. Ona się przeleknąć, ja myślę; ona się bać, żeby wszyscy nie przyjsć naraz do niej.

— To ona cię z tém do mnie posłała, a ty mi dopiero teraz gadasz; rzekł Harry, czyniąc przytém poruszenie, jakby mu chciał wyciąć policzek; ale chłopiec wysliznął mu się z rąk jak węgorz, i zniknął między krzakami. Dopiero gdy Harry siadł już na konia, mały kobold ukazał się znowu, tańcząc i rozmaite grymasy wyprawiając na dachu chatki, przyczém śpiewał z całego gardła:

„Byłem sobie raz we Wirginii,
„I za gwineę kupilem dziewczę!“—

— Poczekaj! zawołał Harry, grożąc mu pięścią, —
już ty dostaniesz za swoje!

— Nie bój się nic, — śmiejąc się rzekła Lizeta.
Zejdź Tomtit, ja cię na dobrego chłopca przerobię. —

Rozdział VI.

DILEMMA.

Ażeby zrozumieć wypadek, który Harrego, do tak rychłego zagnił powrotu, musimy się znów przenieść do Kanemy. Nina odebrawszy listy z rąk Tomtita, jakieśmy to widzieli, wróciła do pokoju ciotki, aby je przeczytać. W czasie czytania wzruszenie i niespokojność widocznie w niej coraz to bardziej wzrastały; zmięta nareszcie papier i nóżką niecierpliwie tupnęła w kobierzec.

— Teraz doprawdy niewiem co zrobić, ciociu Nesbit, — rzekła zwracając się do ciotki; bo miała we zwyczaju, gdy ją coś mocniej zajęło, zwracać mowę do pierwszego lepszego, kto stał przy niej blisko. — Tom się dopiero pięknie złapała.

— Ja ci właśnie w tych dniach mówiłam, że lada kiedy wpadniesz w kłamkę.

— O, ciocia mi mówiła! Wiele razy mi się tylko co niedobrego przytrafi, ciocia zawsze masz na pogotowiu swoje: „Ja ci to mówiłam!“ — Widzi ciocia, ja wiem że nierozsądnie postąpiła, ale niewiem jak się z tego wydobyć. Dwaj panowie przyjadą tutaj o jednym czasie, a ja za nic w świecie niechcę, żeby się tu spotkali; a niewiem co zrobić, żeby temu przeszkodzić.

— Zrobisz jak ci się będzie podobało, — tak jak zawsze robisz i robiłaś od czasu jak cię znam; — rzekła ciotka Nesbit, spokojnym, obojętnym tonem.

— Ale bez żartu ciciu, — ja niewiem co wypada zrobić w takim wypadku. —

— Twoje wyobrażenia o przyzwoitości tak są różne od moich, że doprawdy niewiem co ci poradzić. Widzisz teraz jakie to są skutki tego, że niezważasz na rady twych przyjaciół. Ja ci naprzód powiadałam, że płochością swoją narobisz sobie nieprzyjemności.

Ciotka Nesbit mówiła to tym spokojnym, pełnym zadowolonia tonem, którego ludzie starsi tak radzi używają, ku zbudowaniu swoich młodych lekkomyślnych przyjaciół. —

— Ale ja niepotrzebuję teraz kazania ciciu Nesbit! Ja myślałam, że ponieważ ty daleko więcej świata widziałaś niż ja, potrafisz mi jakoś pomódz i powiesz mi, czyby to było przyzwoicie, gdybym naprzykład napisała do jednego z tych panów, prosząc go żeby nieprzyjeżdżał, albo że wymyślisz dla mnie jakieś tłumaczenie, lub coś podobnego. Ja jeszcze nieznam obowiązków gospodyni; nie chciałabym w niczem wykroczyć przeciw prawom gościnności, a jednak za żadną cenę niechęć żeby się tu razem zjechali. Doprawdy, to jest okropnie.

Nastąpiła długa pauza, podczas której Nina zła i zarmieniona, przygryzała sobie wargi, niespokojnie kręcąc się na stolku.

Mrs. Nesbit miała minę spokojną i zamyśloną, i Nina powzięła nadzieję, że sprawę jej wzięła do serca.

Nareszcie zacna dama podniosła oczy, i rzekła bardzo powoli:

— Ciekawam, która też to może być godzina? —

Nina myślała, że ciotka chce wiedzieć czy jeszcze jest czas pchnąć gdzie posłańca, z wielką więc skwapliwością wybiegła z pokoju zajrzeć na zegar, który wisiał w przedpokoju.

— Wpół do trzeciej ciociu! — I stanęła z nawpół otwartymi ustami, i patrzyła na Mrs. Nesbit, czekając dalszego wyjaśnienia.

— Chciałam powiedzieć Różalii, że mi cebula w nadzieniu nie służy. Wczoraj całe rano czułam ją w ustach; ale teraz już zapóźno.

Nina tupnęła nóżkami ze złości.

— Ciociu Nesbit, ty jesteś doprawdy najsamolubniejszą osobą, jaką w życiu mojem widziałam!

— Nino, moje dziecko, wprawiasz mię w podziwienie! — rzekła ciotka Nesbit ze zwykłą swoją powolnością. Co się tobie dzieje?

— To nie do pojęcia! zawołała Nina, — prawdziwie nie do pojęcia! Ja nie mogę sobie wystawić jak mogą być tacy ludzie! Gdyby pies do mnie przyszedł poskarżyć się na swoją biedę, tobym go przynajmniej wysłuchała i pożałowała. Zupełnie by mię to nieobchodziło, że ktoś przedtem źle sobie postąpił; gdybym go widziała w nieszczęściu, starałabym mu się dopomóc. Sądziłam, że ciotka racysz przynajmniej trochę nad tém pomyśleć, żeby mi dać jaką dobrą radę.

— A, to ty jeszcze o tém mówisz? Przecież zdaje mi się, iż ci powiedziałam, że nie wiem jak ci mam radzić; czy nie powiedziałam tego? Niepowinnaś się tak poddawać swoim uczuciom, to wcale nie przystoi na damę, a przytem jest to grzech. Ale ja wiem, że tobie dare-

mnie to wszystko gadać! — I ciotka Nesbit wstała z miną kwaśną, stanęła przed zwierciadłem, zdjęła ranny czepeczek i włożyła go do komody, a na jego miejsce wzięła inny, w którym Nina najmniejszej różnicy od zdjętego dopatrzeć się nie mogła, — trzymała go w ręce zamyślona nad nim, i jakby zatopiona w nim całkiem, — a Nina która! gniew i upokorzenie miotało, patrzyła na nią, jak starannie wychuchiwała każdy zmarszczek i nareszcie wdziała czepeczek z miną skromnej godności, obciążając go delikatną rączką.

— Ciociu Nesbit, — rzekła nareszcie prędko, jakby ją własne słowa kaleczyły, — zdaje mi się, żem się trochę niegrzecznie wysłowila, co mi bardzo przykro. — Przepraszam więc ciocię bardzo.

— O, to nie nie szkodzi, moje dziecko, — ja sobie z tego nic nie robiłam; — ja już przyzwyczajona jestem do twojego temperamentu!

Drzwi otwały się z trzaskiem, i Nina stała już w przedpokoju, w bezsilnym gniewie gróżąc ściśniętą pięścią.

— O ty szkaradna, nieznośna, kamienna, stara babo! Niepojmuję jak taki kamień mógł być kiedykolwiek siostrą mojej matki!... Przy słowie „matki“ zalala się strumieniem łez gorących i pobiegła do swego pokoju. Pierwszym przedmiotem który jęj wpadł w oczy, była Milly, która suknie układała w szafie. Z wielkiem jęj podziwieniem, Nina przybiegła do nięj, objęła ją w pól, i poczęła łkać i płakać w sposób tak niepokojący, że przeciwna kobięta niewiedziała co począć.

— Niech Bóg męj duszy dopomóż! Co to się stać mojęj małęj owieczce? Nie trzeba tak, nie trzeba, moje

— Ale wuju John, ja niewierzę temu ani trochę! Potrzebuję koni dziś popołudniu, i muszę je mieć!

— Nie, niemódz ich mieć, — mówił Stólatek łagodnym, perswadującym tonem, jakby do małego dziecka. — Ja powiadam, że to niepodobna! Bóg niech błogosławi duszę Mis Niny; franki zdjęte z pojazdu.

— No, to je zawiesz napowrót!

— Ach, Mis Nina, to nie wszystko. Pete być chory okropnie dziś w noey, — być się uderzyć, — bardzo być chory! Aj, Mis Nina, on tak być chory, ja musieć czuwać przy nim całą noc! — Gdy Stólatek opowiadał Ninie tę historyjkę, wrona kiwała ku niej głową, jakby chciała powiedzieć: Otóż go masz, tego szalbierza!

Nina niewiedziała co począć i tylko wargi przygryzała, a Stólatek zasypiać się zdawał.

— Nie mogę temu wierzyć, żeby konie nie były w stanie iść w drogę. Pójdę je sama obejrzyć.

— Nie, najslodsze dziecię, to nie uchozić; drzwi zamknięte, a klucz w mojej kieszeni. O, jużby te stworzenia dawno były zdechnąć; ja myśleć że każdy stać im na zdradzie. Mis Loo potrzebować ich tu i owdzie, a Harry téż zawsze je musieć mieć; dzisiaj popołudniu także wiaść jednego, żeby jechać do żony. Niewiedzieć czego on tak jeździć! — Mój Boże! Ojciec Mis Niny zawsze mówić: „Wuj John lepiej wiedzieć o te bydłeta, niż ja sam — ja będzie coś powiedzieć wujowi John: niech on mieć staranie o tych bydłetach, niech on nie dać im nikomu krzywdy zrobić!“ Ja zawsze być posłuszny rozkazom półkownika; jak piękny czas, jak droga dobra, ja chętnie ich dać, bo to być rozumnie. Ale teraz jaka być droga na pocztę, pytać się? Najokropniej-

...sza jak może być! Jakie błoto! ho! Proszę zobaczyć błoto przy tamie! Most pójsć precz! Człowiek utonąć przy tamie! Nie, to nie być droga dla młodych dam, ja wam powiadać, Mis Nina;— dla czego Harremu nie dać list zanieść? Kiedy on jeździć tyle, czemu nie być użyteczny swoim jeżdżeniem? Powozem by tam niezajechać przed dziesiątą w nocy! A dészcz z pewnością padać! Ja to uważać dziś cały dzień po moich nagniotkach, od rana, — a Jeff dzisiaj być jak sam djabeł — on zawsze tak być nim dészcz padać. Nie wiem, żeby kiedy ten znak omylić.

— Ja z tego wszystkiego tyle tylko widzę, że się tobie isć niechce, — rzekła Nina, ale ja ci mówię: idź mi zaraz! Czy rozumiesz? Zaprząż mi konie natychmiast do pojazdu!

Stółatek siedział cicho i palił fajkę; — nadaremnie Nina powtórzyła rozkaz i gniewała się na prawdę. Widząc że to nie pomaga, poczęła się namyślać co tu począć. Stółatek zdawał się być pogrążony w głębokich marzeniach, i niedawał najmniejszego znaku, że słyszy to, co do niego Nina mówiła,

— Cobym dała za to, żeby tu był Harry! mówiła sama do siebie, zamyślona wracając przez ogród.—Ale Tom-tit dane sobie polecenie wypełnił ze zwykłą niedbałością i prawie całe popołudnie strawił w drodze. —

— I niewstydziszże się ty, ty stary, głupi murzynie?— zawołała po odejściu Niny ciotka Róża, żona Stółatka, która téj rozmowy wysłuchala. — Gadać o tamie, o błocie i o bydlętach, kiedy Pani wiedzieć, że z tego wszystkiego tylko to prawda, żeś ty leń!

— Dobrze, — odpowiedział mąż, — a coby się stać z bydłętą, żeby ja niebyć leń? Lenistwo to wyborna rzecz! Coby się stać z końmi gdyby ja być usłużnego rodzaju? Gdzieby one być, i jakieby być? He? Skóra i kości, i nie więcej! Mój Boże! Gdyby ja być taki jak inni kuczery, robaki dawno już byłyby zjeść te szkapy.

— Doprawdy, ja myśleć, że ty kłamać, kłamać, aż sam uwierzyć, — rzekła Róża. Powiedzieć naszej dobrej, kochanej, młodej Pani, że ty czuwać całą noc przy Pe-te, kiedy ty spać i chrapać całą noc, tak że ja myśleć, że się dach na chacie zapaść będzie.

— Tak, tak! — Ja musieć coś powiedzieć. Człowiek musieć być z uszanowaniem dla dam. Ja nie móż powiedzieć, że jej niedać; ja musieć się wytłómaczyć. O, ja mieć jeszcze mnóstwo wymówek! Ja powiadać tobie, że wymówki być przednie rzeczy. Wymówki być jak smarowidło do wozów; one robić, że koła nie skrzy-pieć. Cóżby się też to stać ze światem, gdyby wszysey być tak głupi, i wszystko prawdę gadać, dla czego oni to albo owo robić! —

Rozdział VII.

N A R A D A.

— O, chwala Bogu Harry, żeś przecie powrócił! Co ja tu miałam dzisiaj kłopotu! Wyobraź sobie: Tomtit, kiedym była w pokoju ciotki Nesbit, przyniósł mi te listy. Jeden od Klaytona a drugi od Karsona. Posłuchaj co Klayton pisze: „W przyszłym tygodniu będę miał do załatwienia interesa, które mię zaprowadzą niedaleko Pani; spodziewam się więc że w piątek albo w sobotę przyszła, ujrysz mię Pani w Kanemie, jeżeli się to z wolą Twoją zgadzać będzie.“ A tu jest drugi list od Karsona,—od tego nieznośnego Karsona. Wystaw sobie: nieodebrał mojego listu, i pisze że przyjedzie. Bezwstydny! Mam go już póty, a on mi tu jak na złość z pewnością przyjedzie! Ludzie nieznośni zawsze dotrzymują słowa.

— Mis Nina raczy sobie przypomnieć, iż mówiła, że to byłaby wyborna scena...

— Ach, proszę cię Harry, nieprzypominaj mi tego. Ja już zmieniłam całkiem moje wyobrażenia. Wiesz przecie, że się wyrzekłam tych głupstw wszystkich i skończyłam z niemi raz na zawsze; — napisałam do Karsona i do Emmansa, że się uczucia moje zmieniły, że inaczej teraz myślę, i tym podobne rzeczy, które mi na

myśl przyszły. — Pragnę się pozbyć ich wszystkich i zapomnieć o tém głupstwie.

— Jakto? wszystkich? I pana Klaytona?

— No, co do tego, to doprawdy ja sama jeszcze nie wiem. Powiem ci Harry, że jego listy coraz bardziej mi się podobają. Przynajmniej różne są od wszystkich innych listów które odbieram; — a chociaż nie myślę, żeby mi serce pęknąć miało, gdyby mi jego zabrakło, jednak listy jego sprawiają mi przyjemność. Ale ci drudzy dwaj, to doprawdy śmiertelny wstręt we mnie budzą, a tego nudnego Karsona cierpieć nie mogę. Na każdy przypadek niechciałabym za nie w świecie żeby się tu zjechali. Napisałam dziś rano do Karsona żeby wstrzymać jego przyjazd!... ale cały dzień byłam bardzo niespokojna, bo się wszysecy na mnie uwzięli. Ciotka Nesbit powiedziała mi zwykle swoje kazanie o lekkomyślności, ale nie miała najmniejszej ochoty mi dopomódz. A potem ten stary John! Kazałam mu zaprządz konie do pojazdu, bo chciałam list sama zawieść na pocztę, — ale niewidziałam nigdy w życiu tak upartego jak on stworzenia. Doprawdy, nierozumiem na co się może przydać sługa, na którym nie wymódz nie można!

— O, znam ja dobrze starego Stólatka, ale i on mnie zna także, — rzekł Harry. Ja, bo sobie zawsze z nim poradzę, choć on taki uparty i tak wiele trzyma o godności swego urzędu. Ale jeżeli Pani życzysz sobie jeszcze dziś wieczór list odesłać, to ja wiem inną, lepszą drogę, jeżeli mi Pani zawierysz.

— Ach, i owszem! Proszę cię, weź go!

— Poszlę z nim posłańca, na którego można rachować.

— Dobrze. — Harry, Harry! — zawołała Nina chwytając go za rękę gdy odchodził: — Przyjdź tu jeszcze do mnie, — dobrze?... Mam jeszcze z tobą coś powiedzieć. —

Gdy się Harry oddalił, nasza bohaterka wyjęła list i przeczytała go.

— Jak on dobrze pisze! — rzekła sama do siebie. — Zupełnie inaczej jak wszyscy! Doprawdy, chciałabym żeby nieprzyjechał... Listy jego, to co innego; ale on sam, — nie, niechęć. Ach, jakbym rada z kim o tém pomówić! Ciotka Nesbit, to taka zimna istota. Nie, nie mogę, — niechęć o nim myśleć! Harry, to poczciwa dusza.

— Cóż Harry, posłałeś list? — zapytała prędko, gdy młody człowiek wszedł znów do jój pokoju.

— Tak jest, Mis Nino, ale nierobię Pani wielkiej nadziei. Boję się żeby nie zapóźno już było na pocztę, chociaż ona nigdy bardzo regularnie nie odchodzi. —

— No, to może tą razą dla mojej miłości opóźni się trochę. — Gdyby ten szkaradny człowiek naprawdę przyjechał, to rzeczywiście niewiem cobym z nim poczęła. — On ma tyle pretensyj! — a trzewiki jakie okropnie skrzypiące! Zdaje mi się jednak, że oni się tu zjadą — a niewiem co sobie Klayton o tém pomyśli.

— Ja rozumiałem, że to dla Pani rzecz obojętna.

— Widzisz, on mi pisał o całej swojej rodzinie. Najprzód ma starego ojca; bardzo zacnego człowieka, i pochodzącego ze znakomitój familii. Powtóre: ma siostrę, — najokropniejszą, najrozumnniejszą siostrę, jaką tylko mieć można, — dobrą, kochaną, ukształconą, skromną! Ach, mój Boże! ciekawam co on sobie o mnie

myśli? I wystaw sobie, — na końcu listu jest także *postscriptum* tój siostry, tak elegancko i pięknie napisane, jak tylko być może.

— Co się tyczy familii, Mis Nino, — rzekł Harry, — to myślę, że Gordonowie niepotrzebują przed nikim uchylać głowy; — a co do Mis Klayton, to sędzę, że ją Pani pokochasz.

— Ależ mój Harry, to opisanie ojca i sióstr, posuwa bardzo rzecz całą naprzód. To zakrawa jakoś na to, jak gdyby mię złapać chciano. A widzisz Harry, ja podobna w tém jestem do mego kuca. On przychodzi tak śmiało do człowieka, nadstawia grzbiet żeby go podrapać, i zdaje się, że się da złapać każdej chwili; ale niechno kto zechce uzdę nań włożyć, w mgnieniu oka już go niema. — Otóż tak samo rzecz się ma ze mną. Lubię bardzo mieć jak najwięcej wielbicieli, odbierać listy miłosne, słuchać pochwał swoich, chodzić na operę i na spacer y i konno jeździć, — ale jak tylko mężczyzna zaczyna mówić o swoim ojcu i siostrach, i tak postępować jakby już był pewny siebie, — wtedy robię jak mój kuc — uciekam. Bo wiesz, mnie się zdaje, że małżeństwo to musi być rzecz strasznie poważna! To musi być coś okropnego. Ja niemam weale ochoty zostać taką poważną mężatką. Jabym chciała zawsze zostać dziewczyną i tak żyć jak teraz żyję, — i chciałabym tylko, żeby jak najwięcej dziewcząt przychodziło do mnie, i żeby mi pomagały psoty wyprawiać!... W ostatnich czasach niebyłam ani troszkę szczęśliwą — ani troszkę. — A przecież dotąd w mojem życiu nigdy nieszczęśliwą nie byłam.

— To czemuż Pani nie napiszesz do P. Klaytona, i raz z nim nie zrobisz końca, kiedy Pani tak myślisz? —

— To też ja sama niewiem czemu. Mam wielką ochotę to zrobić, a znów boję się, żebym sobie tém jeszcze gorzej nie zrobiła. — On jest niby potężny cień, co pada na całe moje życie, tak, że zaczynam teraz wszystko widzieć w prawdziwém świetle. — A ja niechęć życia brać na serio! Czytałam jednego razu powieść o Undynie, i czy uwierzysz Harry, zupełnie mi się zdaje, że czuję to samo, co czuła Undyna, kiedy poczuła w sobie budzącą się duszę?

— A czy Klayton jest rycerzem? Huldbrandem? — zapytał Harry z uśmiechem.

— Niewiem. A gdyby też był?... To pewna, mój Harry, że nawet rozumnym ludziom, dziewczęta takie jak ja, zawracają głowy, — że nam pochlebiają, i pobbłażają wszystkim naszym zachceniom; ale ja lękam się téj chwili, w której zachciewa się im panować nad nami. Żenią się z nami, bo się spodziewają nas potem uchoodzić, — ale ja myślę, że mnieby nikt nigdy uchoodzić nie potrafił. Mnie się zdaje, że ja już taka zostanę jaka jestem, i że już niebędzie ze mnie nic lepszego. On mnie będzie porównywał ze swoją doskonałą siostrą, a ja oczywiście nie wiele zyskam na tém porównaniu. Jego siostra odebrała piękne, dobre wychowanie: umie mówić o literaturze i o wszystkiém. Ja znów zaledwie tyle mam rozumu, żeby pięknego konia ocenić i nie więcej. A jestem dumna! Niezniosłabym, gdybym widziała że niżej stoję w szacunku jego, niż siostra. Już to my dziewczęta zawsze jesteśmy takie: pragniemy tego,

o czém wiemy, że się nam nie należy, — a nie chcemy sobie zadać pracy, żeby się celu naszych pragnień stać godnemi.

— Jeżeli mi Pani, pozwolisz wyjawić moje szczere zdanie w tój mierze, to dam Pani jedną radę. Bądź Pani z P. Klaytonem szczerą i otwartą; jeżeli P. Karson przyjedzie z nim jednocześnie, to powiedz mu Pani po prostu jak rzeczy stoja. Jesteś Pani z rodu Gordonów, a powiadają, że prawda w krwi Gordonów płynie. Zresztą nie jesteś już Pani panienką na pensyi, ale młodą damą, gospodynią w swoim domu.

Zatrzymał się, jakby się wahał czy ma mówić dalej.

— Dobrze Harry, — niepotrzebnieś się zatrzymał. Rozumiem cię, — zostało mi jeszcze trochę rozumu, i wiem że za mało mam przyjaciół, żebym się na ciebie o lada drobnostkę gniewać miała.

— Myślę, że zdrowie dozwoli ciotce Pani zejść nadół do stołu. Czy jój Pani powiedziałaś jak się rzeczy mają?

— Komu? Ciotce Loo? Jak gdybym ja jój to kiedy o czém mówiła! Nie Harry, mnie już tak sądzono, żebym zawsze sama stała o swoich siłach. Ja niemam nikogo: ani matki, ani siostry,—a ciotka Loo, jest jeszcze gorzej jak nikt; bo to przykro wiedzieć, że się ma kogoś przy sobie, coby wraz z nami czuć mógł i powinien, a on się zupełnie o nas nie troszczy. Ja wiem, że nie jestem nic wielkiego, że niejestem taką doskonałością jak Mis Klayton,—ale któż też może tego żądać po mnie, która zrazu zostawiona byłam całkiem samj sobie, a potem oddana na francuzką pensyą? Powiadam ci Harry, że dziewczęta na pensyi nie są tём, za co je okrzyczano. Bardzo tam wprawdzie wesoło, aleśmy się

tam niczego nieuczyły, — to jest nieuczyłyśmy się niczego gruntownie, tylkośmy powierzchowną uczonością błyszczały. Wprawdzie musi się tam każda czegoś nauczyć, i tak ja na przykład nauczyłam się tego, czego się nauczyć miałam ochotę, i od czego uchylić się nie mogłam, — a i tego znaczna część nie jest bardzo budującej natury. —

Rozdział VIII.

STARY TIFF.

— Powiedz mi Tiff, jak ci się zdaje, czy on wróci dziś wieczór?

— Mój Boże! Missis, co Tiff może zgadnąć? Ja już był wyglądać za drzwi, ale nic nie widać, ani słyhać.

— Jakże tu samotnie! a noey jakie długie!

Tak mówiła wychudła, słaba, wątła kobieta, przewracając się niespokojnie na podartém łożu, na którém leżała rozciągnięta, i z nerwową niecierpliwością załamywała wyschłe palce, i patrzyła w górę na niebielony pułap izdebki.

Była to izba jedna z najprostszych, najordynarniejszych. Chata zbudowana była z nieobrobionych kłoców sosnowych, między któremi szpary utkane były gliną i słomą; podłoga składała się z desek, ledwie co z grubsza ociosanych, które niedobrze przystawały do siebie; okno złożone było z małych szybek, które powtykano obok siebie, tam gdzie nierówne brzegi kłoców, większą w ścianie utworzyły szparę. W jednym końcu chaty stał ciężki komin, na którym tlił się przytłumiony ogień z jodłowych drewek, przykryty lekką warstwą białego popiołu. Nad kominem była przybita deska, na której widać było trochę rozmaitej żywności, rozbitą herbatni-

cę i kufel z przykrywką: — dalej było kilka paczek, jak się zdawało z lekarstwami, — skrzydło indyze, po którego wyszarzanych i wypadłych piórach o długiej i ciągłej jego służbie wnosić można było, — kilka pęczków ziół suszonych, i nareszcie pstro pomalowana kamienna koneweczka, z bukiecikiem polnych kwiatków.—

Kobieta leżąca w kącie na barłogu, musiała być kiedyś piękna; skóra na niej była delikatna, włos miała miękki i kręty, oczy cudnej niebieskiej barwy, ręce małe, przezroczystej białości, jak perły. Ale czarne obwódki do koła oczów, ale wązkie, blade wargi, słabość członków, gorączkowy oddech i wypieczone plamy na policzkach świadczyły jawnie, że jej pobyt na tej ziemi już niedługi.

Obok jej łoża siedział stary Murzyn, któremu gęsty, kędzierzawy włos, wiek już białymi pruszymami przrzucił. Twarz jego na pierwsze spojrzenie należała do najmniejprzyjemniejszych murzyńskich fizyognomij, i byłaby była całkiem odrażająca, gdyby jej nie był łagodził promień miłej wesołości i pogody. Był on czarny jak heban, nos miał perkaty, — a usta ogromne, otoczone niesłychanej grubości wargami, przykrywały dwa szeregi zębów, których by mu był rekin pozazdrościł. Całą jego piękność stanowiło dwoje wielkich, czarnych oczu, które jednak obecnie przykryte były także ogromnemi, platerowanemi okularami. Przez nie, właściciel ich wpatrywał się z największą pilnością w dziecinną pończochę, której cerowaniem był zajęty; — przy jego nogach stała kolebka wyrobiona z kłoca gumowego drzewa, wypchana rozmaitemi łachmanami stariej flaneli, na których spoczywało maleńkie dziecko. — Drugie dziecko, trzech-

letnie może, siedziało mu na kolanach, i bawiło się z wielkiem zajęciem gałązkami jedliny i trochą mchu.

Murzyn był niski, a do tego zgięty jeszcze i przygarbiony. Na ramionach miał zarzucony półchustek czy szal z czerwonej flaneli, zawiązany podobnie jak to noszą stare kobiety. Dwie albo trzy igły, nawleczone czarną, grubą nicią, miał powpinane na ramionach; — zajęty pilnie cerowaniem, obok tego utrzymywał ciągle rozmowę, częścią spiewaną, częścią gadaną z dzieckiem, które trzymał na kolanach.

— Tak, tak, Teddy! — Hopsa! mój kochanku. Siedź cicho, bo mama być chora, a siostra pójść po lekarstwo. Tiff będzie spiewać malenkemu

„Chrystus się narodził w Betleem,
Chrystus się narodził w Betleem,
I w żłobie go położono.“

— Uwagać! Ty! Ty sobie oto podrapać igłami paluszek — biedny paluszek! — A teraz spokojnie siedzieć, bawić się temi ładnymi rzeczami — czekać co Papa przywieść.

— O mój Boże! — jęczała kobieta na łożu, — ja umrę!

— Boże broń Missis! Nie! — rzekł Tiff kładąc pończochę, i jedną ręką trzymając dziecko, a drugą wstrząsając i poprawiając na łóżku. — Nie, niemyśleć tak! Bóg strzedz Missis — Missis wstać za parę dni. Missis mieć teraz dużo roboty, i sukienki dzieci nie bardzo dobrze wyglądać; ale ja to już wszystko będę naprawić. — Oto przypatrzeć się! zawołał podnosząc do góry czer-

woną flanelową sukienkę, na której widać było dużą czarną łatę; — ja tak zrobić, żeby się dalej dziura nierozdrzeć, — a to dobre jeszcze być dla Teddy, jak tam dokazywać na polu! — Ja też nieźle pocerować tę pończochę. — A potem ja myśleć zrobić parę sztychów na trzewiki Teddy, i dziurę w koldrze dziś jeszcze zacerować. O! ja to wszystko zrobić! Hehehe! żeby Missis darmo Tiffa nie trzymać, — hohoho! — I czarne, pocziwie jego oblicze, coraz to żywszą błyszczało radością, w miarę im więcej panią swoją pocieszyć się starał.

— O Tiff, Tiff! Tyś pocziwa dusza, ale ty mnie nie rozumiesz! Ja tutaj leżę po całych dniach samotna, a jego niema, i Bóg wie tylko gdzie się obraca. A to czém on się trudni, nie a nie nie czyni, — zwozi tylko jakieś nędzne graty i wymienia je znów za inne. O, jak ja nierozsądnie zrobiłam, żem za męż poszła! Tak, tak, dziewczęta niewiedzą co to znaczy. Ja myślałam, że to okropna rzecz zostać starą panną, a tak mi się chciało pójść za męż! Ach, ale te znoje i troski, te choroby i cierpienia, które przeżyłam! Ciągłe tylko tulać się z jednego miejsca na drugie, nigdzie niemieć swojego kąta, — wszystko co miałam wysprzedać jedno po drugim, ciągle się gryźć, czuwać i upadać od znużenia, a to wszystko napróżno, — bo koniec mój się zbliża... ja muszę umrzeć!...

— O, nie! — rzekł Tiff poważnie. — Tiff zrobić trochę herbaty, i dać wam! To prawda, że teraz być czas strasznie twardy — ale to się będzie poprawić, — Massa będzie powrócił i będzie pracowitszy, — a Teddy podrośnie i będzie pomagać swojej mamie; — a ja wiem, że żadne dziecko nie być lepsze, jak ten małeńki roba-

czek! — I z czułością schylił się nad kolebkę, w której leżący kawałek tłustego i czerwonego mięsa, który wyglądał na daleki projekt na człowieka, podnosił rączkę i słabym krzykiem starał się zwrócić na siebie uwagę przytomnych.

— O, o, coż to znowu! — zawołał Tiff, i ostrożnie Tedda postawiwszy na ziemi, wziął na rękę płaczące dziecko, i z czułością przypatrywał mu się przez okulary, — Wyciągaj się tylko, wyciągaj, aniołku, wyciągaj! Ho, ho! Niech mnie Bóg skarać, jeżeli on niemieć oczy podobne do swojej mamy. On grzeczny — Missis go zobaczyć! — i położył dziecko na łóżku. — Czy Missis widzieć kiedy ładniejsze macieństwo? He, he, he! Teraz mama go troszkę wzięść, a Tiff tymczasem zrobić mamie herbaty! —

I w mgnieniu oka Tiff klęczał przy kominie, zgarbując starannie żarzące się drewnienka i dmuchając na nie, przyczem wznosił się gęsty obłok białego popiołu, i niby śniegiem opruszał jego głowę i szal czerwony. Podczas tego, Teddy usilnie pracował nad wyciąganiem drutów z półeczochy, która leżała w koszyku przy kominie stojącym. —

Skoro się nareszcie powiodło Tiffowi rozdmuchać ogień, przystawił doń zaraz mały czarny garnuszek z wodą, przyspiewując sobie przytém:

„Czarna jest ścieżka moja i pochmurna,

Pochmurna jest.

„Czarna jest ścieżka moja i pochmurna,

Przez cały dzień“.

Podniósłszy się potem, poszedł zajrzeć na biedną matkę, która położywszy dziecię u piersi, cicho płakała. Nachylony nad nią, z tą króciuchną, zgarbioną, nieporęczną swoją figurką, z długimi rękoma, które podobne do smyczków po obu jej stronach wisiały, z plecami okrytymi czerwonym szalem, Tiff wyglądał zupełnie jak żółw litościwy, na tylnych łapach stojący.

— Bożeż mój miły! — zawołał obracając się nagle, — Teddy! ty wywlec druty z roboty Mis Fanny! To nieładnie! Tiff musieć się wstydzic za Teddy! I ty to robieć, kiedy mama być chora! To ty niewiedzieć, że Teddy musieć być grzeczny, jeżeli chceć, żeby mu Tiff historye opowiadać? Ty siać tam na ten pniak, to być najlepší! Mnóstwo mehu na nim — módz go obdrapać! A teraz siedzieć cicho i nieprzeszkadzać Mamie! —

Chłopiec popatrzył na Tiffa dużemi niebieskimi oczyma, i jakby zmagnetyzowany, usiadł cicho i spokojnie na pniaku, podczas gdy Tiff szukał czegoś w skrzynce w kącie stojącej. Po długim szukaniu, wyjął z niej narzeczcie sosnową szczapę, i gdy się zmierzchać zaczęło, wetknąwszy ją w szparę drugiego kloca przy kominie stojącego, zapalił, mrużąc sobie pod nosem:

— Tak przecie będzie weselój trochę.

Potem ukląkł znowu i począł rozdmuchiwać węgle pod garzkiem, które zwyczajnie jak węgle sosnowe, zawsze wyglądały czarno i smutnie, jak tylko nikt na nie nie dmuchał. A dał całą siłą płuc swoich, niezważając na wznoszące się po nad nim obłoki popiołu, który spadając osiadał mu na rzęsach nawet i na końcu nosa.

— Jak mi Bóg miły, moje płuca strasznie być silne! Ja by ich mōdz użyć do kuźni. Już ja to nie pierwszy dzień ogień na kominie utrzymywać! Ale ciekawa rzecz co Mis Fanny robić tak długo?...

Tiff powstał z wielką ostrożnością, i spoglądając co chwila na łóżko, stapał po cichu z taką starannością, że kilka razy był w niebezpieczeństwie stracenia równowagi; nareszcie dostał się szczęśliwie do drzwi, które otworzył powoli i wyjrzał. Wyjrzawszy z nim razem na pole, możemy dostrzedz, że chata stoi samotnie, śród sosnowego lasu, który ją ze wszech stron otacza.

Tiff zostawił przez chwilę drzwi otworem i nadśluchiwał. Nie było słyhać, tylko wiatr z lekka pociągał, i potrącając długie szpilki sosnowe, wydawał pewne dźwięki, w smutne wiążące się akordy.

— Ach, te sosny! One zawsze gadać do siebie! — rzekł Tiff po cichu. — Zawsze szeptać, szeptać, szeptać, Bóg wie co! A nigdy niepowiedzieć ludziom, czego chcieć.... Cicho!... To Foxy, jakem żywy, to Foxy! Aha, przecież ona wracać! — zawołał, usłyszawszy głośne szczekanie. — Aha, Foxy, ty ją już przyprowadzić! — I począł głaskać wychudłego psa na wilka podanego, który skacząc przez drzewa przybiegł ku niemu.

— A ty nie dobrego! Czego tak prędko biegnąć, i zostawiać twoją Missus?... Cicho! co to jest?

Czysty głosik zabrzmiał śpiewem z pomiędzy sosen:

„Jeśli ty dostąpisz tego,
„Ja idę do Kanaanu.

Tiff odpowiedział na to z zapalem:

„Zwróć oczy na służę twego,
„Idę wraz do Kanaanu!

Odpowiedzi tój towarzyszył wesoly śmiech, i dziecinny głosik odezwał się z lasu:

— Hola! Tiff, czy to ty?

I jednocześnie ukazała się hoża, z niebieskimi oczyma blondynka, około ośmiu lat mieć mogąca.

— Mis Fanny, jaki ja kontent, że wy przyjść! Mama bardzo być słaba dziś popołudniu. — A potem dodał szeptać: Można wierzyć, Mama być bardzo smuta, Mis Fanny; ona doprawdy tak płakać, jak ja jój podać małego. Doprawdy, ona być bardzo niespokojna; pragnąc zobaczyć papę. Czy wy przynieść lekarstwo?

— A jakże, — oto jest.

— To dobrze! Ja właśnie zrobić dla niój trochę herbaty, i będę wpuścić do niój parę kropel tego. Wy teraz iść pomówić trochę z mamą, a ja przyłożyć drewek i zrobić porządny ogień. Teddy będzie się cieszyć bardzo jak was zobaczyć. Wy mu pewnie co przynieść?....

Dziewczynka weszła cicho do chaty i nachyliła się nad łóżkiem matki.

Zdawało się, że na biędną, wątłą istotę leżącą na łóżku, nadeszła jedna z tych chwil, trafiających się w życiu ludzkim, które żadnej pociesze niedają przystępu, i w których brak wszelkiej nadziei, straszne chmury gromadzi nad głową nieszczęśliwego. — Biedaczka, trzymając niemowlę u piersi, podartą koldrę na twarz nasunęła, a łóżko trzęsło się od gwałtownego jój łkania.

— Matko! Matko! — wołało dziecię, poruszając ją z lekka.

— Precz z tą! precz dziecko! O, bodajbym się była na świat nierodziła! ani ty, ani Teddy, ani ten mały! Dla nas tylko troski i nędza na tej ziemi! Nie chodź za męż Fanny! słyszysz co ci mówię!

Dziecko przestraszone stało przy łóżku matki, a Tiff tymczasem położywszy naręczko sosnowych drewek przy ogniu, odstawił garnek i począł coś skrzętnie mięszać w starym, natłuczonym, porcelanowym dzbanku. Przy tém zatrudnieniu znać było, że serce jego mocno wezbrało uczuciami, gdyż slychać było jak sapał i krząkał, co u niego było oznaką najsilniejszego wzruszenia. Przytém mruzczał sam do siebie:

— Tak to być, kiedy znakomici ludzie wchodzić w związki z takimi białemi ludźmi! Ja nigdy o tém dobrze nie wróżyć! O Panie, wysłuchać tę biedną istotę! To le-dwie człowiekowi serce niepęknać!

Gdy napój był już gotowy, przystąpił do łóżka i rzekł przymilającym się głosem:

— No, prosić Mis Sue, prosić! Wy całkiem osłabnąć! Nie dziwne! Takiego dużego chłopca karmić! Niech go Bóg błogosławić, on co tydzień o pół funta być cięższy! Dostyc tego, bo mama bardzo osłabnąć. No, prosić zjeść trochę zupy. — Ona was rozgrzać i wzmocnić; ja potém upiec wam kawaleczek kury — bo taki chłopiec nie módz być mocny po samój zupie, — ja to wiedzieć. Tak, tak, mój aniolku! — mówił Tiff podnosząc z lekka dziecicę, i podkładając rękę pod poduszkę.

— Mój grzbiet być bardzo mocny! Moja ręka długa i silna; ja wam z łatwością dopomódz... A teraz prosić zjeść zupę, i troski nią zalać. Ja myśleć że dobry Bóg

będzie wejrzeć na nas, i zrobić nas wszystkich szczęśliwemi.

Chora, która osłabiona nadmiarem wezbranych uczuć, zdawała się całkiem omdlałą, machinalnie posłuszna była głosowi do którego od dawna przywykła, i poczęła pić chciwie, jakby z gorączkowym pragnieniem,— a gdy się napiła, objęła rękoma szyję swego sługi i opiekuna.

— Oh, Tiff! Tiff! Biedny stary, wierny Tiff! coby się to było stało ze mną, gdyby nie ty! Ja taka chora, taka słaba i opuszczona! Ale już się koniec przybliża. Dziś wieczór poczułam, że niedługo żyć będę, i płaczę tylko nad tém, że dzieci zostawiam przy życiu. O, gdybym je mogła wszystkie wziąć w moje objęcia, i zabrać ze sobą do grobu, jakże byłabym szczęśliwa! Doprawdy, ja niewiem na co mię Bóg stworzył! W całym życiu mojem na nie się nikomu nie zdałam, nie dobrego nie zrobiłam!

Tiff tak mocno był wzruszony, że łzy zalały mu całkiem okulary, a łkania wstrząsały całą jego niezgrabną postać.

— Bóg z wami, Mis Sue, — nie mówić tak! Jakby was Pan powołać do siebie, to już jaby mieć staranie o dzieciach. Jaby ich tego wychować, — ja wam to powiadać! Ale Missis nas jeszcze nieopuścić, — będzie lepiej, tylko trzeba odwagi!

W tój chwili dało się słyszeć głośnie szeczekanie za drzwiami, a zarazem skrzypienie kół i tentent konia.

— To Massa! jakem żywy! — zawołał Tiff, składając prędko chorą na łóżku i poprawiając jój poduszek.

— Hola! Tiff! światła! — zawołał jakiś ostry głos ze dworu. Tiff pochwycił sosnową szczapę i pobiegł drzwi

otworzyć. Dziwna powózka, której trudno było na prędce stósownie wynaleźć nazwisko, stała przede drzwiami zaprzężona jednym chudym, jednookim koniem.

— Pomóż mi Tiff! Przywiózłem masę towarów. Jak się ma Sue?

— Missis bardzo źle! Ciagle pragnąc was widzieć.

— No, żwawo Tiff! Bierz to! — zawołał przybyły wskazując mu duży kawał żelaznej rury do pieca, — zanieś to do izby, i to także, — dodał podając mu żelazną drzwiczki z ukreconą klamką.

— Mój Boże, Massa, i na co się to wszystko przydać?

— Niepytaj się, tylko się zwijaj. Pomóż mi znieść te skrzynie.

— Co to może być u Pana Boga? — pytał sam siebie Tiff, znosząc jedną po drugiej ordynaryjne paki, które mu pan z wozu podawał. — Gdy już wszystko było pod dachem, a Tiff otrzymał rozkaz opatrzenia konia i wozu, przybyły wszedł do izby, z miną gęstą i wesołą.

— Hola, mały! — zawołał, i podniósł chłopca do góry; — Hola, Fanny! — i pocałował w czoło dziewczynkę; — Hola, Sis! — i przystąpiwszy do łóżka nachylił się nad chorą, która objęła go słabemi, wychudłemi rękoma, i z pośpiechem mówić zaczęła:

— Ach! jesteś przecie! A ja już myślałam że umrę nie widząc ciebie!

— Ale ty nieumrzesz Sis! Co to za gadanie! — rzekł mężczyzna biorąc ją pod brodę; — takaś rumiana, wyglądasz jak róża!

— Niech papa zobaczy malutkiego! wyjąkał mały Teddy, który wydrapał się na łóżko i ciekawie do kolebki zaglądał.

— A, Sis, — to mi się dopięro udało! Powiadam ci: zrobiłem interes, który nas na nogi postawi! A prócz tego mam tutaj w kieszeni coś, co zdechłego kota wskrzesić jest w stanie, chociażby trzy dni z kamieniem u szyi leżał na dnie stawu! Patrzaj: „Dra. Puffera prawdziwy, niezawodny elixyr życia!“ — To leczy ból zębów, ból uszów, skrofule, bicie serca, konsumcyą i wszystko co tylko zechcesz. — Zażywaj tylko codzien z rana i na wieczór po łyżeczce od kawy, a w przeciągu tygodnia będziesz zdrowa jak rybka! —

Trudno sobie wystawić, jaką zmianę uczyniło w chorój przybycie tego człowieka. Zdawało się, że wszystkie smutne przecucia od razu, ją opuściły, — siedziała na łóżku prosto, ścigając oczyma każde jego poruszenie, a w nowém lekarstwie zdawała się taką wiarę pokładać, jakby pierwszy raz w życiu słyszała o podobnych środkach uniwersalnych. Ale Tiff który wróciwszy do izby, krzątał się koło ognia, z pogardą prawie wrzusał ramięmi po za plecyma mówiącego, i mruczał coś z cicha. —

Przybyły, był to mężczyzna krępy, dosyć przystojny, i mógł mieć lat czterdzieści do czterdziestu pięciu. Jego jasno piwne oczy, gęsty, kręty włos, wysokie czoło, i spojrzenie śmiałe i o nie niedbające, stanowiły całość, nienajgorsze robiącą wrażenie, i tłumaczyły poniekąd zajęcie, z jakim czy chorój za nim się zwracały.

Historya téj pary niedługa. On, był synem małego dzierzawcy z północnej Karoliny. Ojciec jego przyszedł był na nieszczęśliwy pomysł, kupienia sobie kilku niewolników, i od téj chwili całą rodziną opanował nieprzewyciężony wstręt do wszelakiej pracy. Najstarszy syn

John, z wielkiem zamiłowaniem oddał się próżniackiemu życiu, i przepędzał czas na leżeniu do słońca podle małego szyneczku, na wycieczkach, na wprawianiu do boju kogutów i gąsiorów, wreszcie na przechadzkach, na których często gęsto lubił się popyszczyć, to nową chustką na szyi, to kamizelką, to inną jaką częścią ubioru, na które niewiedzieć z kąd dobięrał pieniędzy. Pod względem naukowym, był niewinny jak nowonarodzone dziecko, a pod względem religijnym, wolnomyślny, jak Muzułman albo Indyjanin.

W czasie jednej z próżniackich jego wędrówek, przytrafiło mu się przepędzić noc na jednej podupadłej plantacyi, która przez długoletnie zamiedbanie i rozrzutność, przywiedziona została do nader smutnego stanu. Strawił tam dni kilka na grze w karty, z równie jak on pełnym nadziei synem dziedzica, i nareszcie zakończył chwalebnie swoje odwiedziny, porwaniem piętnastoletniej córki właściciela, dziewczyny miękkiego serca, a przytém równie jak on spróżnioną, nieopatrzną i nieukształconą. —

Rodzina jój, która mimo ubóstwa niezapomniała jeszcze dawniej dumy, niechciała słyszeć o tém małżeństwie, i dla tego, gdyby ją nawet stać było na to, byłaby wszelkiej oprawy odmówiła pannie młodej. Jedynym przedmiotem, który wyniosła z ojcowskiego domu, a raczej, który sam dobrowolnie za nią poszedł, był Tiff.

Matka wykradzonej pochodziła z jednej z najznakomitszych rodzin wirgińskich, a Tiff był jój sługą. Z sercem napełnioném wspomnieniami dawniej wielkości Peytonów, towarzyszył on swój młodej pani z zupełnem zaparciem się samego siebie. Poświęcenie jego dochodziło

do tego stopnia, że zdecydował się uznać za pana człowieka, nad którego czuł się wyższym; bo jakkolwiek był Murzynem, jednak mimo tego wierzył niewątpliwie, że krew Peytonów w jego żyłach płynie, i że honor Peytonów jego pieczy został poruczony. Wedle niego, pani jego była Peytonówna, dzieci jej były dziećmi rodziny Peytonów, nawet kawalki starej flaneli, któremi kołodka dziecięcia była wypchana, były częstkami rodu Peytonów; — co się tyczy jego samego, to miał się za Tiffa Peyton, i to przekonanie zagrzewało i pocieszało go w ciągu wędrówek które odbywał z swoją panią, coraz to niżej w opinii świata upadająca. Na męża jej spoglądał z pogardliwą, ale zarazem z grzeczno-protektorską miną; — życzył mu jak najlepij, i z pobłażaniem patrzył na jego czynności; — ale w chwilach poufałej z samym sobą rozmowy, podnosił z powagą swoje okulary do góry, i wynurzał zdanie: „że po tego rodzaju ludziach, wiele spodziewać się niemożna.“

Tę pogardę starego Murzyna usprawiedliwiał pod każdym względem, niestały, niespokojny umysł Johna Kripps, który wszystkiego się chwycił w swoim życiu, ale w niczem nie wytrwał. Różnemi czasy, rozpoczynał był rozmaite rzemiosła; próbował to kowalstwa, to cieśliki, to furmanki, — to znowu koguty do walki zaprawiał, lub psy do tropienia Murzynów układał. Ale wszystkie te zatrudnienia w końcu porzucał, z tém mocnym przekonaniem, że jest zapoznanym gieniuszem. Nareszcie jakiś szczwany oszust kramarz, odkrył w nim, nierozwinięty jeszcze niby gieniusz kupiecki, — i biedny Kripps, który nie miał najmniejszego nawet wyobrażenia, wiele to jest: raz jeden, i wszystkie swoje rachunki załatwiał

za pomocą palców, lub krósek kredą na drzwiach znaczonych, dał się najkompletniej przekonać, że handel dopiero jest prawdziwem jego powołaniem, i zakupił wszystkie poniszczone i odwieczne towary od chytrego kramarza.

Ciągły ruch którego to nowe zajęcie wymagało, przypadał wybornie do jego niespokojnego charakteru, a chociaż ciągle takie tylko rzeczy kupował, których potem sprzedać niemógł, i chociaż tracił na wszystkiem co sprzedał, jednak zdawało mu się że coś robi, bo tedy owdy zabłąkana jakaś sztuka monety przesunęła się przez jego kieszeń, a obręb karczem i szynków w których pił i daremnie czas trawił, rozszerzył się bardzo. Jedynem, niewyczerpanem źródłem pomocy w najgorszych razach, był mu wierny, niespracowany niewolnik Tiff. —

Rzeczywiście Tiff zdawał się być jedną z tych uprzywilejowanych istot, które z całym przyrodzeniem zostają na tak dobrej stopie, że im nigdy koniecznych potrzeb niezabraknie. — Tiff brał zawsze na wędę ryby, nawet tam, gdzie ich nikt ułowić nie mógł, — i pierwszą lepszą najbliższą rzekę, nazywał zwykle swoją rybną skrzynią. — Kury dla Tiffa tylko niosły jaja, i wesoło gdacząc same wskazywały mu miejsca gdzie ich miał szukać; — indyki dla niego tylko bełkotały, pyszniły się swemi ogonami, i wysiadywały całe zastępy młodych indycząt. Zdawało się, jakoby wszelaka zwierzyna, jak: wiewiórki, króliki it.p., znajdowała przyjemność w łapaniu się w jego sidła i paści, tak, iż tam gdzie ktokolwiek inny byłby umarł z głodu, Tiff oglądał się tylko do koła z zadowoleniem pełnem godności, jakgdyby cała natura była spiżarnią, po której zapasy jego, dla tego

tylko w skórach i na czterech nogach biegały, żeby się lepiej dochować aż do chwili, w której on ich zapotrzebuje. Dla tego też Kripps, chociaż ostatnią éwiartkę dolara przepił gdzie w szynkowni, zawsze jednak wracał do domu pewny smacznej wieszery, — co mu zresztą bardzo było na rękę. Był on przekonany, że Tiff tylko swęj powinności dopełnia, jadenakże od czasu przywoził mu jaką niemającą żadnej wartości bagatelkę, żeby mu pokazać, iż wierność jego ocenić umię. Na tęg to drodze przyszedł także Tiff do owych okularów, z których nadzwyczaj był dumny, — a chociaż one niezém inném nie były, tylko prostęj szyby kawałkami, jadenak cieszył się niemi, jakgdyby były z górnego kryształu szlifowane, bo zresztą, silny, bystry wzrok jego, niepotrzebował żadnej sztucznej pomocy. Była to tylko arystokratyczna słabość poczciwego Tiffa, który okulary uważał za oznakę ukształconego człowieka, i za ozdobę przywoitą dla osoby „należącej do jenedej z piérwszych rodzin staręj Wirginii“. —

Oprócz tego pocztywał on okulary za nieodbicie potrzebne przy zatrudnieniach kobiecych, które obok mnogich zajęć poza domem, były także jego udziałem, jakżeśmy się o tęg już przekonali. Tiff robił pończochę tak dobrze jak kobieta, — umiał przykrawać sukienki i fartuszki dla dzieci, szyć je i naprawiać, ale zadowolenie z jakim oddawał się tym kunsztom, podwoiło się od czasu, jak miał szczęście posiadać okulary.

Mimo tego, że niejednego nieszczęścia, niejednego smutku w życiu swoim doświadczył, Tiff był jadenak wesoly. Tak go lada drobnostka cieszyła, tak o nic nie dbał, iż trzeba było wielkię o ucisku, żeby go zasmu-

cię. Ze sobą samym żył w najściślejszej przyjaźni, — kochał się, wierzył sobie, — a kiedy nikt na niego nie patrzył, zwykł był uderzać się poufale po ramionach i mówić: „Tiff! ty jesteś zuch chłopak, dzielny człowiek, ja ciebie bardzo kocham!“ Takie rozmowy z samym sobą szły mu nader płynnie, przeplatane wesołymi piosenkami i śmiechem. Tiff śmiał się gdy ujrzał, że mu groch kielkuje, — śmiał się gdy po burzy słoneczko z za chmur przedarło się na ziemię, — śmiał się z tysiącnych rzeczy, które nikomu innemu niebyłyby się śmieszne wydały. W czasie smutku i zmartwienia, Tiff zapuszczał się w rozmowę ze sobą, i znajdował w sobie przyjaciela, który nigdy nie zdradził tajemnicy. W tej chwili właśnie, pelen wewnętrznego niezadowolenia, przyrządzał zwłoki jednego z najłustszych kurecząt, które na przysmak dla pani swojej przeznaczył, i usiłował ulżyć strapienemu sercu poufną rozmową ze sobą.

— Ten tam, — rzekł pogardliwem skinieniem głowy wskazując na przybyłego, — ten tam będzie jeść jak zgłodniały wilk! Szkoda, co ja nie zabić starego indyka, — byłby w sam raz dla niego, — aż nadto dobrze! To było najładniejsze kureczątko; a teraz ona siedzieć, a on zjeść będzie. Mój Boże! czego ta pani tak szaleć za tym człowiekiem? Żeby to choć za innym jakim szaleć!... Mnie to gniewać, — on wszystko będzie polknać, a ona się przypatrywać! No, ale co robić! — I to mówiąc, postawił na ogniu brytfannę, w której niebawem kureczko smażyć się zaczęło. Wtedy wyciągnął na środek stół, i przygotował go do wieczerzy, a wkrótce potem wrzała już kawa przy ogniu i kukurudzane placuszki piekły się w popiele. Tymczasem John Kripps wychwalał żo-

nie owe towary, których nabyciem tak był uszczęśliwiony.

— Widzisz Sue, tą razą byłem w Ralejgh, i tam napotkałem jednego człowieka z nowego Jorku, z nowego Orleanu, czy z któregoś innego z północnych Stanów.

— Nowy Orlean nie należy przecież do Stanów północnych — wtrąciła kobieta, — to może zkad inąd?

— No, niewiem, — dosyć że z czegoś *Nowego*. Co mi djabli do tego?.... Czego mi darmo przerywasz, Sue?

Gdyby Kripps był w tej chwili spotkał się ze wściekłym wzrokiem, który nań rzucił Tiff, byłby zadrzał i zawahał się czy jeść kolacją; — ale że nie nie spotrzegł, opowiadał więc dalej swobodnie.

— Otóż widzisz, ten człowiek sprzedał mi całą skrzynię najmodniejszych kapeluszy, które pochodzą z Paryża, stolicy Europy, — i to sprzedał mi je za psie pieniądze. Poczekaj, pokażę ci je. — Tiff, poświęć jeno mi. Tiff trzymał gorejącą głównię z miną najwyższej niechęci i wzdargy, gdy tymczasem Kripps odbił wieko od skrzyni, i wydobyl z niej mnóstwo kapeluszy, które wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, były zbiorem próbek fasonów, które przed pięciudziesiątu laty były w modzie. —

— Mnie się zdawać, że to być wyborne strachy na wróble, — mruczał Tiff.

— No, — zawołał Kripps, — zgadnij Sue, wielem za to zapłacił?

— Niewiem, — odrzekła słabym głosem.

— Dałem piętnaście dolarów za wszystkie, a kaźden z nich wart najmniej dwa do pięciu dolarów, — rzekł trzymając w rękę jeden z najpotworniejszych exempla-

rzy. — Najmniej pięćdziesiąt dolarów zarobię na całej skrzyni!

Tiff wrócił do brytfanny, i zgiąwszy się nad nią zaczął znowu rozmawiać ze sobą.

— O ile ja wiedzieć, to żadna kobieta niepójsęby do kościoła w takim czupiradle, chyba za pokutę. Gdyby ja spotkać kobietę w takim kapeluszu w nocy, na ementarzu, to jaby ją wziąć za samego złego ducha.... Biedna Missis! — Strasznie blada wyglądać. Nie dziwnego. To być dosyć, żeby słabą kobietę wprawić w omdlenie.

— Pójdź tu Tiff! pomóż mi skrzynię otworzyć. Poświęć tutaj. Niech djabli wezmą, jeżeli mi się teraz jeszcze nieposzczęści. Mam tutaj kupę trzewików i butów; niektóre z nich są parzyste, niektóre nie; ale to nie nie szkodzi. Nie wszyscy ludzie chodzą w parzystych trzewikach. Dla mnie np. wszystko jedno jakie mam obuwie, byle tylko tanie. Oto jest para bucików damskich, jeszcze całkiem dobrych, tylko że w palcach jest dziura przy podeszwie; no, — trzeba tylko uważać przy wdziewaniu, żeby noga nie weszła między przyszwę a podeszwę! — Ktoby znów potrzebował, to mam tu parę butów jeszcze doskonałych, a w dodatku jeszcze kapitalny but pojedynczy. — Mam tu także parę starych szufad od biórka, które bardzo tanio kupilem na licytacyi. Myślę, że niektóre z nich będą akurat do tego starego grata, który kupilem przeszłego roku. A nabyłem to wszystko za pół darmo.

— Ach, mój Boże! Massa, ja wziąć stare bióro na kurnik. Młode indyczki tak biegać po nim wesoło!

— No, mniejsza o to. Wymyj je, i znów będzie dobre. A spróbuj, czy będą prawie do niego te szuflady. — A teraz, stary, zabieram się do jedzenia, — zawołał Kripps, który usiadł za stołem i wziął się na dobre do stojącego przed nim kurezcicia, nie myśląc wcale niktogo do towarzystwa swego zapraszać.

— Missis niemódz siedzieć przy stole, — rzekł Tiff. Ciagle być chora od czasu jak małe przyjsć na świat. — I zbliżył się do łóżka z pięknym kawalkiem kurezcicia, które przezornie na boku zostawił, i położywszy na talerzu, podał swojej pani, na desce przykrytej gazetami. —

— No, proszę Missis ieść; — my niemódz żyć samém patrzeniem; doprawdy niemódz. Proszę jeść, a Tiff będzie tymczasem maleńkiemu wdziać nocny kaftanik.

Dla zaspokojenia starego przyjaciela, kobieta udała że je, ale gdy się do niej Tiff obrócił tyłem, rozdzieliła prędko kurecę między dzieci, które stały koło niej, spoglądając chciwie, jak to zwykle robią dzieci, kiedy obaczą potrawę przygotowaną dla chorój matki.

— Mnie to tak cieszy, kiedy widzę że oni jedzą! — tłumaczyła się, ujrzawszy że się Tiff obrócił i odkrył jój podstęp.

— Może być, Missis! Ale Missis powinna teraz za dwoje jeść. To co dzieci zjedzą, nie posili malego, — doprawdy.

Kripps tymczasem całą swoją uwagę zwrócił ku swemu systemowi zniszczenia, który z taką konsekwencyą przeprowadzał, że wkrótce kawa, kurecę i placuszki z kukurudzy znikły bez śladu. Każdą nawet kostecz-

kę ogryzł do czysta, i najmniejszą kropelkę sosu z talerza wysuszył.

— A, tak to rozumiem! — zawołał rozkładając się na stolku. — Tiff, ściągnij mi buty i daj mi się co napić. Sue, spodziewam się żeś sobie pojadła, — dodał obracając się do niej plecami i mieszając w szklance *whiskey* z wodą. Wypiwszy zawołał Tedda, i dawał mu cukier, który został na spodzie. Ale Teddy, na którego Tiff rzucił z pod okularów znaczące spojrzenie, rzekł grzecznie:

— Dziękuję Papie; — Teddy tego nie lubi.

— Pójdź chłopcze, i wypij to, jak przystoi na mężczyznę. To dobre, — zachęcał go godny ojciec.

Matka z troskliwością utkwiała wzrok w dziecku, i rzekła nieśmiało: „Proszę cię John, nie rób tego, — nie rób! — Ale Tiff prędej tę sprawę załatwił, wzięwszy bez ceremonii szklankę z ręki swego pana.

— Jak mi Bóg miły, Massa, dzieci tak długo wieczór niemódz siedzieć, — czas już na nich do łózka, a a na mnie myć naczynie. Pójdź tu Teddy, — rzekł biorąc chłopca za rękę i rozpinając mu sukienkę, — idź spać, a niezapomnieć o pacierzu, boby się Teddy już więcej nie obudzić. —

Kripps nabił sobie tymczasem fajkę ordynaryjnym tytoniem, którego woń aż dusiła.

— Massa, fajka nie dobrze być dla Missis, — rzekł Tiff, — Ona cały dzień być słaba z tego.

— Daj mu pokój, niech pali; ja lubię wszystko co jemu przyjemność sprawia; — rzekła łagodnie chora. — Ale ty Fanny dobrzebyś zrobiła, żebyś także poszła do

łóżka. Pójdź moje dziecko, pocałuj mię. Dobranoc ci, —
dobranoc!

I objęła ją w ramiona, i długo patrzyła w nią, wzrokiem pełnym miłości; a gdy dziecko zabierało się do odejścia, przyciągnęła je jeszcze raz do siebie, jeszcze raz pocałowała i rzekła: „Dobranoc ci najdroższe dziecko! Dobranoc!

Fanny weszła na drabinę stojącą w jednym rogu pokoju i zniknęła w małym otworze, który stanowił wejście na poddasze.

— Ja powiadam, — rzekł Kripps wyjmując fajkę z gęby i spoglądając na Tiffa myjącego naczynie, — ja powiadam, że to jednak dziwna rzecz, że ta kobieta tak długo choruje. Zdawała się taka zdrowa kiedym ją wziął. Niewiem, — mówił dalej niezważając na burzę zbierającą się na twarzy Tiffa, — niewiem, czyby jój parowa kuracya nie pomogła. Raz będąc w Raleigh przeziębilem się okropnie, i byłem pewny że już skończę; — ale na szczęście był tam właśnie doktor parowy, który miał taką niewielką maszynę z kotłem i rurami. Otóż ten doktor położył mię w łóżko, przystawił rury i wypuścił parę. Myślałem, jak Boga kocham, że mię djabli wezmą, ale chorobę jakby ręką odjął. Otóż ja myślę, żeby to dobre było i dla Miss Kripps.—

— Z Miss nie można takich rzeczy próbować, Massa. Ona nigdy nie być zdrowsza od tego co wy jój poradzić. —

— Hm! — mówił dalej Kripps, niezważając całkiem na słowa Tiffa, — jest rura od pieca i kociołek od herbaty, — możnaby w tém wybornie pary narobić.

— Ja myśleć, że jak wy to spróbować, to onaby się zaraz z tym światem pożegnać; — rzekł Tiff. — Co dla jednego człowieka pomocą, to dla drugiego może być trucizną, jak zawsze powiadać moja stara Missis. — Najlepsza rzecz co Massa mózdz zrobić, to jest, żeby Miss w pokoju zostawić. Ja tak myśleć.

— John, — odezwała się po chwili chora, — proszę cię, pójdz tu do mnie, i usiądz na łóżku.

W tonie którym to wymówiła było coś tak stanowczego, tak nowego dla Johna, że zdumiony przybliżył się, usiadł i z otwartymi ustami patrzył na nią.

— Nieuwierzysz jaka szczęśliwa jestem żeś przyjechał mój Johnie, bo dużo mam z tobą do pomówienia. Leżąc tutaj, rozmyślałam o wielu rzeczach, które mi bardzo ciężą na sercu. Ja wkrótce umrę, — wiem o tém.

— Tylko mi też nie wyjeżdżaj z temi chorobliwemi przywidzeniami!

— Johnie, Johnie! To nie jest żadne przywidzenie! Przypatrz mi się tylko, — przypatrz się moim rękom, — popatrz na twarz moją! Jestem tak słaba, i mam czasami takie napady kaszlu, że myślę, iż skończę lada chwilę. Nie mówię tego weale, żeby cię zastraszyć; o siebie weale się nietroszę, ale niechciałabym żeby dzieci nasze wyrosły do nas podobne. Tobie rozliczne plany po głowie chodzą; proszę cię, postanówże sobie, zacząć ich czytać uczyć, i zrobić z nich porządnych ludzi.

— A to znowu na co! Ja się czytać nigdy nieuczylem, a przecież jestem porządnym człowiekiem. Znam mnóstwo ludzi, którzy masę pieniędzy corocznie zarabiają, a nieumieją ani słówka przeczytać ani napisać! Naprzykład stary Hubell, — zbija pieniądze aż miło, a le-

dwie krzyżykiem podpisać się potrafi; — ma dziewięciu synów, a żaden nie umie pisać ani czytać, zupełnie tak jak ja. Powiadam ci: te wszystkie nauki niczego nie warte. Te przekłete piśmienne *Jankesy* zawsze mię oszukali, ilekroć miałem z niemi do czynienia. Na co się to przyda? Tyś się także uczyła czytać i pisać za młodu, i cóż ci przyszło z tego?

— I cóż mi przyjsć miało? Dzień i noc chora, przewracając się ciągle z miejsca na miejsce, z chorém, płaczącém dzieckiem, byłam prawie jak dziecko bezsilna!... Ale ja mam nadzieję, że Fanny będzie się czegoś uczyć! Oh, gdyby to można jaką szkołę, albo kościół, albo coś podobnego, dla moich dzieci wynaleźć, — ach!...gdyby to im można nieba przychylić!...

— To, to, to! Dajże mi téż pokój z temi romansami. Jak pomrzemy, to i koniec z nami będzie. Ale teraz niezaprzataj mi darmo głowy temi głupstwami. Jestem znużony i chce mi się spać.

Zrzucił ze siebie surdut, cisnął się na łóżko, i wkrótce mocno zachrapał.

Tiff który siedział przy ogniu z dzieckiem na rękach, zbliżył się powoli do łóżka i usiadł.

— Mis Sue, — rzekł, — to daremna rzecz z nim mówić. Ja niechcieć uchybiać winnemu respektowi, ale to pewna, Mis Sue, że on niebyć urodzony szlachcie, i dla tego niemódz tak rzeczy widzieć jak my, co być z starój familii. Ale na Boga, Missis nie troszczyć się! Zostawić to tylko staremu Tiffowi! Co stary Tiff chceć, to musi być! He, he, he! Mis Fanny będzie się ślicznie uczyć liter, — a już ja to wymódz na Panu, żeby jój książek kupić. Ja wam powiedzieć, co mnie dzisiaj

przyjść do głowy. Na wielką plantacyą przybyć młoda dama z Nowego Jorku, gdzie być na pensyi. Ja więc pójść do niej, i prosić ją o jej rzeczy. A co się tyczyć dzieci, to ja pójść do kościoła; Missis wiedzieć, że tu nieszczególne być kazania, ale ja już będzie robić, jak móźdz najlepiej. Jak mi Bóg miły Mis Sue, ja już wiedzieć, ja już trafić do ziemi obiecanej, do Kanaan, i dzieci téż ze sobą zaprowadzić. Ja to z pewnością zrobić! Dzieci zawsze być z Tiffem, a Tiff z dziećmi! Tak zawsze być! He, he, he!

— Tiff, — rzekła młoda kobieta utkwivszy w nim wielkie, niebieskie, oczy, — ty powiedziales coś z biblii, czy ją ty kiedy widziałeś?

— O, tak, najślodsze dziecko, — wasza mama miała grubą biblią kiedy szła za mąż, — ale potém panowie ją podrzeć na przybitki do strzelb, a innéj nie kupić; — ale ja potem bardzo uważać i nadstawiać uszy na kazaniach, i tam bardzo ładnych rzeczy się nauczyć.

— A czy niemóglbyś mi co z tego powiedzieć? — zapytała, niespokojnie zwracając na niego niebieskie oczy.

— Dla czego nie? moje najślodsze serce. Na jedném zgromadzeniu pobożném, kapłan powiedzieć jednę przyповідź. Potem dużo o tém kazać, ale ja niemódz wszystkiego spamiętać, bo ja do kazań niebyć tak zręczny jak do czego innego. Ale on jednę rzecz często powtarzać, i tę ja sobie spamiętać; on tak powiadać: Pójdźcie do mnie wszyscy nieszczęśliwi i uciśnieni, a znajdziecie u mnie pociechę.

— Pociecha! pociecha! — rzekła kobieta z głębokim

westchnieniem. Oh! jakże ja za nią pragnę!... Czy on mówił, że to w biblii stoi?

— On tak powiadać; i ze wszystkiego co on mówić, ja wnosić, że to sam dobry Bóg powiedzieć. To mię zawsze pocieszać, kiedy ja o tém pomyśleć. Mnie się zdawać, że to być wszystko, co mi trzeba było usłyszeć. —

— I mnie także! — rzekła opuszczając głowę na poduszki, i zamykając oczy. — Tiff! odezwała się jeszcze po chwili, otwierając znowu oczy: — Tam gdzie idę, znajdę może Tego, co to powiedział, i zapytam się Go o to. A teraz niemów już nie do mnie, bo jestem śpiąca. Zdawało mi się że mi będzie lepiej, jak on wróci, ale teraz czuję się gorzej. Podaj mi małego — ja tak lubię go mieć przy sobie. Tak, tak; — a teraz pozwól mi spocząć, proszę cię. — I zapadła w sen głęboki i spokojny. —

Tiff przygasił trochę ognia, usiadł przy łóżku, i przypatrywał się pierzchliwym cieniom co się wałęsały po ścianach, przysłuchiwał się skrzypieniu sosen, i głębokiemu oddechowi śpiącego Krippsa. Czasami morzył go sen i wtedy kiwał się, — ale zaraz zrywał się, wstawał, i przechodził się tam i nazad, żeby się otrzeźwić. Jakieś nieodgadnione uczucie bojaźni owładnęło nim, choć nie przeczuwał nic tak złego, bo słowa swojej pani uważał za przywidzenia z choroby wynikłe, i ani mu przeszła przez głowę myśl, żeby ona miała umrzeć na prawdę, i gdziekolwiekby iść bez niego. — O północy zdało mu się, jakgdyby uczuł dotknięcie jakiegoś ducha, i szeroko otworzył oczy. — Jój bezwładna, zimna ręka,

leżała na jego ręce, — jój wielkie niebieskie oczy ,dziwnym świeciły blaskiem.

— Tiff! — wyjąkała z trudnością, — widziałam Tego który to powiedział, — i to prawda! — I widziałam także, za co tyle tutaj cierpiałam... On, — On przychodzi po mnie! Mów zawsze dzieciom o Nim!

Westchnęła jeszcze, — zadrżała lekko, — i ociążała jój oczy zamknęły się na zawsze. —

Rozdział IX.

ŚMIERĆ.

Śmierć ma zawsze w sobie coś niespodzianego. Choćby się najpowolniejszym krokiem zbliżała, zawsze przyjsie jęj, na pozostałych przy życiu robi jakieś wrażenie gwałtowne, nieoczekiwane. Tiff mniemał z początku, że Pani jego omdlała tylko, używał więc wszystkich środków, aby ją ocucić. — Zimne, małe, bieluchne jęj rączki, tał w swoich wielkich czarnych rękach, — podniósł jęj głowę do góry, — wołał na nią tysiącami pieszczotliwemi imionami, i tysięczne zakłęcia szeptał w zimne, głuche ucho umarlęj. Ale pomimo tych usiłowań, oblicze jęj zostało nieporuszone, ręce rozgrzać się nie dały. Wtedy dopiero przyszło mu na myśl, że ona nieżyje, — i rzucił się na ziemię, i głośnym, gorzkim wybuchnął płaczem. Było coś w jego sercu, co mu niepozwalało obudzić tego, który ciężko sapiąc leżał u jęj boku; — w tęg chwili niemógł na żaden sposób pogodzić się z tą myślą, że ten człowiek ma także jakieś prawo do nięj, i że nań także jakaś część troski jego przypadnie. Ale głośny płacz obudził Krippsa, który

siadł na łóżku przestraszony, i ręką sobie włosy z twarzy odgarnął.

— Tiff! czego ty u diabła tak wyjesz?

Tiff zerwał się natychmiast, i tłumiąc swój żal i łzy swoje, z uniesieniem wskazał mu nieruchomą postać obok niego leżącą.

— Tam! tam! Wczoraj wieczór wy jęć niechcieć wierzyć! A co teraz myśleć o tém? Jak ona wyglądać? Dobry pasterz był się zapytać, co wy zrobić z biedną owieczką?, i wziąć ją do siebie, tam, gdzie wy ją nigdy nie zobaczyć!

Jak wszyscy nieukształceni, zmysłowi ludzie, Kripps bał się straszliwie śmierci; odepchnął się więc rozpaczliwie od ciała nieboszczki, i z krzykiem przestachu wyskoczył z łóżka.

— Ktoby się to był tego spodziewał! — zawołał, — i ja z trupem leżałem w łóżku! A niemiałem o tém najmniejszego przeczucia!

— No, ja spodziewać się, że nie; — ale wy teraz wierzyć, nie prawdaż? Biedna owieczka! tak tu samotnie była leżeć i cierpieć. Ja wam powiadać że człowiek co tak długo chorować, musieć umrzeć!

— Ha, prawda! prawda! — rzekł Kripps. — To nie ma nic przyjemnego, niech djabli wezmą! A żal mi kobiety, — chciałem ją właśnie parą kurować, albo coś innego jęć radzić. Ale co my teraz poczniemy?

— Ja wiedzieć, że wy nie nie wiedzieć. Ludzie tacy jak wy, co nigdy niemieć nie dobrego na myśli, nigdy téż niewiedzieć co począć, kiedy Pan do drzwi zapukać. Ale ja wiedzieć co zrobić. Ja wziąć konia i pojechać na starą plantacyą po kobietę, coby koło Missis

porządek zrobić. Wy pilnować dzieci póki ja niewrócié

Tiff na swój lekki ubiór wdział gruby z ordynaryjnej wełny surdut, z niezmiernie długimi połami i olbrzymiej wielkości guzikami; był to strój, który tylko w razach wielkiej uroczystości przywdziewał. Nim wyszedł, zatrzymał się jeszcze przy drzwiach, i mierząc Krippsa od stóp do głów z miną nawpół pobłażającą, a nawpół pogardliwą, rzekł:

— No, Massa, — ja się już spieszyć powracać jak tylko mōdz, — a prosić, żeby wy być tak dobry, dać pokój whiskey choć na jeden dzień, i myśleć na śmierć, na sąd, i na wieczność. Wam tak należy postępować, jakby was spotkać wielkie nieszczęście, — jak przystoi na męża, który miał żonę z najznakomitszej wirgińskiej rodziny. — Wy sobie myśleć o końcu wszystkich rzeczy, — to może być na pożytek waszej biednej starej duszy. — A niebudzić dzieci dopóki ja niewrócié. One się na czas dowiedzieć o nieszczęściu.

Kripps słuchał tych napomnień, szklannemi, przestraszonymi oczyma poglądając to na łóżko, to na starego, który niebawiacz pospieszył do Kanemy.

Nina niemiała zwyczaju wstawać bardzo rano; ale tego dnia właśnie obudziła się o samym świcie, a niemożąc zasnąć, ubrała się i zeszła do ogrodu.

Zamyślona o swoich kłopotach, przechadzała się niepokojnie po alei tam i nazad, gdy w tém nagle usłyszała dzikie tony jednej z tych pieśni, których Murzyni jako śpiewów śmierci używają. Słowa: „Umarła i poszła do nieba“ — doszły do jéj uszu, a choć głos który śpiewał był stłumiony i drżący, jednak było w nim jakieś dzikie uczucie, dziwnie wśród panującej do koła

eiszy odbijające. Zarazem spostrzegła jakiś szczególny zaprząg, zbliżający się do bramy.

Ten zaprząg, który nie był czém inném, tylko ową Krippsa powózką, obudził ciekawość Niny, i poszła aż do płotu, żeby mu się zbliśka przypatrzeć. Dostrzegło jęj zaraz bystre oko Tiffa; skierował więc konia do miejsca gdzie stała, zszedł z wozu, zdjął kapelusz, uklonił się nisko i rzekł:

— Spodziewać się, młoda dama dobrze się mieć tego ranka.

— Dosyć dobrze, — dziękuję ci wuju, — opdarła Nina, ciekawie patrząc na niego.

— My w smutku być w naszym domu! — mówił dalej Tiff tonem uroczystym. — O północy krzyk się tam rozledez, i Mis Sue, to jest moja młoda Missis, pójsę do swojej ojezyny.

— Któż to jest twoja Pani?

— Nazwisko jęj być Seymour, zanim pójsę za mąż, a jęj matka pochodzić z wirgińskich Peytonów, — wielka familia, Peytonowie! Ona być tak nieszczęśliwa, że pójsę za mąż, jak się to często dziewczętom przytrafiać, — mówił Tiff tonem poufnym. — Ten mąż niebyć dla nięj stósowny, i ona twardego losu doświadczyć, biedaczka! — A teraz, ona tam leżec umarła, a tam niebyć żadna kobieta, coby cokolwiek zrobić koło nięj. I ja, proszę Missis, tutaj przyjsę zobaczyć, czyby młoda dama niechcieć posłać jakiej kobiety, coby ją przybrać do pogrzebu.

— A któż ty jesteś? —

— Ja być Tiff Peyton, do usług. Ja się wychować w Wirginii na wielkiej posiadłości Peytonów, a potem

pójść z Matką Mis Sue; a gdy Mis Sue pójść za tego człowieka, to wszyscy być na nią zli, i niechcieć do niej gadać, — ale ja się za nią ujmować, bo na co się to przydać, zle jeszcze pogorszać? Ja im powiadać, że oni powinni jeszcze jój dodać odwagi, kiedy już rzeczy niemódz się odmienić; ale oni niechcieć słuchać. Ja téż im powiedzieć: „Wy módz sobie robić co chceć, ale Tiff z nią pójść“ — I ja powiedzieć jeszcze: „Ja nieodstąpić Mis Sue aż do grobu!“ — Ja powiedzieć, i Mis widzieć, ja tak zrobić!

— I dobrześ zrobił! Podobasz mi się za to! — zawołała Nina. — Idź do kuchni, i powiedz Róزالii żeby ci dała śniadanie; ja tymczasem pójde do ciotki Nesbit.

— Nie, ja dziękować wam, Mis Nina, ja niebyć głodny. Taki człowiek jak ja, kiedy mu lzy i stare czasy w gardle stanać, to niemódz jeść; on być pełen boleści. Mis Nina, ja spodziewać się, wy niewiedzieć co to jest stać pode drzwiami kiedy kto chceć wejść, — to przykro, przykro! — I Tiff wyciągnął z kieszeni jakąś resztkę chustki od nosa, i wycierał lzy z pod okularów.

— No, to zaczekajże choć chwilkę, Tiff. — I pobięła ku domowi, a Tiff smutnie za nią popatrzył.

— Mój Boże! Mis Sue właśnie tak biegać, — trap, trap, trap! Nóżki maleńkie, jak u myszki! Dziać się wola Boża!

— Ach Milly! — zawołała Nina spostrzegłszy Milly w przedpokoju. — Jesteś tu. Tam przy płocie czeka jakiś biędny człowiek; jego pani umarła w samotnym domu, i tylko dzieci są przy niej, a żadnej kobiety, coby się nią zajęła. Czybyś ty tam niepojechała? Tybyś wie-

działa jak się wzięść do tego! Tu nikt w całym domu nie potrafi tego tak zrobić jak ty!

— Aj, to musi być biedny stary Tiff! — rzekła Milly. — Poczeziwe stworzenie! Tak, — to jego pani umarła nareszcie? To najlepiej być dla niej, — biedaczka! Dobrze, ja się spytać Mis Loo, czy mi pozwolić, — albo lepiej wy się jęj spytać, Mis Nina.

Moene, energiczne pukanie do drzwi, przstraszyło Mis Nesbit, która właśnie kończyła swój ranny strój przed toaletą.

Mrs. Nesbit wstawiała zwykle bardzo wczesnie, ale nikt niewiedział dla czego? Zdaje się, że ludzie którzy niemają nic do roboty, pragną mieć jak najwięcej czasu, żeby dłużej próżnować.

— Ciociu, — rzekła Nina, — tam na polu czeka biedny człowiek, któremu pani właśnie umarła, i leży w domu całkiem samotnie; on prosi o jaką kobietę do pomocy. Czybyś niebyła tak dobra, pozwolić Milly?

— Milly będzie dzisiaj rano moje czepki krochmalic, — odrzekła ciotka Nesbit. — Ja sobie to już od tygodnia ułożyłam, i wszystko przygotowałam.

— Ależ ciociu, czy onaby to tego niemogła zrobić jutro albo po jutrze?

— Jutro musi mi popruć i wyprać czarną suknię. Ja jestem we wszystkiém akuratna, i lubię wszystko robić dokładnie. Chętniebym jęj pozwoliła, ale cóż, kiedy właśnie ma co do roboty. Nie możesz to posłać ciotki Katy?

— Ach, przecie ciocia wie, że się spodziewamy gości na obiad, i że ciotka Katy jest jedyną istotą, która wie o wszystkiém w domu, i która umie obsłużyć. Zresztą, ona taka niedobra, taka przykra dla biednych, że pewna

jestem, iżby niepojechała. Doprawdy, niewiem dla czego ciocia, na ten raz, niemogła odłożyć tego krochmalenia. Milly to takie dobre, łagodne stworzenie, — a oni tacy nieszczęśliwi!

— O, tacy tam ludzie niewiele sobie robią z tego, — rzekła ciotka Nesbit wdziewając spokojnie czépek. — Oni nie mają serca! Nie warto sobie dla nich robić tyle zachodów, — to są zwyczajnie liche, nędzne istoty!

— Proszę cię ciociu, zrób to dla mnie! Ja ci się przecież nie często naprzykrzam z prośbami. Pozwól Milly pojechać; — tam właśnie jój potrzeba. Proszę cię, pozwól! — prosiła Nina coraz usilniej, i nareszcie zdawało się, że zapal, który świecił z jój oczu, odniósł zwycięztwo nad nieczułością Mrs. Nesbit.

— No, jeżeli już tak koniecznie....

— Milly! ciotka pozwoliła! — zawołała Nina, wybiegając z pokoju. — Powiedziała że możesz jechać. Zbieraj się prędko, a ja tymczasem pobiegnę do ciotki Katy, żeby dała biszkoktów i jeszcze tam czego dla dzieci. Tylko nabierz wszystkiego, czego ci będzie potrzeba, i zbieraj się prędko. Ja sobie każę potém kuca osiodłać, i pośpieszę za tobą, jak tylko będę mogła najwcześniej. —

Rozdział X.

PRZYGOTOWANIA DO POGRZEBU.

Ruch, który ukazanie się Tiffa i nagły odjazd Milly sprawiły na plantacyi, dobroczynny wpływ wywarł na Ninę, odwracając jęj myśli od tego, co ją tak mocno trapiło.

Żywa, i łatwo poddająca się wrażeniom, niezmiernie zajęła się tym wypadkiem. Przekonawszy się, że już wóz odjechał, w wyborynym humorze zasiadła do śniadania.

— Powiadam ci, ciociu Nesbit, — ten stary bardzo mię zainteresował. Kazałam sobie osiodłać kuce, i po śniadaniu pojedę tam do nich.

— Zdaje mi się że się spodziewasz kogoś?

— Właśnie téż dla tego tém chętniej pojedę. Mamże całe rano siedzieć wystrojona, uśmiechać się, rozmaite miny wyrabiać, biegać co chwila do okna i wyglądać, rychło się Milordowi spodoba przyjechać? — O, tego się żaden odemnie niedoczekaj! Kiedy więc zdarza mi się sposobność wyjechać, to i wyjadę.

— Jednak, mojem zdaniem, chaty takich pospolitych ludzi, weale nie są przyzwoitęm miejscem pobytu dla damy twójego stanu.

— Mojego stanu? Nierozumiem co to ma jedno do drugiego. Moje położenie stawia mię w możności czynienia tego co mi się podoba, i używam téż bardzo często tego przywileju.— Ale dzisiaj mocno mię dotknęło i to, gdy mi stary Tiff powiedział, że ta kobieta pochodziła z dobrej wirgińskiej familii. Kto wie czy to nie była właśnie taka dzika dziewczyna jak ja, która tak jak ja niemyślała nigdy, że może przyjść na człowieka bięda i śmierć!... Ja sama sobie niewiem jak radzić, ale i jęj mi się bardzo żal zrobiło; — a przytrafiło mi się to w ogrodzie. Jakiż to cudowny był ranek, — jak tam ptaszki śpiewały, — a rosa jak ślicznie błyszczęła na kwiatkach! — Kwiatki zdawały mi się doprawdy żywe, i zdawało mi się że słyszę ich oddech i ich serce bicie... Naraz usłyszałam dziki śpiew żałobny, który się rozległ od strony lasu; śpiew ten nie był wdzięczny, ale dziwny i dziki: „Ona umarła i poszła do nieba!“ — Wkrótce potém obaczyłam wóz tak dziwaczny, że nawet niewiem czy go wozem nazwać można, a na nim jakiegoś szczególnie ubranego człowieka, w białym kapeluszu, długim surducie, i w ogromnych, śmiesznie na nos nasadzonych okularach. Ujrzawszy mię, zbliżył się do mnie i opowiedział mi wszystko: że jego pani umarła i że nie ma jęj kto oddać ostatniej posługi! Biedak, płakał tak gorzko! Tak mi się go żal zrobiło! Ale przy całém ubóstwie, zdawał się być dumny swoją panią.

— Gdzież oni mieszkają? — zapytała Mrs. Nesbit.

— Powiadał, że w sosnowym lesie, niedaleko bagna.

— A, to będzie z pewnością rodzina Kripps, która w lesie koczuje. Nędzna banda oszustów i złodziei! Gdybym była wiedziała że to do nich, nie byłabym pozwoiliła

Milly. Takim ludziom nie trzeba nigdy dopomagać, ani im najmniejszej okazywać przychylności, bo to ich tylko ośmiela i przynęca. Oni okradają plantacye, uwodzą Murzynów, upijają się, i innych tym podobnych excesów się dopuszczają. Niesłyszałam nigdy żeby między niemi znajdowała się jaka porządna kobieta, i gdybyś była moją córką, niepozwoлилabym ci się nawet do nich przybliżyć.

— A, to chwala Panu Bogu, że niejestem ciociną córką! — zawołała Nina, której przeznaczeniem widać było, żyć z ciotką w ciągłych przeciwieństwach. — Mogę więc robić co mi się podoba. A zresztą nierozumiem, jak pobożni ludzie mogą odzywać się z czémś podobnym; czyż Chrystus nie obcował także z celnikami i grzesznikami?

— Prawda, — ale pismo święte mówi także, że nie trzeba rzucać pereł przed świnie, — a jak pożyjesz tyle co ja, to zrozumiesz to lepiej niż teraz. Każdy wie, że z takimi ludźmi niema co począć; niemożna im dać ani biblii, ani traktatów teologicznych, bo czytać nie umieją. Kilka razy odwiedziłam ich i próbowałam z niemi mówić, ale to na nie się nie zdało. Ja zawsze jestem tego zdania, żeby to dobrze było, gdyby wyszło takie prawo, któreby ich w niewolników zamieniło; wtedy miałby przecie ktoś o nich staranie.

— Ja jednak nie mogę pojąć w czém leży ich wina. — Niemamy szkół, do którychby dzieci swoje posłać mogli, gdyby ich chcieli czegoś nauczyć; a choćby chcieli pracować, to ich nikt nie weźmie do roboty. I cóż oni mają począć ze sobą?

— Ja nie wiem, — odparła ciotka Nesbit takim tonem jakby chciała powiedzieć: cóż mię to obchodzi? — Wiem

tylko, iż bardzobym była rada, żebyśmy się ich z sąsiedztwa pozbyli. Im dać cokolwiek, to na to wychodzi, co wodę łać w dziurawy przetak. Ja dziś wielką ofiarę dla ciebie zrobiłam, bo niczego bardziej nie nienawidzę, jak wszelkiej nieregularności w moich rozporządzeniach. Dzisiaj właśnie był dzień przeznaczony na krochmalenie i suszenie moich czepków, — a co to za śliczny, słoneczny dzień!, a jutro albo później w ciągu tygodnia, może deszcz padać. — Nie byłabym od tego, żeby im tam jakiej starzyzny trochę posłać, — ale po co tam Milly? Tak, jakby się tam bez niej obejść nie mogło! Te pogrzeby, to tylko dają okazję do pijaństwa! Jeszcze się tam może ospą zarazić; bo przecież wiadoma rzecz, na co tacy ludzie umierają!

— No, umierają na to samo co i my, — i pod tym względem przynajmniej, los ich jest z naszym wspólny.

— Tak, ale nie widzę, dla czego byśmy mieli nasze życie narażać, — zwłaszcza dla takich ludzi, i kiedy się to na nie nie przyda.

— Ale powiedzże mi ciocia, co wiesz o tych ludziach? Czyś słyszała że co złego zrobili?

— O, szczegółowo nie wiem o tej rodzinie, — ale znam w ogóle całą tę klasę, — tych *Squaterów*! Znam ich jeszcze od tego czasu, kiedy panną będąc mieszkałam w Wirginii. Kto ich zna cokolwiek, wie co oni wari. Dla nich niemożna nic zrobić w inny sposób, tylko chyba obracając ich w niewolników, jak już powiedziałam; w takim razie tylko możnaby ich w porządku utrzymać. Jedź sobie do nich kiedy chcesz, ale ja już drugi raz moich rozporządzeń dla nich odwoływać nie myślę.

Mrs. Nesbit była jedną z tych osób spokojnych, ale upartych, których charakter z gumną elastycznością porównaćby można. Ugina ona się przy mocniejszym naciśnięciu, ale jak tylko siła cisnąca ustanie, wraca natychmiast do swego pierwotnego stanu. Mrs. Nesbit rzadko umiała się oprzeć, gdy od niej czegoś żądano; nie dlatego, żeby się jej serce czémkolwiek poruszyć dało, ale poprostu dla tego, że jej brakowało siły do oporu; — zawsze jednak po takim gwałcie następowała cała powódź skarg, na okoliczność, która na niej zezwolenie wymogła.

Niny znów charakter, zwłaszcza gdy była czém wzruszona, był tak gwałtowny i imponujący, że opierać się jej, byłoby rzeczą nadaremną. Zatem ciotka Nesbit, jedyną satysfakcją dla siebie znajdowała w rozwodzeniu żalów i skarg, — jakeśmy to dopiero co słyszeli. — Nina ujrzawszy że jej przyprowadzono kuca, zerwała się czémprędzej, zarzuciła na siebie amazonkę, i popędziła w las sosnowy. Dzień był jasny, słoneczny, — ziemia w lesie okryta była grubym, błyszczącym kobiercem opadłych szpilek sosnowych. Harry jechał za nią na drugim koniu, nieco w tyle, ale jednak tak blisko, że każdej chwili mogła z nim zawiązać rozmowę.

— Czy ty znasz starego Tiffa, Harry?

— Tak jest, znam go bardzo dobrze. Pocziwy to człowiek, i pod każdym względem wyższy od swego pana.

— On powiada, że jego pani pochodzi z dobrej familii.

— Bardzo być może. Była to bardzo delikatna istota, całkiem różna od ludzi zostających w tém co ona położeniu; i dzieci jej są także nad podziw ładne i dobrze

wychowane; doprawdy szkoda że niebędą się mogły uczyć i dojść do czegoś lepszego; — los wspólny wszystkim biednym białym ludziom, będzie, zdaje się, i ich udziałem.

— Dziwna rzecz, że w północnych stanach całkiem jest inaczej. Tam wszystkie dzieci, nawet najuboższych ludzi, chodzą do szkoły. Wielu najznakomitszych mężów tamtejszych, byli w młodości ubogimi. Dla czego to u nas tak być nie może?

— U nas biedni ludzie mieszkają tak z daleka od siebie, że o szkołach dla nich mowy być nie może. Wszystkie okolice żyzne i zdatne do uprawy, zajęte są pod wielkie plantacye, a ci biedacy żyją rozrzuceni tu i owdzie między niemi. Nikt nie jest obowiązany im dopomódz, a oni sami sobie dopomódz nie mogą; — to też rosną i żyją Bóg wie z czego, i każdy nazywa to nie-szczęściem, że oni istnieją na świecie. Znałem wielu z nich, którzyby chętnie byli pracowali, gdyby mieli do tego sposobność; ale panowie niechęcą ich trzymać na plantacyach, bo wolą trzymać niewolników. Choćby który z nich został kowalem albo cieślą, to niebędzie miał roboty, bo większa część znaczniejszych posiadłości, ma swoich cieśli i kowalów. Nie pozostaje im więc nic innego, tylko psy do polowania na Murzynów sprzedawać, i zakładać małe szynki, w których sprzedają wódkę i rzeczy na plantacyach skradzione przechowują. Jeżeli który ma spryt, to mu się czasami poszczęści, że dostanie miejsce dozorecy na plantacyi. Słyszałem, że niektórych nędza do tego stopnia upadła, iż własne dzieci sprzedają handlarzom niewolników, żeby sobie chleba za co kupić mieli.

— O nieszczęśliwe istoty! — Ale czyż podobna, aby dziewczyna z dobrej familii poszła za takiego człowieka?

— Nie wiem czy tak jest, Mis Nino, ale to pewna że tak być może. Widzisz pani, częstokroć przytrafia się, że znakomite familie podupadają, a kiedy raz przyjdą do tego stopnia ubóstwa, że nie mają za co posłać dzieci do szkół, ani im trzymać w domu nauczyciela, upadek ich nader szybkim postępuje krokiem. Ten człowiek nieźle wygląda na oko, i jestem prawie pewny, że gdyby był miał otwartą przed sobą jakąkolwiek karyerę, byłby potrafił zaradzić potrzebom swoim i swojej rodziny. — Kiedy więc był jeszcze młodszy i przystojniejszy, bardzo łatwo mógł się spodobać dziewczynie, mieszkającej jeszcze na własnej plantacyi, bo w niezem nie był gorszy od jój braci. — Widzisz pani, w tym kraju wszystko się kończy wraz z pieniędzmi; i jak tylko jaka rodzina nie jest już tak bogata, żeby na wszystkie swoje potrzeby sama wystarczyć mogła, niezmiernie szybko wstecz się cofać poczyna.

— Niech będzie jak chce, mnie zawsze bardzo żal tych biędnych ludzi. Nie czuję dla nich pogardy, jak ciotka Nesbit.

Nina spostrzegłszy, że droga całkiem równa biegnie pomiędzy sosny, które nad nią tworzyły sklepienie, puściła konia galopem, i przez chwilę jechali w milezieniu. — Niebawem, podkówy zatętniły po chłodnym, kamienistym gruncie płytkiej rzeczulki, która się wila po lesie. Rzeczulka ta błyszczała z pomiędzy sosen niby srebrna wstążka, i już to większe wypełniała głębie, już to rozdzielając się na boki, tworzyła zielone wysepki, czyściuchną oblane wodą. Do jednej z takich wyseppek,

zbliżali się właśnie nasi podróżni; mogła ona mieć najwięcej pół morga rozległości, a do koła była otoczona strumieniem, w jednym tylko miejscu, wązkim, może cztery stopy szerokim przesmykiem, łącząc się ze starym łądem.

Tutaj był kawałek lasu wycięty i na ogród zamieniony, który widocznie z wielką starannością był utrzymany. Drewniana chata stojąca w pośrodku, nie miała tak nędznego pozoru, jak się spodziewała Nina. Do koła otaczały ją gęste krzaki, a wirgiński bluszczyt i żółty jaśmin pięły się po niej; dwa niewielkie klomby po obu stronach domu, okryte były bogato prześlicznym kwieciami. Sosny tworzyły na okolo wysepki gęsto zarosłe półkole, a rzeczka wbiegała pomiędzy nie, i ginęła dalej w kraju bagnistym, stanowiącym jądro pustyń Karolińskich. Cały ten krajobrazek był nad wszelkie spodziewanie tak pojętny, tak powabny swoją leśną ciszą i pięknnością, że Nina mimowolnie zatrzymując konia zawołała:

— Cóż to za śliczne miejsce! To jednak niepodobna, żeby ci ludzie mieli być w tak opłakanym położeniu.

— O, to wszystko jest dziełem Tiffa, — rzekł Harry. — On się zajmuje wszystkiem w domu i za domem, podczas gdy pan jego Bóg wie gdzie się waleśa. Niepomalibyś się pani zadziwiła, widząc jak tu stary gospodaruje; — szyje, robi pończochy, pracuje w ogrodzie, prowadzi gospodarstwo domowe, i uczy dzieci. Zobaczysz pani, że dzieci te niemają wymowy ani obyczajów właściwych dzieciom tej klasy ludzi, — a wszystko to zawdzięczają staraniom Tiffa, bo to pocziwe stworzenie, niema w sobie ani iskierki egoizmu. On cały żyje tylko w swojej pani i jej dzieciach.

Tiff spostrzegłszy nadjeżdżających, wyszedł, żeby im pomódz zsiąść z koni. —

— Niech Bóg was błogosławi, Mis Gordon, żeście przyjechać obaczyć moją biedną Missis! Ach, ona tam leżeć taka piękna jak w dzień weselny! Ona tak młodo wyglądać, a Milly ją ślicznie ubrać! Mój Boże, ja tak pragnąć żeby kto przyjsię ją zobaczyć; bo ona z dobrej być familii, choć taka biedna. Ona nie być z tych ordynaryjnych białych nieboraków, Mis Nina. Ale proszę pójsię ją obejrzeć. —

Nina weszła otwartemi drzwiami do chaty. Łóżko przykryte było czystém białém płótnem, a nieboszczka ubrana w biały także, nocny szlafroczek, który Milly ze sobą przywiozła, leżała taka spokojna, niby spiąca, że na jęj widok, nienasuwała się nawet myśl o śmierci. Miejsce znużenia i troski, które w ostatnich chwilach wypiętnowały się na jęj obliczu, zajął łagodny spokój, — a całą jęj postać otaczała tajemnicza jakaś niby świętość, — i zdawało się że zamknięte jęj oczy, na cudowne jakieś muszą patrzeć widzenia. Chociaż słońce jęj życia zaszło, jednak na jęj obliczu został jeszcze jakiś odbrzask duszy, niby zorza na wieczorném niebie. —

Przy głowach łóżka siedziała dziewczynka, czysto ubrana, z kędzierzawemi włosami, starannie na czole rozdzielonemi; przy nięj siedział cicho mały chłopczyk, zdziwioném okiem poglądując do koła siebie.

Kripps siedział w nogach łóżka, a spojrzawszy na niego łatwo się było domyślić, że mimo napomnień Tiffa, pokusom whiskeyu oprzeć się niepotrafił. — I na co im się nawet miał opierać?... Czuł się niezadowolony, — trochę smutny, — a każdy człowiek w takich razach szu-

ka jakiegóś pociechy. Uczony czyta i uczy się, — pracowity zatapia się w pracy, — człowiek z delikatniejszemi uczuciami ucieka się do przyjaźni, pobożny do religii, — ale cóż mogło pocieszyć tego który do żadnej z tych kategorii nienależał?... chyba *whiskey*. Kripps skłonił się niezgrabnie Ninie i Harremu gdy weszli, i usiadł napowrót, wykręcając sobie palce, i mrużąc z cicha. —

Promienie słoneczne padały na dyle z których składała się izba, a woń kwiatów i śpiew ptaków, płynęły w nią otwartemi drzwiami. Wszystko do koła oddychało pociechą i nadzieją, ale on był na wszystko głuchy i ślepy. —

Połączonym usiłowaniom Milly i Tiffa, udało się wnętrzu chaty, mimo całego jój ubóstwa, nadać wejrzenie czyste i miłe.

Tiff zbliżył się zwolna do Niny, która przypatrywała się zwłokom, i urwawszy kilka gałązek jaśminu, położył je na piersiach nieboszczki.

— Ona twarą odbyć drogę, — rzekł, — ale się teraz już wszystko skończyć! — Czyż nie wyglądać spokojnie? Biedactwo!

Mała, lekkomyślna kokietka, jeszcze nigdy w życiu nie miała przed oczyma, tak poważnego jak ten widoku. Stała z załamanemi rękoma, a rozpuszczone włosy, w grubych promieniach spadały jój na twarz, ocienioną pełną współczucia zadumą.

Słyszała ona, że ktoś wszedł do chaty, ale nieobejrzała się, chociaż spostrzegła, że ten ktoś patrzy ponad jój ramiona; myślała że to Harry. —

— Biedaczka! Tak młodo wygląda, — rzekła, — a tyle już przeżyła! — Głos jój drżał, i łza zabłysła w oku.

Wtém posłyszała obok siebie jakiś szelest, — spojrzała, i zobaczyła stojącego przy sobie Klaytona.

Zdawała się tём zmięszana, i silniejszy niż zwykle rumieniec oblał jój lica. Wrażenie pod którém zostawała, niopozwolilo jój powitać przybyłego uśmiechem. Zatrzymała tylko na chwilę jego rękę w swoich rączkach, a potём obróciła się znów ku zmarłej, i szepnęła:

— Widzisz Pan!

— Widzę. Czy niemóglbym się na co tutaj przydać?

— Ta biédna kobiéta umarła wczoraj w nocy;— zdaje mi się że w czasie pogrzebu pomoc czyjaś może być pożyteczną. — Harry, — rzekła, zwolna ku drzwiom idąc, — Każ zrobić trumnę, tylko piękną. — Wuju! — mowiła dalej zwracając się do Tiffa, — gdzie nieboszczka pani twoja ma być pochowana?

— Pochowana? O mój Boże, pochowana! — zawołał biédny Tiff, i zaslonił twarz rękami, a lzy przez palce mu się polały. — Boże, Boże! ja wiedzieć że to być musi, ale ja myśleć, ja tego nie znieść! Ona taka być piękna! Nie dziś, nie dziś!

— Bardzo mi przykro, mój wuju, — rzekła Nina wzruszona, — żem cię zasmuciła; ale przecież wiesz, biédny Tiff, że to nastąpić musi.

— Ja ją znać jeszcze taką maleńką! — szlochał Tiff. — Ona mieć takie włoski kręcone, i czerwone trzewiczki nosić, i zawsze za mną biegać po ogrodzie. — „Tiff! Tiff!“ — tak zawsze mówić, — a teraz tam leżeć i nie nieczuć. — Mój Boże! co to za śliczna być dziewczynka, — taka śliczna jak wy Mis Nina. Ale od czasu jak poszła za tego tam, — rzekł wskazując Krippsa przez

ramię, — wszystko źle iść zaczęło. — Ja jój pomagać, ja robić co móż, ale ona i tak tam leżeć!...

— Może ona tam teraz szczęśliwsza jak tutaj była! — pocieszała go Nina.

— O, to pewnie! to pewnie! — Ona mi to powiedzieć nim umrzeć. Ostatnie jój słowa być: — „Tiff! ja Jego widzieć i teraz wiedzieć, dla czego ja tak musiała cierpieć; — ale On mię teraz weźmie do pokoju wieczystego!“—

— To powinieś się cieszyć, stary, że została zbawioną.

— Ja też tak robić, ale ja wielki być samolub. Jaby za nią pójść, ale ja musieć dziećmi się opiekować!

— No, teraz musimy cię opuścić, pocziwy Tiff, — rzekła Nina, — Harry postara się już o trumnę dla twojój biednej pani, a jak przyjdzie czas pogrzebu, to tu przyszlemy powóz, i przybędziemy wszyscy.

— Niech Bóg was błogosławi, Mis Gordon! To za dużo dobroci z waszój strony. Mnie serce o mało już nie pęknać, że tak nikt nietroszczyć się o moję Missis! Wy zanadto dobra być; — doprawdy, zanadto dobra! — Potem przybliżył się do niój, i rzekł z cicha: — A jeszcze co do żaloby, Mis Nina. Z nim niema co robić, — wy wiedzieć i każdy widzieć może, w jakim on być stanie. Ale Missis była z Peytonów, i ja także jestem z Peytonów; ja więc musi wzięść na siebie odpowiedzialność, którój na niego wkładać nie móż. — Ja był odjąć wstążki od Mis Fanny kapelusza i ubrać go jak móż, czarną krepa, którą mi dać Milly; Master Teddy także mieć około kapelusza czarną opaskę z krepy; — ja chieć także i sobie toż samo zrobić z kapeluszem,

ale krepy zabraknąć, — a Missis wiedzieć: starzy słudzy zawsze nosić żalobę. Gdyby Missis być tak łaskawa moją robotę zobaczyć. To jest kapelusz Mis Fanny; wy wiedzieć że ja niemódz zrobić jak w magazynie mód. —

— Ale te kapelusze są doskonale ubrane, — wuju Tiff! —

— Mis Nina potrafićby to jeszcze lepiej zrobić.

— O, jeżeli chcesz, wuju Tiff, to je mogę zabrać do domu i odświeżyć.

— Niech Bóg was błogosławi Mis Gordon! Ja właśnie tego pragnąć, a nieśmieć was prosić. Młode, hoże damy niełubić zwykle około czarnych rzeczy robić.

— Ja się tam tego nie boję, — tylko pamiętaj je oddać Milly na wóz, żeby je zabrała do domu.

Nareszcie opuściła chatę i stanęła przeddrzwiami, gdzie Harry trzymał konie w pogotowiu. Ktokolwiekby mu się był wtedy pilniejsz przypatrywał, byłby poznał z łatwością, że przesywając badawczém spojrzeniem tego, który wedle jego przypuszczeń miał zostać jego panem, chciał jakies wnioski o charakterze jego dla siebie wyprowadzić.

Gdyby to spotkanie z Klaytonem miało być miejsce kilkoma dniami wcześniejsz, Nina byłaby go bezwątpienia urozmaiciła tysiącznemi małemi kokieterjami, — ale to, co w ostatnich kilku chwilach widziała i przeżyła, tak silne na nią zrobiło wrażenie, że prawie zapomniała o obecności Klaytona. Siadając na konia, postawiła nóżkę na jego rękę, i pozwoliła mu się podsadzić na siodło, podziękowawszy mu tylko za to w milczeniu wdzięczném skinieniem głowy.

Znaczną część wpływu który Klayton na Ninę wywierał, winien był swemu spokojnemu, obserwacyjnemu charakterowi, i powolności, z jaką zostawiał wolne pole, najzmienniejszym, najrozmaitszym jój humorom. Kto inny naprzykład, byłby może usiłował obudzić ją z téj zadumy, byłby sobie pozwalał jakich uwag nad jój roztargnieniem, albo byłby z jój milczenia żartował. Tymczasem Klayton, spokojnie dosiadł swojego konia i w milczeniu postępował przy jój boku; — Harry, który nieco naprzód jechał, wkrótce zniknął im z oczu.

Rozdział XI.

KONKURENCI.

Jechali w milezeniu, aż dopóki konie nie zatętniły znów o kamieniste łóżysko rzeczki. Tutaj zatrzymała się Nina i wskazując ręką do koła siebie, rzekła:

— Cicho! słuchaj Pan!

I obydwaje zatrzymali oddech, i słuchali jak sosny szeptały, jak szemrał strumyk, jak w oddaleniu gdzieś porykiwały krowy, a czarny dzięcioł kuł w drzewa.

— Jak tu wszystko piękne do koła! — zawołała Nina. — Smutna rzecz, że to ludzie umierać muszą. Ja nigdy przedtem niewidziałam umarłego, i niemożesz sobie pan wystawić, jakie to wrażenie na mnie zrobiło. Gdy sobie pomyślę, że ta biedna kobieta była podobną do mnie, pełną życia dziewczyną, — że równie jak ja nie myślała nigdy o tem, że kiedyś umrzeć przyjdzie!... I po co ta ziemia taka piękna, kiedy umierać musimy?

— Przypomnij sobie Pani coś powiedziała staremu Tiffowi: „Może ona tam teraz szczęśliwsza!“ —

— W niebie? No zapewne, jabym jednak bardzo była rada cokolwiek więcej dowiedzieć się o tём niebie,—

oswoić się z niem, poznać go jak tę ziemię naprzykład. Ja, bo nie mogę przypuścić żebym kiedykolwiek miała ochotę ten świat opuścić; mnie tak cieszy to życie! Nie mogę też zapomnieć, jakie ona miała zimne ręce! Takiego zimna jeszcze nigdy nie czuła. —

Mimo całej zmienności Niny, Klayton nie widział jój był jeszcze nigdy w takim usposobieniu; umiał więc uszanować tę powagę i uroczystość, którą świeże wypadki, wszystkie jój władze duszy natchnęły. — Skierowali konie na ścieżkę i długie znów między nimi nastalo milezenie.

Wiesz Pan co, — zaczęła nareszcie Nina po chwili, — że to ogromna różnica, żyć w Nowym Jorku, a tutaj, Tutaj wszystko takie dzikie, takie samotne, takie barbarzyńskie! Niewidziałam nic samotniejszego jak te lasy; można niemi jechać Bóg wie jak daleko, i niesłyszeć nic, oprócz szelestu sosen, który właśnie i teraz słyszymy. Nasza posiadłość, — paneś tam nigdy nie był, nieprawdaż? — leży całkiem na osobności, o kilka mil od innych plantacyj oddalona; mnie się to dziwnie wydaje, bom się przez kilka lat do ludnego kraju przyzwyczaiła. Niewiem czy tak każdemu, ale co mnie, to okolice te zdają się niezmiernie opustoszałe; i jakoś spoważniałam wśród nich i posmutniałam. Niewiem jak się też Panu podobać będzie moja rezydencya; wiele ona już od niejakiogo czasu ucierpiała, ale jednak ma piękności które nigdy nie giną. Mój ojciec lubił drzewa i krzaki, i dla tego mamy ich tutaj więcej jak gdziekolwiek indziej. — Pan lubisz drzewa?

— O, Pani, ja niemal bałwochwalezą cześć oddaję drzewom, i niemogę szczerze szanować nikogo, kto pię-

knego drzewa ocenić nie umie. Powiadają o Xerxesie że jeden klon pięknością swoją w takie go wprawił zachwycenie, iż go złotemi łańcuchami obwiesił. Lubię go za to. Jak na owe czasy barbarzyńskie, jest to rys charakteru bardzo poetycznego.

— Xerxes! — zawołała Nina, — zdaje mi się, że się coś o nim uczyła u pani Ardaine; ale tego nigdy nie słyszała. Nudne bo też to były te lekeye historyi! Ale na co on te złote łańcuchy powieszał na drzewie?

— Nieumiał swojego zachwycenia lepiej wyrazić.

— Wiesz pan co, — rzekła Nina zatrzymując swego konia, — że mnie jeszcze dotąd nigdy w życiu nie przyszło na myśl, że ci mężowie o których się uczyłam w historyi, żyli rzeczywiście tak jak my, i że niemi podobne naszym poruszały uczucia. Myśmy się tylko tyle uczyły, co trzeba było odpowiedzieć na lekeyi; uczyłyśmy się na pamięć trudnych imion, i jak z jednej strony zginęło czterdzieści tysięcy ludzi, a z drugiej pięćdziesiąt. Dzisiaj z tego wszystkiego już nic nie pamiętam. W taki to sposób uczyłyśmy się wszystkie w całej szkole, wyjąwszy te, które miały szczerą ochotę do nauki, i te, które się kształciły na nauczycielki.

— Ciekawa nauka! zaśmiał się Klayton.

— Zabawna to rzecz, — mówiła dalej Nina, — wystawić sobie, że ci ludzie o których się czyta, żyją jeszcze, i czemś się zajmują; — chciałabym doprawdy wiedzieć, gdzie oni są teraz, naprzykład taki Xerxes, taki Alexander, i jeszcze tam inni, których nie pamiętam. Oni byli tak pełni życia, że wszystkiém około siebie wstrząsali, dopóki byli tu na ziemi, a ciekawam co też porabiają ich dusze?... Może Xerxes przypatruje

się naszym drzewom, — kto to może wiedzieć! — Ale otóż jesteśmy na naszym gruncie. Widzisz Pan ten szpaler z powojów? Założyła go moja matka. Kiedy bowiem raz była w Anglii, tak jęj się spodobały te szpalery, iż postanowiła spróbować, czyby się to samo z naszego amerykańskiego powoju zrobić nie dało; kazała więc wziąć szczepki z lasu i tu zasadzić. Dzisiaj szpaler ten zdziczał okropnie, bo od wielu lat nietknięto go nożycami. — Tę znów ulicę z dębów założył mój dziadek. Jest to miejsce, które z całej plantacyi najchętniej lubię, i z którego dumna jestem.

Jakoż wjechali właśnie w przepyszną, szeroką aleję z dębów, wiążących się po nad nimi w cieniste sklepienie. Gałęzie ich grubo mchem były okryte, a chociaż słońce prawie w południu stało, pod tym zielonym namiotem powiewało chłodne i świeże powietrze. Klayton jak gdyby znalazł się w średniowiecznej jakiejś katedrze, zdjął kapelusz z uszanowaniem. —

— Bądź Pan pozdrowion w Kanemie! — zawołała podjeżdżając ku niemu Nina.

Nawpół książęcy, nawpół dziecinny wyraz, z jakim te słowa wymówiła, dziwne wrażenie sprawił na Klaytonie. Skłoniwszy się jęj z lekkim uśmiechem, odrzekł:

— Dziękuję Pani.

— Może Pan kiedyś będziesz żałował, — dodała Nina tonem poważnym, — żeś w te miejsca dzisiaj zabłądził.

— Co Pani przez to chcesz powiedzieć?

— Niewiem, — tylko tak mi to jakoś przyszło do głowy; — zresztą, kto może wiedzieć jakie skutki pociągnie za sobą którakolwiek z jego czynności?

Jakiś wrzask podobny do krakania wrony, dał się słyszeć w tej chwili po jednej stronie alei, a wkrótce potem ukazał się i Tomtit, który ciągle wykrzywiając się i magając koziolki, zbliżał się ku jadącym.

— Co to znaczy? Tomtit!

— Na Boga, Missis! — jakiś Pan w domu czekać na was od dwóch godzin. Missis Nesbit wdziac najlepszy swój czepek, i zejść nadół, przyjmować go.

Nina czuła że rumieniec oblewa jej czoło, - i gniewała ją to i wstydziło. Mimowolnie, spotkała w tej chwili wzrok Klaytona, ale oczy jego niewyrażały ani ciekawości, ani niepokoju.

— Jaki to ładny, ten mech, — rzekł obojętnie. — Nie sądziłem, żeby tutaj dochodził takiej wysokości. —

— Zapewne, że ładny; — rzekła Nina z roztargnieniem. —

Jednak Klayton rozumiał bardzo dobrze i poselstwo i rumieniec; lepiej on bowiem był o wszystkiem zainformowany, aniżeli Nina sądziła, gdyż jeden z jego korespondentów z Nowego Jorku doniósł mu nawet, iż prawdopodobnie, spotka się w Kanemie z jednym ze swoich rywalów. Ciekawy więc był tylko, jak się to wszystko skończy.

Nareszcie skończyła się alea, a nasi jeźdźcy wyjechali na otwarte pole, na którym zaraz stał i dom Niny, wielki, szary, trójpiętrowy budynek, otoczony zewsząd obszernymi drewnianymi gankami, na które szerokie prowadziły schody. Tutaj nieszczęśliwa Nina zobaczyła najwyraźniej ciotkę Nesbit w całym blasku najpiękniejszego czepka i jedwabnej sukni, usiłującą bawić pana Karson.

Pan Fryderyk August Karson, był to człowiek, podobny zupełnie do owych miniaturowych *in duodecimo* edycyj konwersacyjnych słowników, które wielkiej zdają się być wartości, użyte do codziennych potrzeb towarzyskiego życia, — ale które na nie się nieprzydadzą, gdy ktoś pragnie zajrzeć do wiejskiej, wzniosłej księgi natury. To też na salonach i teatrach Nowo-Jorkskich, Nina lubiła jego towarzystwo; ale samotne, odosobnione życie, które wiodła na plantacyi, tak dalece zmieniło jój sposób widzenia rzeczy, że nieznośną dla niej była sama myśl, że mogła kiedykolwiek, chociażby kiedykolwiek, chociażby przez kokieterią, chociażby przez żart, przyznać jakiegokolwiek prawo do swój ręki i serca, takiemu jak on człowiekowi. Zła była o to sama na siebie, i nieszczególnie dla niego usposobiona; ale można sobie wystawić co się jój dzieć musiało, gdy Karson ujrzawszy ją wchodzącą na schody, zeszedł naprzeciwko niej, podał jój rękę, i począł ją króciuteńko „Niną“ nazywać. Spozrzegła także, że ciotka cała była promieniejąca, a na jój twarzy spoczywał wyraz pełnego zadowolenia, właściwy wszystkim kobietom starszym, biorącym udział w serdecznych stosunkach młodszego pokolenia. Wszystko to mówiło wyraźnie, że gość weale dla Niny niepożądany, poczynił już był ciotce pewne objaśnienia, stanowiska jego względem niej dotyczące. Z pewnym pomięszaniem Nina przedstawiła Klaytona, którego ciotka uczciła etykietalnym ukłonem, a pan Karson z protekeyonalną miną powitał.

— Pan Karson czeka na ciebie już od dwóch godzin, rzekła ciotka Nesbit.

— Za prędkość widać jeździła, — rzekł Karson, spoglądając na zarumienione jej policzki, — trzeba lepiej uważać na siebie; zbyt szybkie rozgrzanie krwi sprowadza częstokroć ciężkie choroby.

Klayton usiadł przy drzwiach, i zdawał się być zatopiony w przypatrywaniu się okolicy; Karson zaś przysunawszy sobie stółek do boku Niny, zapytał się poufale, półgłosem:

— Któż to jest ten Pan?

— Pan Klayton z Klaytonville, — odparła Nina dumnie. —

— A, tak! — Hm, hm! — Słyszałem o tej rodzinie, — bardzo ładna rodzina, — a on ma być bardzo zdolny młodzieniec, — bardzo zdolny, — mówiono mi o nim. Ciesz się, że go poznałem.

— Spodziewam się, — rzekła Nina powstając, — iż Panowie raczyliby mi darować, iż ich na chwilę opuścę. —

Klayton odpowiedział na to głębokim ukłonem, a Karson odprowadził ją aż do drzwi. — Znalazłszy się w przedpokoju, Nina zatupała nóżkami ze złości.

— A to nieznośny głupiec! Co za śmiałość, w ten sposób sobie ze mną postępować! Ale dobrze mi tak! Nerozumiem jak ja mogłam dawniej znosić tego człowieka?

Ale Nina nie wypila jeszcze do dna całego kielicha goryczy. Ciotka Nesbit z niesłychaną uprzejmością weszła za nią do pokoju.

— Nino, moja droga, on mi wszystko powiedział. Wiesz co, on mi się nadzwyczajnie podoba.

— Co on Cioce powiedział? — zapytała Nina.

— No cóż? o zaręczynach! Prawdziwie zachwycona jestem twoim wyborem, i jestem pewna, że ciocia Marya, i wszyscy bardzo się tém ucieszą. Doprawdy, teraz dopiero spadł mi ciężki kamień z serca.

— Wolałabym daleko, żeby się ciocia mniej mną interesowała! — Cóż to ciocia myśli, że jabym przystała na to, żeby ten szkaradnik wiecznie koło mnie skrzyphiał swojemi butami! Bezwstydnik, ze swoim ze mną postępowaniem! Mówić mnie: Nino!, jakby był moim Panem! Już ja jego nauczę!

— Ależ Nino, nierozumiem tego postępowania! Doprawdy zdumiewam się nad tobą!

— Wierzę bardzo moja ciociu, — bo też ja nieprzypominam sobie, żebyś się kiedykolwiek nademną niezumiewała. Ale ja nienawidzę tego człowieka!

— A to na cóż się było z nim zaręczać, — moja droga?

— Zaręczać!... Na miłość Boską ciociu, dajże pokój! Zaręczać! Ciekawam co mogą mieć za znaczenie moje Nowo-Jorkskie zaręczyny, zaręczyny, które się odbyły żartem w teatrze. On mi bukiet trzymał naówczas, — bo on jest zupełnie taki, jak owe książeczki z tekstem opery, — dobre na czas przedstawienia teatralnego, — ale potem, na cóżby ich też kto potrzebował?

— To jednak jest okropna igraszka z sercem człowieka!

O, już ja ręczę, że jego spokojność w niczem naruszona nie zostanie! Jego serce, ani jest zimne, ani gorące. Widzi ciocia, — on potrzebuje dobrze zjeść i wypić, dobrze się ubrać, mieć ładny dom, i w ogólności

prowadzić życie wygodne. Do kompletu brakuje mu jeszcze ładnej żony, i umyślił sobie mnie wziąć. Ale pomylił się grubo! Proszę kogo: „Nina“ na mnie wołać: Niech no ja tylko na chwilę zostanę z nim sam na sam, to ja go nauczę wołać na mnie: „Nina“! Już ja jemu wytłómaczę, jak rzeczy stoją.

— Musisz jednak przyznać Nino, żeś mu sama do tego nastęrczyła sposobność.

— A choćby i tak było? — Za to teraz nastęrczę mu sposobność do czego innego!

— Ależ, moja droga, on tu przyjechał, żeby się rozmówić, kiedy ma być wesele!

— Wesele! O nie, na Boga nie! Strach mnie bierze nawet pomyśleć, że on śmiał coś podobnego powiedzieć! Wprawdzie jam temu sama winna, ale będę się starać błęd ten o ile możności naprawić.

— Żal mi go serdecznie, — rzekła ciotka Nesbit.

— A czemuby go ciocia niemiała wziąć dla siebie? Przecież ciocia daleko młodziej i lepiej wyglądasz jak on!

— Co też ty gadasz Nino! — zawoła ciotka Nesbit, rumieniając się wstydliwie. — Był czas kiedy ja nieźle wyglądałam, ale ten czas dawno już przeszedł. —

— O, to tylko tak się cioci zdaje, — dla tego, że się ciocia zawsze szaro i czarno ubierasz, — rzekła Nina przyczesując sobie włosy. Ale idź już ciocia, idź na dół i baw gości dopóki ja nie zejdem. Rzeczywiście jam wszystkiemu winna, — ma ciocia racya, — niepowinnam się nawet gniewać na niego. — A więc ciociu, staraj się go oczarować i pocieszyć, — może ci się to i uda. —

Przypomnij sobie tylko jakieś to przerwcała swojemi wielbicielami, kiedyś była w moim wieku. —

— A któż to jest ten drugi Pan?

— O, to nikt! To tylko jeden z moich przyjaciół. Bardzo dobry człowiek, — tak dobry, że mógłby od razu księdzem zostać, — a jednak nie jest głupi, jak się to zwykle dobrym ludziom przytrafia.

— Czy z nim także jesteś zaręczona?

— Nie, broń Boże! Ja z nikim już niechęć być zaręczoną — to jest rzecz nieznośna! Lubię p. Klaytona, bo mi zostawia wszelką swobodę, nie łązi ciągle za mną, nieprześladuje mię bez ustanku takim straszliwie zachwyconym wzrokiem, nie woła na mnie „Nina.“ Jesteśmy dobrimi przyjaciółmi i nie więcej. Już ja z nikim zaręczać się nie myślę.

— No, no, już dobrze, moja Nino; — ja idę na dół, — tylko przychodź prędko za mną. —

Salon w którym dwaj panowie zabawiali się z ciotką Nesbit, był to wielki pokój, zajmujący cały środek budynku. Wysokie szklane drzwi, wychodziły z obu stron na balkony, których słupy całkiem były opięte krzakami róż, będących właśnie w pełnym rozkwicie. Posadzka w nim ułożona była z mozaiki najrozmaitszych gatunków drzew, o których wspomnieliśmy wyżej; — nad kominem, widać było herb Gordonów rznięty na dębowém drzewie; — ściany pokoju wyłożone znów były innym rodzajem ciemnego drzewa, a na nich wisiało kilka niezłych portretów familijnych, pendzla Kopleya i Sztuarta; — wielki, niedawno z Nowego Jorku sprowadzony fortepian, świeżym swoim fasonem, stanowił szczególny kontrast, z resztą ciężkich, machoniowych, staroświeckich mebli.

Klayton siedział ciągle przy drzwiach szklanych, i z zachwyceniem przypatrywał się owej dębowej alei, którą widać było jak na dłoni. —

W półgodziny może, ukazała się Nina, cała w obłoku muślinów koronek i wstążek. Mała ta czarodziejka miała szczególny talent ubierania się gustownie, i bez żadnego prawie namysłu dobierała sobie zawsze takich kolorów i materyj, w których jęj najbardziej było do twarzy. Zresztą w stroju jęj było zawsze coś tak wonnego, tak eterycznego, że zjawieniem się swoim robiła wrażenie jakiejś nadpowietrznej istoty. Ciemne jęj oczki miały wielkie podobieństwo do oczek ptaszka, — a kiedy przechyliła główkę, i poczęła się trzpiotać po swojemu, podobieństwo to stawało się uderzającym. Gdy się więc ukazała w salonie w różowej gazowej sukni, i rączkę bez rękawiczki wsparła na fortepianie, wydała się Klaytonowi owym pierzchliwym ptakiem, który dopóty dośiada je spokojnie, dopóki się go nie zestrąszy, ale za najmniejszym zbliżeniem się gotów jest odlecieć.

Klayton posiadał rzadką zdolność uważania wszystkiego, nie dając tego po sobie poznać bynajmniej. —

— Na honor, Nino, — zawołał Karson, zbliżając się ku nięj w zachwyceniu, — wyglądasz, jakgdybys spała z tęczy!

Nina obróciła się do niego tyłem, i poczęła układać nóty na fortepianie.

— Atóż to wybornie, — zawołał znów Karson, — zaśpiewaj nam co, na przykład z *Faworyty*. Wiesz, to mój ulubiona opera. —

— Wysłam zupełnie z wprawy; — całkiem teraz nie śpiewam, — znudziły mię te wielkie arye. — I przebiegła

pokój, wybiegła na balkon drzwiami przy których siedział Klayton, i tam zajęła się pilnie różami, które się po słupach pięły. — W mgnieniu oka Karson był przy niej; był to bowiem jeden z tych ludzi, którzy sobie mają za obowiązek, nie pozwalać nikomu na pięć minut zostać w spokojności.

— Nino, uczyłaś się ty kiedy języka kwiatów?

— Nie, — nie lubię się uczyć języków.

— Czy rozumiesz znaczenie rozkwitłej róży? — mówił dalej, podając jej kwiatek z czułym wejrzeniem.

Nina rumieniąc się od złości, wzięła go, a potem uszczeknąwszy inną różę, od dwóch albo trzech dni okwitłą i nawpół obleciałą, podała mu ją z zapytaniem:

— A pan rozumiesz znaczenie téj róży?

— O, nieszczęśliwieś wybrała! ta róża już prawie całkiem opadła! — zawołał naiwnie p. Karson.

— Ja to uważałam bardzo dobrze, — rzekła Nina odwracając się prędko, i nagłym poruszeniem, znalazła się na środku salonu. Wtém dano znać że obiad gotowy.

Klayton powstał z powagą, i podał rękę ciotce Nesbit, tak, że biedna Nina musiała przyjąć towarzystwo uszczęśliwionego pana Karson, który w najlepszym w świecie humorze, usadowił się między ciotką Nesbit a Niną.

— Musisz się tu okropnie nudzić — taki dziki kraj, — prawdziwa pustynia! Powiedz mi, co ciebie tutaj zajmować może? — zapytał poufale.

— Nie pozwolisz pan kawałek tego *gumbo*? — odpowiedziała Nina.

— Mnie się zdaje, że to musi być bardzo przyjemnie panience, która wyszła z pensyi, kiedy jej kto zrobi plan

tęgo co ma czytać, aby się dalej kształcić w domu; — wygłosiła ciotka Nesbit.

— O, zapewne, — rzekł Karson, — ja też zrobię taki plan dla Niny, — ja już nie jednej panience zrobiłem tę przysługę.

Przypadkiem wzrok Niny spoczął w tej chwili na Klaytonie, który z jakimś dziwnym, cichym zadowoleniem patrzył na Karsona. Spostrzeżenie to zaniepokoiło Ninę.

— Ja bo nie lubię kobiet, tak zwanych *bas bleu*, — mówił dalej Karson, — ale cokolwiek wykształcenia wcale nieszkodzi, — to podwyższa jeszcze ich wdzięki. Czy pani nie jesteś tego zdania, Mrs. Nesbit?

— I owszem. Ja właśnie czytałam teraz upadek państwa rzymskiego p. Gibbona.

— A tak, — odkąd zapamiętam, ciocia zawsze męczy się nad tą książką, — rzekła Nina. —

— To jest bardzo dobra książka, — rzekł Karson uroczyście spoglądając na Ninę, — ale powiedz mi pani, Mrs. Nesbit, czy panią nie przerażają heretyckie zasady w niej zawarte? — Według mnie w kształceniu młodych umysłów nader trzeba być ostrożnym.

— Mnie owszem, pisarz ten zdał się być nader pobożnym, — odparła ciotka Nesbit bardzo niewinnie. — Tu i owdzie, robi on wielce religijne uwagi, — i dla tego właśnie ta książka tak mi się podobała.

Zdawało się, iż nad Niną ciążyło jakieś *fatum*, które ją zmuszało ciągle spotykać wzrok Klaytona. Czy to spojrzala na ziemniaki, czy na szparagi, zawsze los chciał, że w końcu musiała napotkać jego oczy, i zawsze w nich dostrzegła zadowolenie, jakie mu widocznie,

niewiedzieć z jakich powodów, sprawiała tocząca się rozmowa.

— Co się mnie tyczy, — odezwała się Nina, — to ja tam niewiem jakie zasady zawiera w sobie książka ciotki Nesbit, — ale o tém, to jestem najmocniej przekonana, że nigdy niepopadnę w żadne niebezpieczeństwo z łaski tych grubych, drobno drukowanych, a tak głupio wyglądających książek, bo ich nigdy w rękę niewezmę. — Niecierpię czytania, i niemyślę wcale kształcić mego umysłu; dla tego niepotrzebuje sobie nikt zadawać pracy, nad układaniem dla mnie planów. Co mnie to obchodzi, jakie tam państwa były na świecie przed wiekami. Wolę raczej zważać na to, co się teraz dzieje.

— Ja zaś wiecznie żałować nieprzestane, że mnie zaniedbała kształcić mego ducha, kiedy byłam młoda, — rzekła ciotka Nesbit. — Zupełnie tak jak Nina, dałam się powodować próżności i głupstwu!

— Ludziom się zawsze zdaje, że tylko jeden rodzaj próżności i głupstwa jest na świecie, — zawołała rumieniąc się Nina. — A tymczasem ja uważam, że częstokroć uczeni ludzie, posiadają taką samą dozę próżności i głupstwa, jak i my dziewczęta. — I z gniewem spojrzęła na Klaytona, widząc że się uśmiecha.

— Zgadzam się zupełnie z Mis Niną, — odezwał się wtedy Klayton. — Nieznam nic głupszego, nad większą część tych, tak zwanych: planów czytania; — a co się tyczy owych wyciągów z historyi, których po szkołach uczą, to nie dziwię się wcale, że one w młodych, żywych dziewczętach, nie tylko budzą wstręt do nauki historyi, ale w ogóle odstraszą je od czytania.

— Czy rzeczywiście takie jest pańskie zdanie?—zapytała Nina, której te słowa ogromny kamień zdjęły z serca.

— Mówię zupełnie na seryo, — odparł Klayton. — Byłoby to z niesłychanym pożytkiem dla wielu piszących historią, gdyby ich można było przymusić do tego, aby historią tę tak pisali, iżby młodą dziewczynę z pensyi zająć potrafiła. Tym sposobem, i my ludzie oddający się naukom, byłibyśmy uwolnieni od czytania wielu książek, które zdają się być tylko wyborem na sen lekarstwem. Zresztą, niewidzę żadnej przyczyny, dla którejby panienska, która nad powieścią gotowa jest siedzieć do północy, nie miała z równemże zajęciem siedzieć nad dziełem historycznym. Śmiem nawet utrzymywać, iż żaden romans nie jest w stanie rozwinąć tyle bogactwa i pełności życia, tyle dramatyczności, ile jej mają w sobie rzeczywiste wypadki. Idzie tylko o to, aby rzeczywistość wystawić tak, iżby na sobie cechę prawdy nosiła.

— Chciałabyś pan, — zapytała Nina, — żeby się historia zamieniła w romans?

— Dla czego nie? — Dobra powieść historyczna jest zwykle bliższa prawdy, aniżeli nudna historia, bo daje zawsze jakieś pojęcie o rzeczywistości, gdy tymczasem sucha historia nie uczy niczego.

— No, kiedy tak, to się przyznam, — rzekła Nina, — że ja, wszystkiego, co wiem z historii, nauczyłam się z powieści Walter-Scotta. Mówiłam to zawsze naszej nauczycielce historii, — ale ona utrzymywała, że czytanie takich książek jest niebezpieczne.

— Co się mnie tyczy, — odezwała się ciotka Nesbit, — to ja niezmiernie się obawiam czytania romansów, szcze-

gólniej dla młodych osób. — toć to i mnie wiele złego narobiło, kiedym była młoda. To obalamuca ducha, i daje fałszywe wyobrażenie o życiu.

— Ach, mój Boże! zawołała Nina. — Na pensyi, to nam kazali robić wypracowania na ten temat, który u-
miem na pamięć: jakie to fałszywe żądze w nas budzi, i jak to ludzi uwodzi, gonienie za czczemi marzeniami, przywidzeniami, fantazyami it.d!

— Są to zarzuty, które właśnie nieświadomi rzeczy, mogliby uczynić istotnie prawdziwej historii, — a to tém bardziej, im byłaby prawdziwszą. Gdyby życie naprzykład Napoleona Bonapartego było dokładnie napisane, czynionoby mu zapewne te zarzuty, bo w niém ukazałyby się jawnie dążności do celów, całkiem po za obrębem zwyczajnej sfery leżących, — ukazałyby się nieodgadniona mieszanina złych i dobrych przymiotów bohatera; a po przeczytaniu książki, pozostałoby w duszy czytelnika rozstrojenie i znużenie. Zwyczajna historia nie wyrze takich skutków, a to z téj prostej przyczyny, że nie jest prawdziwa, i dla tego pozostaje bez żywego wrażenia. —

Ciotka Nesbit, z tych słów Klaytona powzięła ciemne wyobrażenie, że on nie broni czytania romansów, i poczytała sobie za obowiązek stawić przeciw temu opozycją, do czego się wzięła w sposób szczególny, albowiem od czasu do czasu, powtarzała jedno i to samo, niezważając bynajmniej na to co on jój odpowiadał. Z całą więc godnością swojej cnoty, rzekła do niego:

— Mimo tego wszystkiego, muszę panu powiedzieć, że ja czytania romansów pochwalić nie mogę. To daje

falszywy pogląd na życie, i odwodzi młode osoby od ich obowiązków.

— Ja chciałem tylko dowieść, łaskawa pani, że to samo właśnie dałoby się powiedzieć o naszych najlepszych książkach historycznych.

— Ja sędzę, że czytanie romansów, wiele złego przynosi, — twierdziła uporeczywie Mrs. Nesbit, — ja przynajmniej nigdybym nie czytała tych utworów fantazyi, gdyż to jest przeciwne moim zasadom.

— Radabym bardzo znaleźć taką historią, o jakiej pan mówisz, — wtrąciła Nina; — myślę żebym ją chętnie czytała.

— Byłaby to bardzo interesująca historia, — rzekł p. Karson. — Byłby to śliczny utwór literacki. Dziwi mię tylko, że dotąd nikt się nie znalazł taki, coby ją napisał. —

— Ja bo ograniczam się na tém, co jest rzeczywiście praktyczne i pożyteczne, — oświadczyła ciotka Nesbit. Praktyczne wykształcenie jest u mnie wszystkiem.

— W takim razie, to ja bardzo jestem zepsuta, — rzekła Nina, — bo ja nie praktycznego nie lubię. Nieraz kiedym była w ogrodzie, przyszło mi na myśl, że ślaz, szalwia i majeranek, tak dobrze by się wydały w moim bukiccie, jak i inne kwiatki, — a jednak niemogłam się przekonać, żeby je zerwać, dla tego jedynie, że widziałam jak tych roślin używano do nadziewania indyków. To bardzo źle z mojej strony, — nieprawdaż?

— Przypomniałaś mi właśnie, — odezwała się ciotka Nesbit, — że Rózalia znowu nakładła szalwii do tego indyka, chociażem jęj tego już nieraz zakazała. Mnie się zdaje, że ona to naumyślnie robi.

W tój chwili ukazał się we drzwiach Harry, i prosił Niny na chwilkę rozmowy. Rozmowa ta trwała bardzo krótko, i Nina widocznie posmutniała wróciła do stołu.

— Zmartwiłam się bardzo! Harry zjeździł całą okolicę, i nigdzie niemógł znaleźć księdza na dzisiejszy pogrzeb. Biednemu Tiffowi będzie bardzo przykro. Państwo wiecie, jak wiele Murzyni przywiązują do tego, żeby na grobie czytana była modlitwa.

— Jeżeli nie masz nikogo coby modlitwę odczytał, to ja to zrobię, — rzekł Klayton. —

— Doprawdy? — zawołała Nina.—O, dziękuję Panu bardzo. Niewymownieś mnie Pan ucieszył, że względu na starego Tiffa. O piątój godzinie będzie powóz gotowy, i pojedziemy wszyscy, żeby o ile możności orszak pogrzebowy powiększyć.

— Ach, moje dziecko, — rzekła ciotka Nesbit do Niny, gdy wróciły do salonu, — niewiedziałam, że Pan Klayton należy do episkopalnego kościoła.

— Przeciwnie. I on, i cała jego rodzina są Presbiteryanami.

— A, to dziwna rzecz, że się ofiarował czytać modlitwę! — zawołała ciotka Nesbit. — Ja tego bynajmniej nie chwale.

— A to dla czego?

— No, ze względu na błędne mniemania, tyżące się episkopalnego kościoła. Jeżeli my mamy słusność, to oni są w błędzie, — a zatem niepowinniśmy ich naśladować. —

— Ależ ciociu, to tak pięknie oddać komuś ostatnią usługę.

— Ja tego jednak niechwałę! — zawyrokowała ciotka Nesbit.

— No widzi ciocia, — Klayton nie jest księdzem, to przecież nie będzie modlitwy improwizował!

— To zawsze dowodzi wielkiego rozwolnienia zasad religijnych. Ja tego niechwałę! Całkiem niechwałę!

Rozdział XII.

WYJAŚNIENIA.

Złotawe promienie zachodzącego słońca, przedzierały się tu i owdzie przez sosnowe gałęzie, a w ich świetle ukazywało się wszystko piękniejszym i wspanialszym. Wesoly chór ptasząt odśpiewywał wieczorną pieśń, a niewielka gromadka ludzi, otaczała grób otwarty. Wiedziona instynktowem poczuciem smutku, którym teńną cały ten obrządek, Nina wdziała czarną jedwabną suknię i prosty słomiany kapelusz z czarnymi wstążkami. Była to oznaka szacunku dla zmarłej, o której Tiff długo potem pamiętał. Na jednym końcu grobu stał Kripps, z tym osłupiałym, bezmyślnym wyrazem na twarzy, jaki zwykle przybierają zwierzęce natury w obec śmierci. Tiff stał na boku, biały jego kapelusz starannie czarną krepą był opasany a lewa ręka czarną otoczona przepaską; — na ręce trzymał niemowlę w stary czarny szal owinięte, z czułością cisnąc je do piersi. — Dwoje starszych dzieci gorzko płacząc, tuliło się do niego. — Po drugiej stronie grobu stali Klayton i Karson, a za nimi Milly, Harry i kilku niewolników z plantacyi.

Otwarto trumnę, aby każdy przyjaznym wzrokiem ostatni raz zmarłą mógł pożegnać, — a gdy ją po chwili zamknięto, rozległ się bolesny krzyk dzieci. Skoro następnie Klayton dźwięcznym swoim głosem wyrzekł te słowa: „Ja jestem zmartwychwstanie i życie!” — rozplakała się Nina na głos, i już przez cały czas trwania obrzędu uspokoić się nie mogła. Gdy się wszystko skończyło ucałowała dzieci, a ściskając Tiffa za rękę, przyrzekła że ich nazajutrz odwiedzi. Nareszcie udała się z Klaytonem ku powozowi, a za nimi poszedł i Karson. —

— Słowo daję — mówił Karson żywo, — to się nadzwyczaj uroczyście odbyło! To był pogrzeb bardzo interesujący, doprawdy! Na mnie zawsze pogrzeb wielkie robi wrażenie, zwłaszcza w miejscu tak romantyczném! Rzeczywiście, to była bardzo interesująca scena! Lubię także, kiedy młode osoby twego stanu Nino, okazują współczucie dla biednych. Gdyby kobiety wiedziały, jak je upiększają takie litościwe uczucia, starałyby się częściej znajdować do nich sposobność. — A ten stary Murzyn! To także niezwykajne indywiduum! Zdaje się że to dobre stworzenie. Dzieci także bardzo interesujące. Nieboszczka musiała być bardzo piękna za młodu. Musiała dużo złego użyć na tym świecie, biedaczka! Chwała Bogu, że jęj teraz już lepięj!

Ten monolog rozgniewał Ninę do ostatka. Zapomniała o tém, że człowiek ten popisował się z tém, co w nim było najlepszego, — i że tytko z gorliwością wykonywał to, co uważał za swoje powołanie, zasadzające się na tém, żeby tam gdzie mógł być słyszany, ani na kwadransik nie dopuścić milczenia. — To samo wzruszenie,

które Ninie łyzy wyciskało, jego zmuszało do mówienia. Niezadowolony t \acute{e} m, że sam mówił, pytał się ciągle Niny, czy ona również uważa ten wypadek za interesujący, i czy niedoznała również silnego wrażenia?

— Niejestem całkiem usposobiona do rozmowy, Panie Karson, — odrzekła Nina.

— Och! — ach! — tak, rozumiem! Tak głęboko jesteś wzruszona! W takich razach najlepiej jest milczeć! Pojmuję zupełnie twoje uczucia. Cieszy mi \acute{e} to bardzo że widzę w tobie tyle współczucia dla bliźnich.

Gdyby była mogła, Nina byłaby go wyrzuciła z powozu. —

— Co się mnie tyczy, — mówił dalej Karson, — to moją zdaniem niedość często rozmyślamy o podobnych rzeczach. Ja także poczuwam się do tego. A jednak byłoby to z wielkim pożytkiem, żeby jaki taki od czasu do czasu, zwracał myśl na podobne przedmioty. Tę było rzeczą nader zbawienną!

I tak bez ustanku, Karson wprawnym językiem wypowiadał wrażenie, jakie scena pogrzebu na wszystkich wywarła. Całe więc czule usposobienie Niny przeszło w gniew, nim jeszcze przyjechali do domu. Coraz m \acute{e} ni \acute{e} przekonywała się, jak trudno będzie dać poznać Karsonowi, że źle jest widziany, i ujrzała wreszcie, że j \acute{e} y nie pozostaje inna droga, oprócz stanowczej i wyraźnej z nim rozmowy, jakkolwiekby ta była dla ni \acute{e} y nieprzyjemną. — Jego pełna zadowolenia z samego siebie spokojność, sposób w jaki ją traktował, uważając ją za niezaprzeczoną własność swoją, budziły w ni \acute{e} y odrazę, t \acute{e} m większą, iż przyznać musiała, że sama sobie była przyczyną tylu nieprzyjemności.

— Nie zniosę tego dłużej, — rzekła sama do siebie, wchodząc za powrotem do bawialnego pokoju. — I to wszystko jeszcze w obec Klaytona! Co on sobie o mnie pomyśli?

Zastali już stół zastawiony do herbaty, przy którym czekała na nich ciotka Nesbit.

— Szkoda, doprawdy, żeś Pani z nami niebyła! Co za interesująca scena! — rzekł Karson, z właściwą sobie biegłością zawierując rozmowę.

— Już to wszystko nie dla mnie, — odparła ciotka Nesbit. Ja zaraz dostaję chrypki, jak tylko jestem na wolnym powietrzu, kiedy rosa pada. Odpokutowałam za to przez dwa czy trzy lata, i teraz już jestem ostrożna. Zresztą, za nie w świetle bym nie siadła do powozu, kiedy John powozi.

— Niesłychanie ubawił mię stary Stółatek swoim gniewem, kiedy musiał dać koni, na ten gałgański pogrzeb, jak powiadał. Myślę, że gdyby był pewny że nas nie pokaleczy wywróciwszy, byłby to zrobił niezawodnie. —

— Spodziewam się, — rzekła ciotka Nesbit, — że ta rodzina opuści nasze strony jak najprędzej. To tak nieprzyjemnie, mieć w sąsiedztwie takich ludzi!

— Dzieci wyglądają bardzo ładnie i czysto, — rzekła Nina.

— O, dla nich stracona wszelka nadzieja! — One będą tém samém, co i ich rodzice. Ja znam ten gatunek ludzi na wylot! Nie życzę im nic złego, ale niechciałabym mieć z nimi do czynienia.

— Mnie ich żal, — rzekła Nina; — Niepojmuję dla czego rząd, czy kto tam, niepostara się o założenie tu-

taj szkół, tak jak w Nowym Jorku. Tam wszędzie dzieci, jeżeli tylko chcą, mogą chodzić do szkoły. A te dzieci pochodzą rzeczywiście ze znakomitej rodziny ze stariej Wirginii. Tiff powiadał mi, że matka ich była Peytonówna.

— O! nie wierzę temu! Oni wszyscy kłamią! niestać ich na co innego.

— Na wszelki przypadek, ja jednak pomyślę o tych dzieciach.

— Zgadza się zupełnie z tobą, Nino, — odezwał się Karson. — To świadczy o twojem dobrém sercu. Bądź pewna, iż zawsze znajdziesz mię gotowym do wspierania tak szlachetnych popędów.

Nina wzruszyła ramionami, ale to nic niepomogło. — Pan Karson tak sobie swobodnie dalej rozprawiał, że Nina dłużej tego znieść niemogła.

— Jak tutaj okropnie gorąco! — rzekła podnosząc się. — Przejdźmy lepiej do salonu. —

Milczenie Klaytona, i jego zachowanie się spokojne a badawcze, niepokoiło ją równie, jak natarczywość Karsona. Szybkim więc krokiem poprzedziła całe towarzystwo do sali, która teraz przy wieczornym zmierzchu, napełniona wonią róż, która płynęła w nią otwartemi drzwiami, zdawała się jeszcze większą, i poważniejszą. Wschodzący księżyc, otwartemi oknami rozlewał po niej blade światło. — Nina byłaby wszystko teraz oddała za chwilkę spokojności, ciszy, — ale wiedząc aż nadto dobrze, że obecność P. Karsona spełnienie tego życzenia niepodobnem czyniła, postanowiła sama raczej narobić hałasu; — usiadła więc do fortepianu, i poczęła grać jakieś szybkie, zmienne, niepowiązane ze sobą melodie.

Klayton usiadł znów przy drzwiach otwartych, a Karson ograniczył się tą razą, na wtórowaniu jęj półglosem, na przerzucaniu nót, i na wygłaszaniu od czasu do czasu wyrazów podziwiania nad grą. — Nareszcie Nina niemogła już dłużej wytrzymać. Z determinacją więc wstała od fortepianu, poszła prosto ku panu Karson, i rzekła:

— Jak tam ślicznie na polu! Czy pan nie masz ochoty przejść się? Na końcu jednej ścieżki w ogrodzie, jest tam śliczne miejsce, z którego widać, jak się księżyc w wodzie odbija. Pokażę to panu.

— Czy się tylko niezaziębisz, Nino? — zapytała ciotka Nesbit.

— O, nie, — niezaziębię się z pewnością, odparła Nina idąc przodem do przedpokoju, gdzie przyjęła podaną sobie rękę zachwyczonego Karsona. Klayton został *tête à tête* z ciotką Nesbit. — Nina szła tak prędko, że jęj towarzysz tracił prawie oddech; aż gdy przyszła na mały pagórek, zatrzymała się i rzekła do Karsona:

— Uważaj pan, panie Karson, mam panu coś powiedzieć.

— Widzisz mnie w zachwyceniu, moja najdroższa Nino! Jestem nad wyraz szczęśliwy.

— Nie, nie, — proszę pana, niemów pan tak, — zawołała Nina, nakazując mu ręką milczenie. — Zaczekaj pan, aż ja powiem, co mam powiedzieć. Domyślam się że pana niedoszedł list, który przed kilku dniami do niego pisałam. Nieprawdaż?

— List! Doprawdy nieodebrałem żadnego! Co to za szkoda!

— Zapewne, że szkoda, równie dla mnie jak dla pana. Ten list byłby nam oszczędził tęg przykręj rozmowy.

W tym liście bowiem pisałam panu, że związek małżeński między nami jest niepodobieństwem; że wprawdzie niesłuszne i nierozsądne było moje dawniejsze postępowanie, ale że teraz inaczej postąpić nie mogę. W Nowym Jorku gdzie każdy ze wszystkiego zdawał się żartować, gdzie my dziewczęta znajdowałyśmy zabawkę w takich rzeczach, i ja zaręczyłam się z panem na żart, i nie więcej. Niemiałam najmniejszego pojęcia o tém, co za skutki pociągnąć to za sobą może,— żadnego wyobrażenia o tém com wówczas mówiła, a co później czuć mogę. Ale z każdą godziną mego pobytu w tutejszej samotności, przekonywam się coraz mocniej, jak dalece nierozsądne było moje postępowanie. Nieskończenie mi to przykro, ale muszę panu prawdę powiedzieć. Niepotrafię panu opisać, jak mnie dziwi i gniewa sposób, w jaki mię pan traktujesz, od chwili swego przyjazdu tutaj.

— Mis Gordon! prawdziwie niepojmuję co to wszystko znaczy, i niewiem co mam o tém myśleć!

— Proszę Pana, myśl sobie, że teraz mówię na serio, — i że odtąd, chociaż zawsze jako znajomego z przyjemnością go u siebie widzieć będę, i chociaż panu jak najlepiej życzę, jednak wszelkie inne związki między nami są tak dalekie, jak księżyc od ziemi. Nieumiem panu wypowiedzieć jak mi to jest przykro, że panu zrzuciłam tyle nieprzyjemności; doprawdy, bardzo mi to przykro, — dodała z uczuciem, — ale proszę pana byś pamiętał, w jakim odtąd stosunku zostajemy ze sobą.

Odwróciła się i wybiegła.

— No, to przynajmniej z jednym skończyłam, — rzekła sama do siebie.

P. Karson pozostał przez chwilę nieruchomy, i powoli dopiero zaczął przychodzić do siebie z zadziwienia, w jakie go ta rozmowa wprawiała. Potém wyprostował się, przeciągnął, przetarł oczy, dobył zegarka, popatrzył na niego, i poszedł mierzonym krokiem w stronę przeciwną kierunkowi w którym Nina odeszła. Należał on do tych szczęśliwych ludzi, których nie jest w stanie wzruszyć tak moeno, ażeby kwadrans rozwagi nieprzywrócił ich do zwyczajnej, normalnej spokojności. Ścieżka którą szedł, wiedąca zrazu przez krzaki, wila się potém ponad brzegiem rzeki, tu i owdzie piękne nastęczając widoki, i dopiero po licznych zakrętach, prowadziła ku domowi. W ciągu tego spaceru Pan Karson rozważył całe zdarzenie, i zupełnie się uspokoił. Pierwsza myśl która mu na jego pociechę przyszła do głowy, brzmiała w ten sens: „Nie pierwsza to i nie ostatnia“. Powtóre, P. Karson zanadto się znał na tych rzeczach, żeby nie miał być dostrzedz, że plantacya dosyć już była podupadła, i że nieszczególnym byłaby nabytkiem. Potrzebie, P. Karson postąpił sobie tak, jak ów lis w bajce z kwasniami winogronami. Przypomniwał sobie, że w gruncie rzeczy, Nina zanadto lubiła się stroić, zanadto była rozrzutna i kapryśna; że jednak z natury był to człowiek dobry, jak większa część ludzi powierzchownych, przeto wmówił w siebie, iż mimo tego wszystkiego niemniej lubi Ninę, — a gdy jeszcze pomyślał o swoim pięknym majątku, o swoim pięknym domu w Nowym Jorku, i o licznych swoich przymiotach, przekonany był najzupełniej, że tylko żalować mu pozostaje téj dziewczyny.

W skutek tój narady z samym sobą, pan Karson był w tak filantropicznóm, tak chrześcijańskim usposobieniu, kiedy napowrót wchodził na schody prowadzące na balkon, że niepodobna więcej wymagać po konkurencie, który świeżo dostał kosza. Wszedłszy do salonu zastał samą jedną ciotkę Nesbit, która w świeżuteńkich rękawiczkach, przy blasku świec poważnie siedziała. Niewiedział on naturalnie, co zaszło w czasie jego spaceru; my jednak odsłoniemy czytelnikowi tę tajemnicę.

Z tą samą determinacją, z jaką wyszła, powróciła Nina do domu, i trącając Klaytona z lekka wachlarzem w ramię, obudziła go z marzeń w których był zatopiony.

— Chodź pan ze mną na górę, — rzekła, — przypatrzmy się księżycowi z okien biblioteki.

I poszła przodem po starych dębowych schodach, zatrzymując się na każdym stopniu; potem nakazującym skinieniem wskazała towarzyszowi drzwi, które gdy otworzył, wprowadziła go do wielkiego z czarną posadzką pokoju. Pokój ten leżał akurat nad salonem któryśmy dopiero co opuścili. Oświecały go wysokie okna z żaluzjami, idące wzdłuż werandy, przez które w tój chwili księżyc całe morze światła po nim rozlewał. Wielkie machoniowe, papierami zarzucone bióro, stało na środku pokoju, a księżyc świecił nań tak jasno, że można było rozróżnić kształt stojącego na nim brązowego ekrytoaru, i kolor opłatków i rozrzuconych laków. Spojrzawszy przez okno, ponad wierzchołki drzew, otwierał się przepyszny widok na rzekę, która migotała i iskrzyła się w księżycowych blaskach. —

— Czy to nie piękny widok? — zapytała Nina prędko, wzruszonym głosem.

— Prześlizchny! — odrzekł Klayton, i usiadłszy w krześle przy oknie, zdawał się zapadać w zwyczajne swoje zamyślenie.

Po chwili, Nina zebrawszy znów wszystkie swoje siły, poczęła z determinacją:

— Panie Klayton! Właściwie nie o tém chciałam z panem pomówić. Chciałam z panem zostać na chwilę sam na sam, i powiedzieć mu słów kilka, do których czuję się obowiązana. Odebrałam ostatni list pański, i serdecznie jestem wdzięczną siostrze pańskiej, za przychylność, z jaką się w nim dla mnie oświadcza. Ale sędzę, że pana bardzo musi dziwić to wszystko, coś tutaj widział od czasu swego przyjazdu.

— Dziwić? a co takiego proszę pani? — zapytał Klayton spokojnie.

— Zachowanie się względem mnie p. Karsona.

— To niedziwi mię zupełnie.

— W każdym razie, — rzekła Nina, — sędzę, iż winnam panu powiedzieć jak się to stało. P. Karsonowi zdawało się, iż ma prawo do mojej ręki, ponieważ byłam tyle nierozsądną, że mu dałam powód do tego. Prawdę mówiąc, dotąd igrałam z życiem, robiłam i gadałam, co mi tylko przeszło przez głowę, byleby się tylko zabawić, — niedawno jeszcze temu, niebyłam w stanie nie rozważyć na seryo; — ale teraz, niemogę pojąć jak dziewczęta mogą sobie tak ze wszystkiego żartować. Ja naprzykład, na żart tylko zaręczyłam się była z Karsonem, — podobnie na żart zaręczyłam się jeszcze z kim innym.

— Czy i ze mną pani na żart się zaręczyłaś? — zapytał Klayton.

— Nie, — odparła Nina po krótkim namyśle; — daję panu słowo że nie na żart, — ale też i niezupełnie na seryo. Ja jestem teraz jakby nawpół obudzona; sama siebie niepoznaję, — niewiem co za jedna i gdzie jestem, radabym wrócić do moich dawniejszych nierozsądnych marzeń. Zdaje mi się, że zanadto wielka odpowiedzialność ciąży na tym, kto bierze życie na seryo. Zdaje mi się że do nikogo stale przywiązaćbym się niepotrafiła. Czuję potrzebę wolności. Zerwałam stanowczo z panem Karsonem, — zerwałam i z kim innym, — i chciałabym....

— I chciałabys pani zerwać i ze mną? — przerwał Klayton.

— Doprawdy, ja sama niewiem czego bym chciała. Stósunek nasz w całkiem inném ukazuje mi się świetle, aniżeli wszystkie inne, — ale ilekroć o nim pomyślę, przejmuję mię jakiś strach, który wzbudza we mnie zawsze wszelka odpowiedzialność i wszelki przymus. I chociaż pewna jestem, że teraz bardzo samotną czułabym się bez pana, — chociaż pańskie listy wielką sprawiają mi przyjemność, jednak zdaje mi się niepodobieństwem, żebym mogła być zaręczoną! Na tę myśl jakieś niewysłowione uczucie niepokoju mię ogarnia.

— Droga przyjaciolko, — rzekł Klayton, — uspokój się, kiedy rzeczy tak stoją. Niemasz żadnej naglącej potrzeby, żebyśmy byli zaręczeni. Jeżeli obecność moja, lub pisywanie do mnie czyni pani przyjemność, to postępuj sobie pani w tej mierze bez żadnego przymusu, a resztę zdaj zawsze na jutro. — Mów pani co chcesz, czyn co chcesz, pisz kiedy chcesz, a niepisz kiedy niechcesz, — stósownie do tego jak zechcesz mniej albo

więcej listów odemnie odbierać. Miłość prawdziwa bez wolności jest niepodobieństwem. —

— O, jakże panu jestem wdzięczna! — zawołała Nina, która teraz dopiero wolniej odetchnęła. — A teraz panu jeszcze coś powiem. Dopisek pańskiej siostry bardzo mi się podoba; a jednak, niewiem dla czego, chociaż słowa jej tak są miłe i przyjacielskie, zrobiły przecież na mnie takie wrażenie, jakby pochodziły z ust osoby nader poważnej, — z ust osoby takiej, którejby się bardzo niepodobało postępowanie moje w Nowym Jorku, gdyby się o nim dowiedziała.

Karson z trudnością zdołał powściągnąć uśmiech, który mu się gwałtem cisnął na usta, wywołany instynktową trafnością tej uwagi.

— Nie rozumiem, — rzekł, — jak pani mogłaś przyjść na tę myśl, tém bardziej że siostra moja, ledwie kilka wierszy do pani napisała.

— Widzisz pan, ja nigdy nieprzeczytam nieczyjego pisma, żebym sobie w tej chwili nie utworzyła wyobrażenia o piszącym, jak gdybym na niego patrzała. Otóż kiedyś czytała list pańskiej siostry, tak mi się zdało.

— No, żeby niesklamać, to powiem pani, że siostra moja Anna jest cokolwiek formalistką; i że cokolwiek za mocno obstaje przy swoich wyobrażeniach; ale obok tego jest to z najlepszym sercem, pełna najgorętszych uczuć dziewczyna. Jestem przekonany, żebyście się panie pokochały wzajemnie.

— Tego niewiem, — rzekła Nina, — ale to pewna, że ja się bardzo boję wszystkich formalistów; — ludzie ci posiadają jakąś własność, która we mnie upór i przekorę budzi.

— Ależ Anna nie jest znów czystą formalistką. Pod zimną trochę jęj powierzchownością, bije serce poczciwe i pełne ognia.

— Zwykle jednak formalisiści podobni są do płytkich rzek, które zamarzają aż do dna. Ale co się tyczy pańskiej siostry, to odwiedziny jęj największąby mi radość sprawiły, gdyby chciała do mnie przyjechać tak, jak każda inna moja przyjaciółka. Bo przyznasz pan, że gość taki, o którym wiemy, że nas tylko oglądać i badać przyjechał, niemoże być nader miły.

Naiwność i szczerosć Niny, wywołały uśmiech na usta Klaytona. Ona tymczasem mówiła dalej.

— Widzisz pan, jakkolwiek wiem o tém, że niczém inném nie jestem, tylko niedouczoną pensyonarką, jednak jestem dumna, jakbym miała prawo do tego. Dla tego, przyznam się panu, nie z wielką ochotą będę pisać do siostry pańskiej, bo wiem że nie potrafię pięknego listu napisać. Zresztą niemogę nigdy długo faldów przysiedzieć.

— Pisz pani tylko tak, jak pani mówisz, — rzekł Klayton, — pisz pani wszystko, co pani przez myśl przejdzie, — zupełnie tak, jak teraz mówisz ze mną. Spodziewam się, że w ten sposób, pani owszem często pisywać będziesz, bo to smutna rzecz, kiedy korespondencyą jedna tylko strona podtrzymuje.

— No, — zawołała powstając Nina, — teraz, panie Edwardzie Klayton, ponieważśmy się już do syta natrzyli na księżyc, możemy zejść znów do salonu, gdzie ciotka Nesbit z p. Karsonem *tête à tête* siedzą.

— Biedny Karson! — rzekł Klayton.

— O, nieżałuj pan znów tak bardzo tego poczciwca! jest to jeden z tych ludzi, którzy przez jedną noc spo-

kojnie przespaną, zdolni są o wszystkiém zapomnieć. Zresztą, ja go też teraz lepiej będę traktować. Dawniej niezdawał mi się tak niezdolny; owszem my dziewczęta lubiłyśmy go bardzo, bo był zawsze wesół, ze wszystkiego zadowolony, i zawsze wiedział wszystko, co się tylko gdzie stało. Zdaje się że on wtenczas dopiero staje się niezdolny, kiedy rzeczy na serio traktować pocznie. Czy słyszałeś pan co on napłótl, kiedyśmy z pogrzebu wracali? Jestem pewna, że tak samoby paplał wracając z mojego pogrzebu.

— O, nie! Tak znów źle nie jest!

— Tak jest rzeczywiście. Ten człowiek podobny jest do tych uprzykrzonych, zielono i niebiesko mieniących się much, które tylko bez przestanku brzęczą, lażą po kartkach otwartych książek, i ciągle do jednej i tój samej szyby szturm przypuszczają. — Kiedy przybierze minę pełną znaczenia, i o poważnych rzeczach mówić zacznie, wydaje mi się zupełnie jak taka mucha, siedząca na biblii i muszcząca sobie skrzydła! — Ale chodź Pan, — zejdźmy już raz do tój niewinnój duszy.

Wróciwszy do salonu, Nina była zupełnie jakby świeżo wypuszczona z więzienia. Nigdy niebyła miłszą i powabniejszą. Szczebiotała i bawiła się z Karsonem, śpiewała mu wszystkie ulubione jego arye, a to z tém większą ochotą, iż uważała że Klayton z zajęciem jój słuchał. Wśród tój miłej zabawy, nagle dał się słyszeć tętent konia w alei.

— Kto to może być tak późno w nocy? — zawołała Nina i pobiegła wyrzeć do drzwi, a spostrzegłszy Harrego, który właśnie szedł ku domowi, zbiegła po schodach, żeby się z nim rozmówić.

— Harry, kto to tam jedzie?

— Mis Nino, to Master Tom, — odparł Harry po cichu.

— Tom? O nieba!—zawołała Nina drżącym głosem.— I co jego tu sprowadza?

— To, co go sprowadza wszędzie, — odrzekł Harry.

Nina weszła napowrót na schody, i niespokojnie patrzyła na jeźdźca, który co chwila się przybliżał. Harry poszedł za nią na werandę i stanął nieco w tyle. Niebawem koń zatrzymał się przed schodami.

— Hola! sam tu! — krzyknął jeździec, — pójdz mi konia przytrzymać łajdaku!

Harry ani się ruszył, tylko stał ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, a czoło jego w gróźne ściągnęło się fałdy.

— Czy nie słyszysz? — rzekł przybyły, zeskakując z konia z przekleństwem, — pójdz tu! — weź konia odemnie!

— Na miłość boską! błagała Nina, — Harry, unikaj awantury! Weź konia i zrób wszystko, byleby go tylko uspokoić!

Harry zdecydował się prędko. Zeszedł i w milczeniu wziął cugle z rąk brata Niny. Jeździec wszedł na werandę.

— Hola! To ty Nino?!

I Nina poczuła, jak ją objęły dwa ramiona kudłatym płaszczem okryte, a na jej policzku spoczęły usta cuchnące wódką i tytuniem. Gdy się uwolniła z uścisków, zapytała cichym głosem:

— Czy to ty Tom?

— A, oczywiście! Któżby był jak nie ja? Kontentaś że mię widzisz, nieprawdaż? Zapewneś się mnie niespodziewała.

— Cicho Tom, proszę cię. Cieszę się bardzo że cię oglądam; ale tam są dwaj panowie w pokoju; niemów tak głośno.

— A, twoi adoratorowie, he? No, to ja przecież tak dobry jak i oni. Zdaje mi się że jestem w kraju wolnym, i niemyślę szeptać, dla tego, że tam ktoś jest w pokoju. — A, to widzę ten stary worek z krochmallem! Jak mi Bóg miły tak on! — zawołał ujrzawszy ciotkę Nesbit, która ukazała się we drzwiach. — Hola! Jak się masz stara babo!?

— Tomaszu! — zawołała łagodnie ciotka Nesbit — Tomaszu!

— Idź do diabła z twoim Tomaszem, ty stara wrono! Tybyś mi także widzę miała ochotę powiedzieć, że bym był cicho. Ale ja cicho nie będę! Ja wiem co robię. To jest dom tak dobrze mój jak i Niny, — a ja sobie przecież dla miłości jęj kochanków gęby nie zaszyję! — Powiadam ci ustap mi z drogi, bo idę!

Ciotka Nesbit usłuchała i cofnęła się.

Tom wszedł do pokoju. Był to człowiek młody, mogący mieć około dwudziestu pięciu lat, który dawniej musiał być bez wątpienia miły na twarzy i kształtnie zbudowany; ale rysy tęg twarzy, w skutek ciągłej rozpusty przeciągnęły się i straciły wszelki wyraz. Ciemne jego oczy błyszczały ponuro i niepewnie, jak to bywa zwyczajnie u młodych ludzi, przekonanych wewnątrz, że nie nie są wari. Wysokie i szerokie czoło miał czerwone i obsypane krostami, policzki nabrzmiące, a ruchy

jego i chód, świadczyły jawnie, że w tej chwili nie był panem swoich czynności.

Za nim weszła Nina. Klaytona przeraziła widocznie śmiertelna bladość jej twarzy; — a ona pochyliła się nieco ku niemu, jakby oddając się w jego opiekę. Klayton wstał, podobnie Karson, i przez chwilę wszyscy stali w milczeniu, niewiedząc co począć ze sobą.

— A, to ślicznie, doprawdy Nino! — zawołał Tom zwracając się do niej ze straszliwym przekleństwem, — dla czego mię nie prezentujesz? Śliczny sposób przyjmowania brata, którego się trzy czy cztery lata nie widziało! Zupełnie tak, jakbyś się mnie wstydziła! Do stu djabłów, mówię ci, prezentuj mnie!

— Nie mów tak, Tom, — rzekła Nina uspakajając go, i kładąc rękę na jego ramieniu. — To jest pan Klayton. Panie Klayton, — mówiła dalej drżącym głosem, to jest mój brat.

Klayton podał mu grzecznie rękę.

— Pan Karson, — rzekła znów Nina, — mój brat.

Było coś rozczulającego, wzruszającego do głębi serca, w tonie, którym to wszystko mówiła. Oprócz Klaytona, był tam jeszcze jeden człowiek, którego uwagi to nieuszło. Był to Harry, który oddawszy konia pierwszemu lepszemu niewolnikowi, wrócił i stanął we drzwiach. Niebieskie jego oczy błyszczały posepnie, a za każdą razą kiedy Nina wymówiła to słowo „brat“ wstrzymywał oddech, jak człowiek, który gwałtowne wewnętrzne wzruszenie poskromić się sili. —

— Ja wiem, żeście wy tu wszyscy niebardzo kontenci żem przyjechał, — rzekł przybyły, w kapeluszu na głowie siadając wpośród otaczającej do grupy. — Ale

ja mam takie samo prawo znajdować się tutaj, jak każdy inny. Zresztą, zdaje mi się, że krewnych powinny wiązać pewne naturalne uczucia, i że powinny się wzajemnie cieszyć, kiedy się zobaczą. No, a teraz ci panowie mogą się przekonać co się tu święci. To jest moja siostra; — możecie mi panowie wierzyć, że trzy lata mię niewidziała, — a oto, zamiast się cieszyć z mojego przybycia, chowa się po kątach, i ucieka odemnie jakby od zarazy. No,—pójdźże tu ty mała błaznico,—pójdź tu i siądź mi na kolanach.

I chciał Ninę ku sobie pociągnąć, ale ona mu się wymknęła, spoglądając na ciotkę, która bardziej jeszcze jak ona przerażona, z nogami usiadła na sofie, jakby się wściekłego psa lękała. A obiedwie te kobiety miały słuszne powody do strachu, gdyż w pamięci ich, żywo tkwiło wspomnienie okropnych przeżyć, których zawsze stawały się ofiarą, ilekroć Tom do domu zawitał.

Ninie stały w myśli wszystkie te okropne przekleństwa, które przejmowały ją drżeniem, kiedy jeszcze była dzieckiem, — i stanął jój w myśli ojciec, którego widywała nieraz bladego jak śmierć, siedzącego z głową wspartą na rękę, i wzdychającego tak, jak wzdychać mogą tylko ci, co takich jak Tom mają jedynaków. Nie więc dziwnego, że tak wesola i śmiała zwykle dziewczyna, tak się przelęknęła jego niespodzianego przyjazdu.

— Tom, — rzekła łagodnie, zbliżając się ku niemu, — niejadleś jeszcze kolacyi, — niepójdiesz ze mną zjeść co? —

— Nie, niepójdę, — rzekł chwytając ją w pól i sadzając na swoich kolanach. — Już mię ty tu niewyprowadzisz z tego pokoju; ja się na tém rozumiem dosko-

nale. Powiedzno mi Nino, który to z nich, — to jest którego z nich wolisz?

Klayton wstał i wyszedł na werandę, a Karson prosił Harrego, żeby go zaprowadził do jego pokoju.

— Hola! obaj się wynieśli! Nieprawdaż?... Szczerze mówiąc, jestem djabelnie głodny! Niemogę pojąć, co u diabła mój Iim tyle czasy robi? Posłałem go na pocztę, ale mógł być stanąć tutaj razem ze mną. Aha, otóż i on. Hola! sam tu psie jeden! — krzyknął idąc do drzwi, przed któremi właśnie czarniuteńki murzyn zsiadał z konia. — A co? niema żadnych listów?

— Nie Massa, — ja myśleć że wszystkie poczty gdzieś przepaść, bo od miesiąca nikt listów nie dostać. Musi być wielka powódź, i dla tego listy łatwiej zajść gdziekolwiek indziej, niż tam, gdzie powinny.

— Niech wszyscy djabli wezmą! Pytam się ciebie Nino, dla czego niedajesz kolacyi człowiekowi, co się tak zjeździł jak ja. Zdaje się jak gdyby mój przyjazd do ojcowskiego domu wszystkich śmiertelnie poprzestraszał! Żeby mi zaś kolacyi nie dać!

— Ależ Tom, — przecieżem się już trzy czy cztery razy pytała, czy chcesz co jeść!

— To nieszczeście, — szeptał Iim do Harrego, — że on tylko napół pijany; — ja wam powiadać, wy dać jemu tylko trochę więcej wódki, a za chwilkę, my jego tak pięknie zanieść do łóżka, jak tego potrzeba.

I tak się też stało. Tom siedząc przy wieczerzy przechodził kolejno przez wszystkie stopnie pijaństwa. Niebawem stał się o tyle potulnym i czułym, o ile zrazu był kłótliwym; całował Ninę i ciotkę Nesbit, oplakiwał swoje grzechy i spowiadał się ze swoich występków,

plakał i śmiał się na przemiany, i nareszcie zasnął szczęśliwie.

— No teraz już dobrze, — rzekł Jim, który ciągle baczne oko miał na swego pana. — Teraz my go z Masą Harry będziemy wynieść.

Nina z niepokojem w sercu poszła do swego pokoju. Same przykrości i upokorzenia widziała tylko przed sobą, i teraz bardziej niż kiedykolwiek uczuła się samotną. Pod względem rady i pomocy ciotka Nesbit była zupełnym zerem, a wszelkie usiłowania Niny, aby obudzić w niej dla siebie współczucie, były nadaremne.

— Kto wie, mówiła sama do siebie, kładąc się do łóżka, — co jutrzejszy dzień przyniesie? On będzie wedle swego zwyczaju wszędzie chodził, do wszystkiego się wtrącał, będzie mi ludzi przestraszał, a z Harrym niezawodnie zrobi scenę. O mój Boże! jakże to nagle cały ciężar życia mię przytłoczył!

Gdy sobie Nina tak myśli, spostrzega naraz kogoś przy swoim łóżku. Była to Milly, która pochyliwszy się nad nią, z macierzyńską troskliwością otulała ją w kołdrę.

— To ty Milly? O, usiądź przy mnie na chwilkę. Ja taka jestem niespokojna! Dzisiaj dużo miałam zmartwienia! Pomyśl sobie tylko, że Tom taki pijany przyjechał! Ach, Milly, to było coś okropnego! Wystaw sobie, on mnie ścisnął i całował! — Chociaż to mój brat, ale le dwiem to przenieść na sobie potrafiła. Ach, powiadam ci, bardzo jestem niespokojna i smutna.

— O, wiedzieć ja to wszystko, — rzekła Milly, — ja już nieraz była patrzeć na takie rzeczy.

— Najbardziej mię niepokoi to, że niewiem co on jutro pocznie, — i to jeszcze w obecności pana Klaytona! To mi całkiem rozum odejmuje, przejmuje mię wstydem i upokorzeniem!

— Oj prawda, prawda! moje dziecię, potakiwała jęj Milly, głaszcząc ją po głowie.

— Taka jestem samotna, opuszczona, — żaliła się dalej Nina. — Inne dziewczęta mają przyjaciół, lub krewnych, którzy mają nad niemi opiekę, — a ja niemam nikogo!

— A czemu wy nieprosić swego Ojca, żeby on wam pomódz? — rzekła Milly łagodnie.

— Kogo? kogo mam prosić? — zapytała Nina podnosząc głowę z poduszek.

— Swego ojca, — odparła Milly uroczystym głosem. Przecież wy wiecie: „Ojca naszego, który jest w niebiésiech.“ Ja niespodziewać się, żeby wy zapomnieć pa-cierza, moje dziecię?

Nina patrzyła na nią pomięszana, a Milly mówiła dalej:

— Tak, moja duszo, — gdybym ja była na waszém miejscu, to jabym była wszystko swemu ojcu opowiedzieć, — bo on was kochać moje dziecko. On nie bardziej nielubić, jak kiedy wy przyjsz do Niego, i opowiedzieć Jemu wszystko, co was dręczyć, — a On wam już będzie dopomódz. — Ja tak zawsze robić, i dużo razy przekonać się, że to dobrze.

Ależ Milly, przecież niepodobna żebym miała prosić Boga o pomoc w moich drobnych, blachych troskach,

— A to dla czego nie? — Mnie się zdaje że to być wszystko, o co wybyście Go módz prosić!

— To prawda; ale przecie wiesz Milly, że ze mnie pod względem religijnym bardzo niedobra dziewczyna; lata już upłynęły od czasu jakem się modliła. W szkole, dziewczęta wyśmiewały się z tych co się modliły, i ja też dałam temu pokój. A skorom zaniedbywała mego niebieskiego Ojca wtenczas kiedy mi się dobrze działo, tożby niepięknie było uciekać się do Niego teraz, kiedy przyszło na mnie strapienie. Mnie się przynajmniej zdaje, że to nieuchodzi.

— Bóg z tobą moje dziecko! — kto zaś widział tak mówić! Jak gdyby to Ojciec niebieski i tak niewiedzieć, czego wam trzeba, i nie czuwać nad wami zawsze! Czy wy niewiedzieć, że on być dobry pasterz? A dobry pasterz zawsze czuwać nad swemi owieczkami.

— Tak, ale kto tyle lat jak ja, o Nim niepamiętał...

— Posłuchać, moje dziecko, ja wam coś powiezieć. Ja sobie przypominam, że wy raz, kiedy być jeszcze bardzo malutka, zejść po schodach, wymknąć się tym, którzy nad wami czuwać, i zacząłgać się aż tam do lasku. I tam wy zbierać sobie kwiatki i różne rzeczy, które wam w rączki wpaść były. I wy tam długo się bawić, aż papa wasz spostrzedz się i kazać was szukać. Dopieroż to być krętanina! Aż dopiero papa pobiegnać do lasku, i znaleźć was, jak wy stać w błocie, bez trzewieczków, z pokrwapionemi rączkami. Wy tam stać i wołać na swego papę. A to było pierwszy raz kiedy wy na niego po imieniu zawołać. Otóż ja was zapewnić, że on powiadać, że to być najpiękniejsza muzyka, jaką on był szyszeć w swoim życiu. On was wziąć na ręce, przynieść do domu i całować was bardzo. Tak było, tak, moje dziecko. Wy dopiero wtenczas zawołać na

swego pape, kiedy być w strachu. Tak się też i z nami dzieć zwykle. Nie wzywamy naszego Ojca, aż dopiero wtenczas, kiedy nas nieszczęście przycisnąć, a jednak On być tak dobrotliwy, że nas zawsze wysłuchać, ile razy tylko my go szczerze prosić. — Otóż i wy tak zrobić: pomodlić się serdecznie, a potem spać spokojnie.—

I powiedziawszy to Milly, poprawiła jeszcze poduszkę, pocałowała Ninę w czoło, i odeszła.

Rozdział XIII.

TOM GORDON.

— Powiadam ci Nino, — mówił nazajutrz Tom wróciwszy z przeglądu plantacyi, powiadam, ci że ty beżemnie obejść się nie możesz, jeżeli chcesz żeby jaki taki ład był w gospodarstwie. Inaczéj wszystko tutaj w niwecz pójdzie przy tym Harrym, który w szklnięcych bucikach spaceruje sobie tylko na koniu. Ten gałgan oszukuje cię, a o sobie doskonale pamięta. To najgorsze oszusty ci biali Murzyni!

— Nieprawda Tom, ty sam wiesz najlepéj, że plantacya tak jest zagospodarowana, jak sobie ojciec życzył, a stryj John powiada, że z Harrego wyborny gospodarz. Ja znów jestem przekonana, że nikt niemógłby mi być wierniejszym i przychylniejszym jak on, i dla tego jestem z niego zupełnie kontenta.

— O, wierzę, bardzo wierzę!... Ty i exekutorowie testamentu, czy jak się tam nazywają, zapomnieliście widzę, że brat jest naturalnym opiekunem swéj siostry. Ale ja nareszcie przybyłem, żeby ukarać bezczelność tego łajdaka!

— Czyją bezczelność? — Harrego? — O, on weale nie jest bezczelny; to jest owszem człowiek bardzo zacny! Każdy mu to przyznaje.

— Zacny! A to mi się podoba! Czyś ty oszalała Nino, że tym wyrazem nazywasz jednego z twoich Murzynów?... Zacny! no, proszę!... A kiedy on się w pana bawi, pytam się, kto tam pilnuje gospodarstwa? Powiadam ci, że prędzej czy później przekonasz się sama jak rzeczy stoją. Ale ty zawsze tak robisz! Niechcesz mię słuchać, i niezważasz na moje rady!

— Proszę cię Tom, niemówmy już o tém. Ja się nie wtrącam w twoje interesa, więc i ty niemieszaj się w moje.

— A cóż to za jeden ten Klayton, który mi się tu kręci? — Czy on ma ochotę złapać ciebie, czy ty jego? — co? —

— Niewiem, — odparła Nina sucho.

— Ja, bo go cierpieć niemogę, i niepozwolę nigdy, żebyś za niego pójść miała. Ten drugi to co innego, — ten mi się podoba. To jest jeden z najmądrzejszych ludzi w Nowym Jorku. Joe Snider mówił mi o nim; — za tegoś powinna pójść.

— Właśnie za tego nie pójde. Możesz sobie gadać co chcesz, ale ja pójde za Klaytona, jeżeli zechcę, — zawołała Nina, której policzki się zarumieniły. Ty nie masz żadnego prawa przepisywać mi jakieś prawidła postępowania, i powiadam ci z góry, że nigdy na to niepozwolę.

— Hohoho! To widzę gniewać się zaczynamy!

— Proszę cię zostaw tutaj wszystko, jak jest. Pamięę

taj że moi słudzy nie są twoimi sługami, i że niemasz żadnego prawa nad niemi.

— No no no, — dajno pokój! Ja tu niemyślę waleśać się po twojej plantacyi, jakby jaki obcy przybłęda, i jeżeli się twoi Murzyni niewezmą w kupe, to już ja im pokażę, z kim mają do czynienia; — a szczególniej ten Harry! Jeżeli się tylko ośmieli choćby palec zakrzywić wbrew moim rozkazom, to dostanie kulą w łeb, jak dzik, albo kozioł! Ostrzegam cię o tém.

— Proszę cię Tom, niewygaduj też takich rzeczy, — rzekła Nina, naprawdę przestraszona pogroźkami brata, — na co ci się też to przyda, dręczyć mię daremnie?

Wejście Milly przerwało rozmowę.

— Proszę Mis Niny, pójsz i powiedzieć mi, które sukienki muslinowe wzięść, bo ja właśnie krochmalic dla Mis Loo.

Kontenta, że się jej zdarzyła sposobność przerwania rozmowy z bratem, Nina poszła do swego pokoju, a za nią Milly, która zamknawszy drzwi za sobą, poczęła tajemniczym głosem:

— Czy Mis Nina niemódzby co wynaleźć, żeby Harrego wysłać gdzie na parę dni, podczas gdy tu być Master Tom?

— Ależ jakim prawem on śmie mnie, albo moim służącym rozkazywać, i wtrącać się do moich rozporządzeń? —

— Oh, moje dziecię, co tu pomódz o prawie mówić! My wszystkie musieć robić co módz, czy to być wedle prawa, czy nie. To prawda że Harry być wasza prawa ręka, — ale on nienauczony tak jak my drudzy, za wiatrem się wykręcać. On być żywy i prędki jak proch,

a Massa Tom uwziąć się, żeby go drażnić. Ach, mój Boże! moje dziecko, to móż się krwawo skończyć, — doprawdy!

— Czy myślisz, że onby śmiał...

— Dziecię kochane, mnie tego nie mówić! Czyby śmiał! Onby z pewnością śmiał! Zresztą ci młodzi panowie tysiące sposobów posiadać, żeby drażnić i kłuć. A jeżeli krew się wzburzyć, i Harry podnieść rękę, to on go zastrzelić! Wy niepotrafić temu przeszkodzić. Wy niezrobić procesu własnemu bratu, a chociażby zrobić, to i tak Harrego niewskrzesić. O Boże! gdyby ja wam opowiedzieć wszystko na co ja patrzeć!... Ja wam powiadać, żeby wy posłać Harrego z czémkolwiek do waszego stryja, — byleby go posłać; — a wtenczas wy się porządnie rozmówić z bratem, to on może pójść sobie precz. Tylko się z nim niesprzeczać i niesprzeciwiać mu się. Tu niema nikogo coby go cierpieć, a jednak wszysecy mu się kłaniać. Ale moje dziecko, to trzeba zrobić prędko. Ja zaraz Harrego poszukać, a wy pójść do tego małego gabineciku od tyłu. Ja go tam przyprowadzić.

Nina blada i drżąca poszła do gabineciku, a w kilka minut potem ukazała się Milly z Harrym.

— Harry, — rzekła Nina niepewnym głosem, — proszę cię, siądź na konia, i jedź do mego stryja. Zawiesz mu list odemnie.

Harry stał ze skrzyżowanemi na piersiach rękoma i i patrzył w ziemię. Nina mówiła dalej:

— A potem, Harry, ja myślę żeby to lepiej było, gdybyś na kilka dni, albo na tydzień ztąd wyjechał.

— Mis Nino, — rzekł Harry, — mamy właśnie pilną robotę, której trzeba dojrzeć; — jeżeli się o parę dni spóźni, wielkie straty mogą ztąd wyniknąć; a potem może mi ktoś zarzucić, że nie dopilnowałem tego, co do mnie należało, tylko sobie jeździłem po kraju.

— Skoro ja cię posłałem, to wszelką odpowiedzialność biorę na siebie. Widzisz, ja się boję, żeby ci z Tomem niezabrakło cierpliwości. Lękam się o twoje życie, Harry. A więc proszę cię przez wzgląd na mnie zady! sponuj jak najprędzej robotę na kilka dni, i wyjeżdżaj. Ja mu powiem, że cię posłałem za swoim interesem, i napiszę ci list do stryja. To jest najpewniejszy sposób uniknięcia wszystkiego złego; on ma w rękach tyle środków dręczenia cię i obrażania, że cię nareszcie przyprowadzić może do ostateczności, — a zdaje mi się, że on tylko tego pragnie.

— Jakże to przykro, jak to boleśnie, — wyszeptał Harry stłumionym głosem, patrząc ciągle w ziemię, — wszystko porzucać, jedynie dla tego, że nie mam prawa jako człowiek stanąć w obronie pani i jej własności.

— Prawda, że to źle, że to hańba, ale teraz nie czas o tym myśleć. Harry, jedź! — Wzięła go za rękę. — Zrób to dla mnie, — jedź!

Pokój w którym stali, oświetlony był wielkimi oknami, które podobnie jak okna salonu wychodziły na werandę, i z których widać było wijącą się między krzakami, zwirom wysypaną ścieżkę. Harry stał w miejscu, niepewny jeszcze co ma począć, gdy wtém ujrzał Lizetę, niosącą na głowie koszyk świeżo wyprasowanych muślinów. — Zgrabną jej figurkę podnosiła jeszcze niebieska, wcięta w pasie suknia, — na szyi miała

zarzuconą śnieżną białości chustkę, a jedną ręką, pulchniutką, okrągłą, podniesioną w górę, przytrzymywała umieszczony na głowie koszyk. Szła jak zwykle zwa-wo, przyśpiewując sobie przez drogę, i jednocześnie zwróciła na siebie uwagę męża i Tomasza Gordon.

— Dalibóg! To jakieś śliczne stworzenie! — zawołał Tom klasnąwszy w ręce i wybiegł, żeby jęj zająć drogę. — Dzień dobry ci aniołku!

— Dzień dobry panu! — odpowiedziała wesoło Lizeta. —

— Proszę cię, czyjaż ty jesteś, moja śliczna gola-beczko? Zdaje mi się, że cię tu jeszcze nigdy nie-widział

— Jestem żona Harrego, do usług pańskich.

— Tak? doprawdy? A, to on ma djabelnie dobry gust! zawołał kładąc poufale rękę na jęj ramieniu. Ale ramię usunęło się z pod jego ręki, i Lizeta przeszła na drugą stronę ścieżki z minką nadąsaną, z którą jęj było jednak tak ładnie, że się jeszcze bardziej zachwycająca wydała Tomowi.

— Czy wiesz kochaneczko, że ja jestem panem two-go męża? No chodź ze mną! — I chciał ją uchwycić za rękę.

— Puść mnie pan, proszę bardzo, — zawołała z gniewem zarumieniona Lizeta.

— Ciebie puścić? O, nie, nic z tego niebędzie! zwłaszcza kiedy mnie w ten sposób o to prosisz. — I znów położył jęj rękę na ramieniu.

Harry patrzył na tę scenę, chociaż słów jęj dosłyszeć niemógł. Zaciął usta, a oczy szeroko otworzył. Nina,

która stała tyłem do okna, niemogła pojąć co znaczyła ta zmiana na jego twarzy.

— Przypatrz się pani! — zawołał nareszcie. — Widzisz tam moją żonę i swego brata?

Nina obróciła się, i w tej chwili rumieniec oblał jej licę; — zdawało się, że mała jej postać urosła, z ócz jej strzelały iskry, i zanim Harry zdołał odgadnąć co zamysła uczynić, była już na dole, na zwirowej ścieżce, i uchwyciła Lizetę za rękę.

— Wstyć mię za ciebie, Tomaszu Gordon! Milez! Milez! — zawołała rzucając na niego wzrokiem pełnym gniewu i tupnąwszy nóżką. — Ani mi się waź dopuszczać się w moim domu takich swawoli! Niepozwole na to, dopóki jestem tutaj panią, — a jestem nią przecież! Ani mi się waź dotknąć choćby palcem tej kobiety, dopóki zostaje pod moją opieką! Pójdź Lizeto!

Pociągnęła za rękę drżącą kobiecinę, i powiodła ją ku domowi. Tom Gordon tak był zrazu zmięszany niespodzianym wybuchem siostrzynego gniewu, że nie stawiał żadnego oporu. Patrzył za nimi jakiś czas w milczeniu, a potem zaczął z cicha gwizdać.

— A to piękna historia! Ale poczekajno moja pani! Łatwiej to powiedzieć niż zrobić!

I pociągnął się z wolna na werandę, gdzie stał Harry, któremu od wewnętrznego wzburzenia, żyły na czole nabrzmiały.

— Idź Lizeto na górę, — rzekła Nina, — zanieś to do mego pokoju; ja tam zaraz przyjdę.

— Na mój honor, Sir, — rzekł Tom z szyderstwem zwracając się do Harrego, — jesteśmy panu wszyseye

mocno obowiązani, żeś się nam postarał o taką ładną zabaweczkę.

— Moja żona nienależy do tój plantacyi, — rzekł Harry z pozornym spokojem, który go dużo kosztował. Ona jest własnością pani Le Clerc, na którą spadła plantacya Bellewille.

— A, dziękuję za łaskawą informacją! Mogłaby mi kiedy przyjść ochota kupić ją sobie, to dobrze będzie wiedzieć do kogo się udać. A już téż dawno szukam takiego bawidelka. Musi z niéj być dobra gospodyni, nieprawdaż Harry? Umie się zapewne z bielizną obchodzić? Jak myślisz, za wiele by ją téż dostać można? Doprawdy, muszę pomówić z jéj panią.

Strasznie było patrzeć, jaki wpływ słowa te wywarły na Harrego. Zbladł jak trup, ręce mu konwulsyjnie drżały, a wargi stały się całkiem popielate. Stał nieporuszony, ze skrzyżowanemi na piersiach rękoma, i tylko wielkie niebieskie oczy utkwiał nieruchomie w Tomaszu. Jak zwykle w chwilach silnego wzruszenia, rysy jego twarzy przybrały tak uderzające podobieństwo do półkownika Gordona, że Nina spostrzegła to i zadrżała.— Spostrzegł to samo i Tom, ale spostrzeżenie to podnieciło jeszcze gniew jego. Z oczu jego strzelało tyle nienawiści i złości, że okropnie było patrzeć na niego. — Dwaj bracia stali naprzeciwko siebie, jak dwa obłoki ciężarne burzą, z których lada chwila mógł wypaść piorun.

Nina postanowiła zapobiedz temu.

— Prędko, prędko Harry! Ten list bardzo jest pilny! Spiesz się, proszę cię!

— Muszę zawołać mego lima, — rzekł Tom, żeby mi podał konia. Pojadę do Belleville, — któredy to tam trzeba jechać?

Po tych słowach obrócił się niby obojętnie, i zeszedł po schodach.

— Wstydz się Tom! Ty tego nie zrobisz, ty tego nie możesz zrobić! Po co mię to tylko daremnie dręczyć? — zawołała Nina za nim.

On odwrócił się, popatrzył na nią ze złośliwym uśmiechem, i poszedł dalej.

— Harry, Harry! jedź prędko! Niebój się, tu niema żadnego niebezpieczeństwa! — mówiła Nina z cicha. — Pani Le Clerc nigdy na to niezezwoili!

— To trudno zgadnąć, — odparł Harry; — ludzie wiele robią dla pieniędzy.

— No, jeżeli tak, to ja poszlę do niej, i kupię ją sama.

— Pani niewiesz, Mis Nino, jak stoją nasze interesa. Teraz niebyłoby pieniędzy na to kupno, zwłaszcza jeżeli ja się mam na tydzień oddalić; — moja nieobecność wielką różnicę zrobi w dochodach, a tym czasem Master Tom, będzie zapewne w możności zapłacenia natychmiast tysiąc dolarów. — Niepamiętam jeszcze, żeby mu kiedy brakło pieniędzy, kiedy chce postawić na swoim. Wielki Boże! czyż jeszcze niedość długo znośiłem to jarzmo!?

— Harry! Ja wszystko sprzedam co mam, wszystkie kosztowności, — wolę raczej plantacyą zastawić, aniżeli dopuścić, żeby Tom Gordon to zrobił! Ja niejestem taką samolubną, jak się dotąd wydawałam. Ja wiem, że ty ciałem i duszą jesteś mi oddany, — ja to przyj-

wowałam od ciebie dotąd, bo lubiałam żyć wygodnie, bom była zepsutém dzieckiem. Ale obok tego wiem także, że kiedy mię kto rozdrażni, to stać mię na tyle energii co i Toma! Zaraz dziś rano pojedę do niej, i ułożę się z nią. Ale teraz jedź! Ty niemożesz, niepowinieneś znosić takich obelg, jak te, które ci dopiero wyrządzono; — a jeżeli się w końcu zapomnisz, jak to nietrudno mężczyźnie, to wszyscy powstaną na ciebie, i wtenczas już niepotrafię cię obronić. Ufaj mi, — ja już niejestem takiem dzieckiem jak się wydaje. Zobaczysz, że potrafię działać za siebie i za ciebie. Oto widzę tam przechodzącego się pana Klaytona; to właśnie dobrze. Każ nam przyprowadzić dwa konie, pojedziemy niebawem. —

Nina mówiła to wszystko z książęcą godnością, i Harry, mimo swego wzruszenia, niemógł dosyć napodziwiać téj szlachetnej kobiecej natury, która podniecona okolicznościami, tak nagle się rozwijała.

— Tobie pani, — rzekł zwolna, — radbym służyć do śmierci. Ale, — dodał głosem, na który Nina zadrżała, — ale wszystkich zresztą nienawidzę! Nienawidzę tego kraju! nienawidzę praw waszych!

— Harry, Harry! wyrządzasz nam krzywdę! zapomnasz się!

— Ja? krzywdę? Mylisz się pani. Ja należę do ludzi, którzy nikogo skrzywdzić nie mogą! Innym wolno nas szpilkami, nożami kłuć, nogami deptać, wolno nam w twarz pluć, a my musimy to znosić spokojnie! My musimy być wzorem chrześcijańskiej cierpliwości. Ja powiadam pani, że ojciec jój byłby daleko lepiej zrobił, żeby mię był użył jako prostego murzyna do pracy

w polu, niż że mi dał wychowanie, a obok tego zostawił mię bezsilnego pod nogami człowieka, który ma u podobanie mnie deptać.

Nina przypomniała sobie znów ojca w chwilach takich straszliwych uniesień, i podobieństwo jego z tym który stał przed nią, powtórnie ją przeraziło.

— Harry! — rzekła napoły z współczuciem, napoły z wyrzutem, — opamiętaj się, co mówisz! Jeżeli mię kochasz, uspokój się!

— Czy ja cię kocham? O, ty zawsze miałaś me serce w swój mocy! Przywiązanie moje do ciebie, jest kłódką u mego łańcucha. Gdyby nie ty pani, byłbym już dawno albo drogę na północ, albo grób znalazł.

— Otóż Harry, — rzekła Nina po krótkim namyśle, ja niechęć żeby przywiązanie do mnie, miało być kłódką u jakiegobądź łańcucha, — i jak Bóg na niebie, tak cię wolnym uczynię! — Przed najbliższym urzędem zrobię stósowny akt; a mam jednego przyjaciela, który mi w tém dopomoże. No Harry, jedź już, jedź!

Przez chwilę stał jeszcze Harry nieruchomie, a potem nagle przycisnął do ust rękę swój pani i zniknął. Klayton, który się tymczasem przybliżył, spostrzegłszy Ninę zajętą żywą rozmową, zatrzymał się, i czekał na nią pod werandą. — Gdy go Nina ujrzała, wyciągła ku niemu rękę, i rzekła:

— Ach panie Klayton, właśnie pana szukałam. Nie masz pan ochoty przejechać się ze mną?

— I owszem, z całego serca.

— To zaczekaj pan troszkę, — ja za chwilę będę gotowa. Konie nam téż zaraz przyprowadzą. — I pobiegła do domu.

Przyjazd Toma niemiłym był Klaytonowi, który od razu spostrzegł, że brat Niny powziął ku niemu jakąś niewytlómaczoną niechęć, nad której ukrywaniem nie zadawał sobie bynajmniej pracy. Niemówił jednak Nynie o tém, żeby jej niesprawić przykrości, — i owszem oczekiwał zwierzeń z jej strony, bo był pewny, znając jej charakter, że niepotrafi zamilezeć o tém, co ją żywiej obchodzi.

Wkrótce wróciła Nina, siedli na konie i pojechali tą samą drogą, która prowadziła do chaty Tiffa, a od której uboczna ścieżka szła do Belleville.

— Szczęśliwa jestem bardzo, że z panem mogę dzisiaj sam na sam pomówić, — zaczęła Nina, — bo zdaje mi się, że jeszcze nigdy nie czułam tyle potrzeby przyjaźni co dzisiaj. Chociaż wstyd mię wielki tego, co się wczoraj w oczach pańskich działo, jednak kiedy się już stało, wolę z panem o tém obszerniej pomówić. — Smutna to prawda, że mój brat, jakkolwiek go mam tylko jednego, nigdy mię niekochał. Niewiem dla czego? czy z zazdrości że mię ojciec kochał nadewszystko, czy też dla tego, że byłam dzieckiem rozpieszczoném? Ale bądź co bądź, to pewna, że Tom nigdy dla mnie dobrym nie był. Gdybym robiła wszystko tak, jak on mi każe, możeby mię i lubił, — ale cóż, kiedy ja równie jak on jestem uparta. Nigdy zresztą niebyłam pod nim czym dozorem, niepojmuję więc, z kąd on może rościć sobie jakieś prawa do tego, i jak śmie wtrącać mi się tutaj w mój zarząd domowy. Nie jest moim opiekunem i nieżyczyłabym sobie wcale żeby nim był, chociaż go kocham. Otóż widzisz pan, on sobie upatrzył coś do mojego Harrego, i dręczy mię z tego powodu nieustannie.

Zdaje się, że zły duch wstępuje w nich obudwóch, jak się tylko zejda; — a taka w nich jest massa elektryczności, że co chwila obawiam się wybuchu. Niestety Harry otrzymał takie wychowanie, jakie niewielu ludzi z jego klasy posiada, a stanowisko na którym go mój ojciec umieścił sprawiło, że przyswoił sobie całym uczuciem i wyobrażeniem wolnego człowieka; bo zresztą, oprócz Toma, niemasz nikogo w całej naszej rodzinie, ktoby go nietraktował z uprzejmością, a nawet z szacunkiem; i może to właśnie tak gniewa Toma, że przy każdej sposobności stara się go drażnić i upokarzać. Lękam się bardzo, bo zdaje mi się że Tom uwziął się żeby go przywieść do jakiej ostateczności, i drzę ciągle, widząc jakim oni wzrokiem nawzajem patrzą na siebie. Harry niedawno ożenił się z ładną kobietą, która mieszka na plantacyi Belleville; Tom zobaczył ją dzisiaj przypadkiem, i wynalazł zaraz nowy sposób udźwężenia Harrego. Powiedział mu, że pojedzie i kupi ją od pani Le Clerc; aby uspokoić Harrego przyrzekłam mu, że uprzedzę Toma i że ją sama kupię.

— A czy pani sądzisz, że ją jój pani sprzeda? — zapytał Klayton.

— Niewiem. Znam ją tylko z imienia. Jest to Kreolka z Nowego Orleanu, i niedawno dopiero nabyła tę posiadłość. Lizeta o ile wiem, nie zostaje w jój usługach, tylko jój płaci coś miesięcznie, — a że jest pilna i bardzo zręczna w kobiecych robotach, przeto płaca ta dosyć jest wielka. Czyli jednak pani Le Clerc, gdyby jój ofiarowano znaczną summę, nie dałaby się skusić i nie sprzedała Lizety, tego niemożę powiedzieć, dopóki

nie spróbuję sama. Ze względu na Harrego, bardzobym była kontenta, żeby Lizeta została moja.

— Myślisz więc pani, że brat jój mówił to na seryo?

— Bardzo być może; a zresztą wolę się zapewnić na wszelki przypadek.

— Gdyby zachodziła potrzeba natychmiastowej wypłaty, — rzekł Klayton, — to mam właśnie pewną sumę, która mi bez użytku leży w banku, i którą każdej chwili rozporządzić mogę. Wspominam o tém dla tego, że możność natychmiastowej wypłaty, może kupno ułatwić. Pozwól mi pani zatem wziąć udział w tym dobrym uczynku.

— Dziękuję panu, — odrzekła Nina. — Może się bez tego obejdzie; ale w razie potrzeby przyjmę pańską przysługę z równą otwartością, z jaką mi ją pan ofiarujesz.

Po całogodzinnéj prawie jeździe, stanęli nareszcie na gruncie plantacyi Belleville. Nina знаła dawniej tę posiadłość, jako siedzibę jednej staréj, bogatéj rodziny, którą jój ojciec czasami odwiedzał. Nieprzyjemnie ją więc dotknęły ślady zniszczenia i upadku, które obecnie co krok spostrzegać się dawały. Niemasz bowiem nic przykrzejszego, jak widok upadku tego, co z wielką pracą zbudowane i urządzone zostało. To też gdy Nina spostrzegła rozwaloną bramę wjazdną, niedbale zapuszczone krzaki, a w pięknej alei tu i owdzie powycinane drzewa, których na opał używano, niemogła się oprzeć smutnym uczuciom.

— Jak to miejsce zmieniło się od czasu, jakem tu dzieckiem bywała! — rzekła. — Ta pani, jak ona się

tam nazywa, nieszczególnie tutaj widać gospodaruje. —

Podezas tego stanęli przed frontem domu, na którym także widoczne były ślady zaniedbania. Okiennice tu i owdzie na jednym tylko wisiały haku, drzwi pozapadały się w spruchniałe progi, drewniane odrzwia całkiem były stoczone od robaków, bujne krzaki róż, które niegdyś pięły się wysoko, teraz puszczone w poniewierkę wały się po ziemi. Weranda zapelniona była różnego rodzaju starami gratami; ordynaryjne skrzynie drewniane, siodła, lejce, surduty, i mnóstwo innych przedmiotów, które trudnoby nawet było nazwać po imieniu, służyły za wyborne schronienie gromadzie dzieci murzyńskich, i trzem albo czterem psom, które się wśród tego chaosu w krycie bawiły.

Skoro ujrzały Ninę z Klaytonem zajeżdżających przed dom, porzuciły swoje zabawę i otoczyły ich do koła, patrząc na nich z głupowatym uśmiechem.

Żadnemu z tych czarnych djabelków niepostało nawet w głowie, żeby potrzymać konie, albo przynajmniej odpowiedzieć na pytania, które im zadawali przybyli. Patrzyły tylko to po sobie, to po nich i śmiały się. Nareszcie na głośnie wołanie Klaytona, ukazał się jakiś obtargany sługa, w połowie słomianego kapelusza na głowie, i wziął konie, rozdzieliwszy wprzód między dzieci porządną porcyą kuksów i szturchańców, którym towarzyszyły gniewne wykrzykniki: „Osły jedne jakieś!“ Czemu to niezaprowadzić tych państwa do pokoju!“ — W skutek tych admonicj, cała gromada towarzyszyła Ninie i Klaytonowi do pokoju, leżącego po prawej stronie wielkiej sieni. Wszystko w tym pokoju zdawało się być w jakimś połowicznym stanie. Część firanek była na-

pół zawieszona w oknach, a reszta umięta w wielki kłab, leżała na stołku. Zbutwiałe, wybladłe obicie podstawiane od ścian, tu i owdzie było pozdzierane, jak gdyby miano zamiar zastąpić je nowém, a zwoje nowego kosztownego obicia, leżały na stole wśród resztek jakiegoś śniadania, które reprezentowało kilka powalanych talerzy, kilka kawalków chleba i séra, kilka nieczystych szklanek i kilka próżnych z wina butelek. — Trudno było znaleźć w całym pokoju tak czysty stółek, żeby na niem usiąść można było bez obawy. Nina oddała swój bilet jednemu z chłopców, któremu, gdy już był w pół schodów wiodących na górę, przyszła nagle myśl, magnięcia kilku koziołków z góry na dół. Przy tym manewrze upuścił naturalnie bilet, a cała czarna gromada rzuciła się na niego, rękami i nogami walcząc na zabój o zaszczyt odniesienia go pani. Koniec tej walce położył dopiero ów człowiek w połowie słomianego kapelusza, który wszedłszy, na wyraźne żądanie Niny rzucił się w tę czarną kupę mrówek i ów nieszczęśny bilet zdobył szczęśliwie, poczem udał się z nim na górę, zostawiwszy Ninę i Klaytona w oczekiwaniu.

Po chwili wrócił.

— Missis prosi młodéj damy.

Nina poszła tedy za nim, zostawiając Klaytona na całą godzinę wyłącznym całego pokoju posiadaczem. Nareszcie wróciła, biegnąc szybko po schodach.

— Interes zrobiony! — zawolala. — Akt kupna podpisany zostanie jak tylko go przyszlemy.

— Lepiej będzie, że ja go sam tutaj przywiozę, i rzecz tę ostatecznie załatwię.

— Niech i tak będzie. Ale teraz jedźmy ztąd copędzj. Czy widziałeś kiedy tak niemile miejsce? A ja przecież pamiętam, jak tu był prawdziwy raj, w którym najprzyjemniejsi w świecie ludzie mieszkali.

— Opowiedz mi Pani z łaski swojej, jak pani znalazła panią Le Clerc? — zapytał Klayton, gdy już ruszyli z powrotem.

— No, powierzchowność jęj nie nader zajmująca. Jest to osoba wysoka i blada, zdaleka czuć od nięj tabakę, a suknie na nięj wyglądają tak umięte, jakby świeżuteńko wydobyte z tłómoka. Głowę miała owinięta pstrą chustką z Madras, a po francuzku mówiła trochę bardziej przez nos, aniżeli zwykle mówią Francuzi. Żółta jedwabna chustka do nosa którą trzymała w ręku, zdaje się być w wielkięj u nięj cenie. Biedaczka! powiadała mi, że przez cały tydzień cierpiała na zęby, i że przez cały ten czas ani oka niezmrużyła; to także trochę na względy zasługuje. Zresztą ci Francuzi są zawsze nader uprzejmi, zawsze *ravis de vous voir*. Pani Le Clerc pórzucała mnóstwo różnego rodzaju rupieci, z jakiegoś starego popsutego krzesła, żebym miała gdzie usiąść. W pokoju u nięj zupełnie taki porządek jak i w całym domu: wszystko w nieładzie. Tłómaczyła mi się tém, że niemoże dostać robotników. Biedaczka! tęschni za swoim krajem rodzinnym, i radaby napowrót do Luziany. Bo pomimo tego że zażywa tabakę, i pomimo swojej żółtęj chustki jedwabnéj, posiada ona wiele uczucia piękności, i mówiła z wielkim zapalem o oleandrach, o mirtowych drzewach i o jaśminach, które rosną w jęj ojezyźnie.

— I jakżeś sobie pani z nią poczęła, co się tyczy interesu? — zapytał Klayton, na którego usta opowiadanie Niny uśmiech wywołało.

— Ha, cóż? Ja sztukowałam jak mogłam moją francuzczyzną, a ona swoją angielszczyzną. Potem opowiedziałam jej bardzo czułą historią o miłości Harrego i Lizety, bo wiem że Francuzi nadzwyczajnie lubią czułe historie. Pocziwa kobiecina rozezuliła się na prawdę i poczęła sobie ocierać małe czarne oczki, i nos sokoli, co ja naturalnie uważałam za skutek swojej wymowy; — nazywała Lizetę „*mon enfant mignon*“ — i powiedziała mi przy téj sposobności mały traktacik o tkliwych uczuciach, który sobie na własny użytek w pamięci zachowam.

— Czy tak? rzekł Klayton; — a niebyłabyś Pani tak łaskawa powiedzieć mi go chociaż w treści.

— O, co z tego, to nie nie będzie! Ale wiesz pan: jestem w wybornym humorze, że mi ten interes tak dobrze poszedł, i żem już ten smutny dom straciła z oczu. Niepojmuję, czém się to dzieje, że u nas im dalej ku południowi, tém wszystko w oplakańszym jest stanie. Uważałam to przejeżdżając przez Wirginią; na północy całkiem jest inaczej. Raz w czasie feryj byłam w New-Hampshire. To jest bardzo nędzna okolica; same tylko kamieniste pagórki i grunt nadzwyczaj jałowy, a jednak ludzie mają się tam tak dobrze. Mieszkają w ładnych, czystych, białych domkach, Wszystko do koła wygląda tam schludnie i dostatnio. A przecież kraj ten niejest ani przez połowę tak żyzny jak nasz; miejscami niema tam nie tylko lite kamienie, a zima trwa tam podobno blisko przez dziewięć miesięcy. Ale te *Yankesy* umieją

ze wszystkiego korzystać. Jeżeli który z nich ma pole kamieniami pokryte, to pewnie znajdzie sposób korzystnego sprzedania tych kamieni; — a w zimie, kiedy prawie całkiem zamarzną, to sprzedają lód i z niego nawet ciągną zyski. Oni prawdziwie żyją właściwie z tego, co stanowi ich niedostatki.

— A my ubożejemy, trwoniąc to, czego mamy do zbytku, — rzekł Klayton.

— Są ludzie, którzy uważają za zbrodnią, jeżeli ktoś zostanie abolicjonistą, — mówiła dalej Nina. A jednak ja się muszę przyznać, że mam wielką ochotę zaciągnąć się pod abolicjonistowską chorągiew. Może to dla tego, że mam w sobie jakiegoś ducha przeciwieństwa i przekory, który mię ciągle podusza, żeby iść wbrew ogólnemu zdaniu. Jeżeli mię pan niewydasz przed nikim, to panu coś powiem. Ja nie apróbuję niewoli.

— I ja także, — odparł Klayton.

— Jakto? doprawdy? I pan także? — No, a ja myślałam, że powiem coś oryginalnego. Niedawno, gdy u ciotki Nesbit był pewien duchowny, usłyszałam przypadkiem, jak jedno z nich między innymi mówiło: „Co to jednak za szczęśliwe zrządzenie Opatrzności, że tutaj sprowadzono tych biednych Afrykanów, — bo tym sposobem światło prawdziwej wiary ujrzeli!“ — Żeby się tedy z nimi troszkę posprzeczać, ośmieliłam się powiedzieć, że o ile mi się zdaje, to oni daleko prędzej nas zrobią poganami, aniżeli my w nich prawdziwie chrześcijańskiego ducha zaszcześcić potrafimy.

— Co to, to prawda, — rzekł Klayton. — Nieulega żadnej wątpliwości, że ludzie ci w ten sposób, jak dotąd traktowani, zachowają wiecznie skłonność i chęć

powrotu do barbarzyństwa, a obok tego wiecznie stanowiącą będą przeszkodę w rozwijaniu się i kształceniu ludzi białych. Na nieszczęście prawa nasze niezmiernie są zniesieniu niewoli przeciwne. Jednak Bóg tylko wie co przyszłość nam gotuje; dla tego każdy właściciel powinien na to mieć baczość, i niewolników swoich tak powinien prowadzić i kształcić, aby ich wszelkie zmiany nastąpić mogące, niezastały nieprzygotowanemi. Ja przynajmniej tak staram się postępować na mojej plantacyi.

— Doprawdy? — zawołała Nina — patrząc na niego z wielkim interesem. — Ale to przypomniało mi właśnie, o czém chciałam z panem pomówić. Właściwie mówiąc, o innych moich niewolników spokojniejsza jestem na sumieniu, bo wiem, żeby im nigdzie lepiej nie było jak u mnie; — ale mi idzie głównie o Harrego! To człowiek wykształcony, i przekonana jestem, że gdzieś indziej znalazłby dla siebie otwartą karierę. Już mi to i dawniej nieraz przechodziło przez głowę, — ale teraz namyśliłam się stanowczo; — chciałabym przed najbliższym urzędem poczynić stósowne kroki, i udarować go wolnością. Będę przytém potrzebowała pańskiej pomocy, bo się nieznam na tych wszystkich prawnych formalnościach.

— Z ochotą ofiaruję pani moje usługi.

— Dziękuję panu. Ale ciekawam co też Tom powie, jak zobaczy, że m go tak zręcznie uprzedziła. Będzie zły zapewne.

— Może on też niebrał tego na seryo, i mówił tylko tak, — ot poprostu, byle mówić.

— I jabym myślała tak samo, gdybym niewiedziała jak on niecierpi Harrego.

W tej chwili usłyszeli zbliżający się ku nim tentent koni, i wkrótce ujrzeli Tomasza Gordon jadącego konno w towarzystwie człowieka, z którym żwawą prowadził rozmowę. Człowiek ten miał coś w rysach swojej twarzy, co w Ninie na pierwszy rzut oka, wstręt ku niemu obudziło. Był on niski i dobrze zbudowany, ale chudy; kontur jego twarzy składał się z samych linii prostych i kątów ostrych, czarne a gęste włosy i brwi jego, stanowiły szczególny kontrast, z wodnistymi, jasno niebieskimi oczkami. Nina zauważała, że w spojrzeniu jego było coś twardego, zimnego. Chociaż powierzchowność jego oznajmiała w nim człowieka światowego, jednak z pod niej przebijała jakaś gwałtem wydobywająca się na wierzch dzikość, — podobna słojom niektórych drzewa gatunków, których żadna politura pokryć niezdola. —

— Dzień dobry Nino, — rzekł Tom, zwracając ku niej swego konia. — Pozwól przedstawić sobie mego przyjaciela, p. Jekyl. Jedziemy razem do Belleville.

— Przyjemnej podróży, — odrzekła Nina, i trąciwszy konia szpicerem, ruszyła dalej. — Po chwili zwracając się nagle do Klaytona, rzekła porywczo:

— Niecierpię tego człowieka!

— Któż to jest? — zapytał Klayton.

— Niewiem. Pierwszy raz go widziałam, ale go niecierpię. To jest jakiś niedobry człowiek. Wolałabym węża ujrzyć przy sobie, aniżeli jego.

— No, wprawdzie twarz jego nie jest bardzo ujmu-

jąca, ale nierozumiem, czém mógł sobie zasłużyć na nienawiść u Pani?

— Toma złość, — mówiła Nina, jakby niezważając na słowa swego towarzysza, — pochodzi ztąd, że dobre przymioty, jakie w nim były, na złe obrócono. To jest wino w ocet zamienione. Ale co ten człowiek, to nigdy niewiedział pewnie, co dobre.

— Jak pani możesz mówić z taką pewnością o człowieku, którego pani po raz pierwszy widziałaś?

— A, czy to pan niewiesz, — odrzekła Nina wracając do zwykłej wesołości, — że psy, dziewczęta i inne tego rodzaju podrzędne istoty, posiadają własność przeglądania ludzi na wylot? Panom, odmówił Bóg tego daru, zostawiając go wyłącznie nam biednym stworzeniom, które tylko na nasz instykt rachować możemy. Strzeż się pan zatem!

I to mówiąc spojrzała na niego czarującym, nawpół żartobliwym wzrokiem.

— A co? czyś mię pani już przejrzała?

— O, ma się rozumieć! — odparła Nina z energią. Ja pana przejrzałam od pierwszego widzenia, — i dla tego...

Klayton nie mogąc ukryć wzruszenia, które nim miało, spojrział na nią bystrym, pytającym wzrokiem. Ona zająknęła się, zaczerwieniła, a potem śmiać się zaczęła.

— Dla tego... Nino?

— Dla tego myślałam sobie zawsze, że pan jesteś taki poczeiwy, poważny człowiek, iż weale dla nas dziewcząt nie jesteś niebezpieczny, jak tylu innych. I dla tego miałam zawsze do pana wielkie zaufanie. To samo uczucie które mi powiada, żebym niewierzyła temu

oto człowiekowi, powiedziało mi wtenczas, że panu za-
wierzyć mogę.

— A ja tak jestem szczęśliwy z tego wyszczególnie-
nia, że bardzo by mi było przykro, gdybym zachwiał
kiedykolwiek w pani to zaufanie. Jednak mimo tego,
niemogę się na to zgodzić, ażeby taki sposób sądenia
o ludziach, można uznać za nieomylny. Może być, że
instykt jest czémś więcej, aniżeli pospolicie mniemamy,
ale jest on zawsze równie omylny, jak nasze uczucia...

— Wszystko to być może, — rzekła Nina, — ale je-
dnak ja niewierzę, żebym tego człowieka innym kiedy-
kolwiek znalazła. Mimo tego, ażeby mu dać sposobność
zasłużenia sobie u mnie na inną opinią, przyjmę go bar-
dzo grzecznie, gdy wróci z Tomem na obiad. To jest
wszystko, co mogę zrobić dla niego.

Rozdział XIV.

STRATA CIOTKI NESBIT.

Gdy Nina za powrotem wchodziła do domu, u drzwi spotkała ją Milly ze smutną twarzą.

— Mis Nino, wasza ciotka złe nowiny była usłyszeć dziś rano.

— Złe nowiny? — zawołała Nina żywo, — jakto?

— A tak, najslodsze dziecię! Był tu jakiś adwokat, mówiła Milly idąc za Niną po schodach, — i ona całe rano była się z nim zamknąć, a gdy wyjść, to ja zaraz widzieć, że ona okropnie wyglądać. Ona powiedzieć, że stracić cały swój majątek!

— Ach, i to wszystko? — zapytała Nina. — Doprawdy, niemogłam się domyśleć co się to mogło stać tak straszego; ale kiedy tak, to nic wielkiego się nie stało. Ona niewiele miała do stracenia.

— Bóg z wami, moje dziecię! Nikt nie tracić z ochotą wszystkiego co mieć, — czy to mało, czy dużo.

— Zapewne. Ale przecież wiesz że ciotka zawsze sobie tutaj mieszkać może, dopóki tylko zechce, — a tę

trochę pieniędzy, których jój trzeba na czepeczki i pastylki, to także może mieć odemnie.

— Ach! Mis Nina, wasze serce być dobre, — wybyście drugim rozdarować tęczę z nieba, gdyby ją mieć; ale to nieszczęście, że wy jój niemiec. — Tak, tak, moje dziecię, wielka posiadłość, a tyle ust, co się otwierają i chcą jeść i pić, — ja wam powiadać: dużo to trzeba na to, żeby to wszystko utrzymać. A Harry ciężko pracować, żeby wszystko z roku na rok w porządku utrzymać, chociaż wam nieopowiadać o swoich kłopotach. — Onby chcieć, żeby wy zawsze iść po kwiatach, z pełnemi rękoma, a niepytać się, z kąd się to brać. Ja to już dawno chcieć wam powiedzieć; — my musimy trochę o was pomyśleć, — i ja wam powiadać, że ja pójść się wynająć. —

— Śmieszna jesteś, Milly.

— To niebyć nic śmiesznego. Wy sami przekonać się Mis Nina! Mis Loo, to być jedna, — ja, to dwa, — Polly, taka duża dziewczyna, to być trzy, — Tomtit, to być cztery. Otóż my czworo wasz chleb jeść a niezarabiać ani grosza; bo my nie więcej prawie nierobić, tylko ciotkę Nesbit obsługiwać. Wy mieć dosyć sług, żeby oni wszystko w domu zrobić, co trzeba. Ja wiedzieć że młode damy nie lubić tego słuchać, ale jednak to być prawda, że jedzenie dużo kosztuje, — to też każdy na nie zarabiać powinien. Ten pan który tak długo mówić z ciotką Nesbit, powiadać, że on w mieście wiedzieć dobre miejsce dla mnie, — otóż ja tam pójść. Sally już być dosyć mocna, żeby około Mis Loo zrobić to wszystko, co ja dotąd robić; a potem żeby prawdę powie dzieć, mnie się zdaje, że Mis Loo życzyć sobie, żebym

poszła. — Ona taka być słaba, — nic nie robić, tylko siedzieć tam w swojém krześle i wdychać. Ona przyzwyczajona być od dawna do moich usług, a jednak jak ja jęj powiedzieć co ja cheieć zrobić, to ona się bardzo ucieszyć.

— Ale cóż jabym poczęła Milly? Ja się bez ciebie obejść niepotrafię! — zawołała Nina.

— Bóg z wami, moje dziecię! Cóżto, wy myśleć, że ja niemiec oczu? Ja się być dobrze przypatrzeć temu panu, i mnie się zdawać, że on dla was być w sam raz.

— E! idźże sobie, — cicho bądź!

— Wy wiedzieć, że nasi ludzie nie każdego zaraz lubić, kto tylko przybyć na naszą plantacyą; a jednak o nim, to wszyscy bardzo dobrze mówić. Kiedy nawet stary Stólatek mnie powiedzieć, iż mu się zdawać, że być na nabożeństwie, kiedy był słuchać, jak on czytać modlitwę. Ja przecież znać dużo bogatych i pięknych panów, i bardzo przyjemnych, — a jednak ludzie ich niecierpieć, — dla czego? Bo oni tylko krzyceć, pić, i pieniądze trwonić bez potrzeby, — a potem przyjść szeryf, i ludzie być sprzedani na licytacyi. Ale pan Klayton nie być taki.

— Moja Milly, to wszystko może być prawda; ale jeżeli ja go nie kocham?..

— Oh, Mis Nina! Wy módz patrzeć mi w oczy, i tak mówić? Toć was nie trudno przejrzeć. To tak być rzeczywście. Wszyscy ludzie tego już być pewni. A zresztą Mis Nina, wam trzeba męża, coby się wami opiekował. Dla dziewcząt ciężkie być życie na plantacyi, zwłaszcza gdy mieć takiego brata jak wy. Jakby wy mieć męża, to Master Tom siedziećby cicho, i wiedzieć

że nie nie wskórać; ale dopóki wy być sama, on was nigdy dręczyć nie przestać. Ale to już czas być, żeby wy się ubrać do obiadu.

— A, o małym ci nie zapomniała czegoś powiedzieć, — rzekła Nina; — byłam na plantacyi Belleville i kupiłam żonę Harrego.

— Doprawdy? wy to zrobić Mis Nina? Niech was Bóg za to błogosławić! Harry bardzo się dzisiaj zmarzwieć tem co Master Tom powiedzieć.

— No, teraz już rzecz skończona, — mam zakwitowanie w kieszeni.

— Ależ, moje dziecię, zkad wy wziąć tak prędko tyle pieniędzy?

— P. Klayton mi pożyczył, — odrzekła Nina.

— P. Klayton? Aha, czy ja nieprawdę powiadać? Ja pewna być, że wyby niepożyczać od niego pieniędzy, żeby wy go nie kochać. No, ale trzeba się spieszyć. Oto właśnie Master Tom i ten pan powracać, — wam trzeba zejść na obiad.

Towarzystwo, które się zebrało przy obiadowym stole, nie nader było ożywione. Tom Gordon dowiedziawszy się o psocie, którą mu siostra wyrządziła, był w humorze jeszcze zgryźliwszym i drażliwszym niż zwykle, chociaż zanadto był dumny, żeby się miał zdradzić, co było tego przyczyną. Ninę niepokoiła obecność pana Jekyl, który na usilne prośby Toma został się był na obiedzie. Ciotka Nesbit była naturalnie w nienajwesojszem także usposobieniu. Klayton, który w towarzystwie mięszaném odgrywał zwykle rolę raczej słuchacza, aniżeli mówiącego, był prawie całkiem milczący, i gdyby nie Karson, pytanie, czyby się był kto przy stole choć-

by ze słówkiem odezwał. Każde stworzenie na świecie na coś się przydać może, i są chwile, w których gaduła jest prawdziwem błogosławieństwem. Niewinna ta klasa ludzi, na których humor drugich nierobi zwykle żadnego wrażenia, i którzy z niesłychaną lekkością prześlizgiwać się umieją po ciasnych ścieżkach wymuszonej rozmowy, a to z tej prostej przyczyny, że nie mają najmniejszego poczucia towarzyszących jój trudności, — ta mówię klasa ludzi, ma także chwile swojej świetności. To też Nina niezmiernie czuła się teraz obowiązana p. Karsonowi za to ustawiczne jego paplotanie, które ją przedtem do rozpacz przywodziło. Karson z wielkim zapalem rozprawiał z adwokatem o wartości dóbr ziemskich, o stopie procentowej i tam dalej; ciotkę Nesbit łązał za to, że się przeszłej nocy zaziębiła przez nieostrożność; Toma prześladował z powodu jego zamyslenia; Ninie powiedział coś pięknego *à propos* wpływu jaki na nią wywarła konna przejażdżka, — słowem, tak zdawał się być kontent z siebie i z całego świata, iż powoli wesołość jego poczęła i drugim się udzielać.

— Jak pan uważasz, — w jaki sposób użyte kapitały najlepiej się procentują? Czy ulokowane w ziemi, czy jak? — zapytał pana Jekyl.

— O nie, — odparł tenże, wstrząsając głową. — Ziemia tutaj zanadto prędko się wyczerpuje; a zresztą co to kłopotów z temi dozorcami, co tu innych niedogodności. Ja tę rzecz dobrze już rozważyłem, i kapitały moje lokuję w Murzynach.

— Doprawdy!? — zawołał p. Karson.

— Tak, mój panie, tak; lokuję je w Murzynach, których zakupuję, a potem ich wynajmuję. Widzisz pan,

gdy kto zna naturę ludzką, gdy wie kiedy i gdzie najlepiej kupować, gdy się tylko pilnuje, to pieniądz jego przynosi mu w ten sposób daleko większe korzyści, aniżeli w każdy inny. Mówilem to dzisiaj Mrs. Nesbit. Dajmy na to, żeś pan dał tysiąc dolarów za człowieka, — bo ja przynajmniej kupuję zawsze ludzi w najlepszym gatunku, gdyż to jest czyste wyrachowanie. A więc dobrze; taki człowiek, lekko rachując, zarabia miesięcznie najmniej dziesięć dolarów, a prócz tego na własne utrzymanie; masz pan już zatem ładny procent od swoich pieniędzy. Ja, bo mam wielki talent do kupowania, — a nadewszystko przekładam rzemieślników. Mam teraz trzech murarzy, którzy mi niemało zarabiają, mam także dwóch cieśli pierwszej klasy, a w zeszłym miesiącu kupiłem koronę wszystkich kowali. Jest to człowiek niezmiernie zręczny, i najmniej piętnaście dolarów miesięcznie przynosić mi będzie; a tém cenniejszy jeszcze, że pobożnie wychowany. Widzisz pan, wielu z pomiędzy nich oszukuje bardzo swych panów; ale ten pochodzi z okolicy, gdzie był jakiś misyonarz, który starannie wpoił w niego religijne zasady. Ręczę, że mu ani przyjdzie do głowy, żeby mnie choćby na złamany szeląg oszukać. Kiedy się zejde z ludźmi, którzy są przeciwni religijnemu wychowaniu Murzynów, przytaczam go zawsze za przykład, i mówię: „Patrzenie, jakie to pożytki bojaźń Boża przynosi tu na ziemi.“ Pani znasz Pismo Śte, nieprawdaż Mrs. Nesbit?

— Tak jest, — i zawsze byłem za religijnem wychowaniem.

— Eh! głupstwo! — zawołał Tom. — Ja nie jestem za tém! Nie rozumiem na co się przyda, robić z nich ja-

kaś szajkę hipokondrycznych świętoszków. Już ja i bez tego potrafię moich Murzynów nauczyć, co to jest mnie oszukiwać. Oni temu wszystkiemu co im się mówi nie wierzą, a to „religijne wychowanie“, to ich tylko obłudę uczy.

— Przepraszam, — odparł nieustraszony p. Jekyl — rzecz się ma całkiem przeciwnie, zwłaszcza kiedy wychowanie to gruntuje się na prawdziwych zasadach. Trzeba tylko Murzyna wziąć za młodu, i opracować go jak należy, a praca ta sowiec się potém nagrodzi. Gdy religijne wychowanie poczęto wprowadzać w użycie, panowało u nas wielkie przeciw niemu uprzedzenie; obawiano się szczególnie tego, że Murzyni staną się nauką swoją dumni. Ale widzicie państwo, Misyonarze bardzo sobie rozsądnie postąpili w tej mierze. Albowiem prawa panów tak wysoko umieli podnieść w katechizmie, iż cała ich nauka na tém się zasadza, że panowie w miejscu Boga są nad nimi przełożeni.

— Przeklęte matactwo! — zaklął Tom.

Rozmowa, do której w końcu przyłączył się i Klayton, ożywiła się coraz bardziej. P. Jekyl obstawał uporczywie przy swoich twierdzeniach. Tom utrzymywał, iż najlepszymi środkami utrzymania w porządku niewolników, są kij i koniec lufy; Klayton rozwijał swoje teorie i przekonania w tym przedmiocie, któreśmy już na początku powieści w rozmowie jego z Frankiem Russel poznali. Kobiety także niekiedy brały udział w tych rozprawach; Mrs. Nesbit stawała po stronie pana Jekyl, dla tego, że on był przełożonym nad kościołami, a Nina oczywiście widziała wszystko oczyma Klaytona. Na-

reszcie obie powstawszy, dały znak do rozejścia się wszystkim.

Gdy się Nina sam na sam z Mrs. Nesbit znalazła, zawołała z twarzą promieniejącą:

— A co ciociu? jak on ślicznie mówił! jak szlachetnie! A ten obrzydły Jekyll! To nizezemny człowiek!

— Dziecko! zdumiewasz mię swoją mową! P. Jekyll jest bardzo zacyjny adwokat, a do tego przelożony nad kościołami, i bardzo pobożny człowiek. Jak on mi wybornie poradził w moich interesach! Milly weźmie ze sobą i da jej doskonałe miejsce. Zrobił on także pewne odkrycie, o którym będzie z tobą mówił po obiedzie; jak mi powiadał, to wynalazł nad brzegami Mississipi jakąś posiadłość, wartającą sto tysięcy dolarów, która ma być twoją prawną własnością.

— O, już ja tam temu wszystkiemu niewierzę! Ja cierpieć nie mogę tego człowieka! Nienawidzę go! Nie chcę słyszeć tego wszystkiego co on mi ma powiedzieć Ja mu nieufam!

— Nino! wiele razy ja cię téż upominałam o to, żebyś się przedwcześnie przeciw nikomu nie uprzedzała,— a cóż dopiero przeciw takiemu pocziwemu człowiekowi.

— Już mię tam ciocia nigdy nieprzekona, żebym uwierzyła w jego pocziwość, chociażby dwadzieścia razy był przelożonym nad kościołami.

— Daj téż pokój, moje dziecko! A w każdym razie wysłuchaj przynajmniej co ci p. Jekyll powie! Tom by się ogromnie gniewał, gdybyś tego nie zrobiła; zresztą jest to istotnie rzecz wielkiej wagi. A tyś jednak powinna starać się, niedrażnić Toma o ile możności.

— To prawda, — rzekła Nina; — no, to już go wy-

słucham; przemogę się i będę go traktować najlepiej jak tylko potrafię. Ale zawczasu cieszę się na chwilę jego ztąd odjazdu. Niewiem dla czego, ale rozprawy jego daleko gorsze na mnie robią wrażenie, aniżeli wszystkie przekleństwa Tomasza!

Za całą odpowiedź, ciotka Nesbit politowania pełnym wzrokiem spojrzała na Ninę.

Rozdział XV.

ODKRYCIE PANA JEKYL.

Gdy panowie wrócili do salonu, Nina na wezwanie brata poszła z nim i z p. Jekyl do biblioteki.

— P. Jekyl, — tak Tom zagaił posiedzenie, — chce nam udzielić pewnych wyjaśnień, dotyczących się naszej posiadłości nad Mississipi, — a jeżeli rzeczy tak się mają jak on utrzymuje, byłby to dla nas interes wielkiej wagi.

Nina rzuciła się niedbale w skórzane krzesło poręczowe, i obróciła głowę ku oknu.

— Łatwo państwo pojmiecie, — zaczął p. Jekyl, usiadłszy także, i z miną pełną znaczenia, poprawiając sobie wykrochmalone kołnierzyki, — że mnie, który przez długi czas prowadziłem interesa waszego ojca, i ztąd znam dokładnie wszystkie wasze stosunki familijne, stosunki te bardzo interesują. Czy przypominacie sobie tedy państwo, że siostra waszego ojca, Mrs. Stewart, po śmierci swego męża, odziedziczyła znaczną posiadłość nad brzegami Mississipi?

— Przypominam sobie, — rzekł Tom, — mów pan dalej.

— Otóż ona umierając, cały majątek zostawiła synowi. Ten, jak się to często młodym ludziom przytrafia, żył w nagannym związku z jedną ładną Kwadronką, która była pokojówką jego matki. Była to dziewczyna przebiegła, jak wiele dziewcząt jej rasy, i tyle na nim wpływem swoim wymogła, że ją zawiózł do Ochio, ożenił się z nią, i miał z nią dwoje dzieci. W Mississipi wystawił dla niej kartę wolności, a przybywszy z nią do Ochio, uczynił ją wolną, wedle praw w tém państwie obowiązujących. Tak rzecz urządziwszy, rozumiał, że ją całkiem ubezpieczył, i ona myślała tak samo. Widać, że to musi być kobieta przebiegła, i z nielada charakterem, gdyż inaczej niepotrafiłaby była rzeczy do tego stopnia doprowadzić; bo uważacie państwo, on przed sześciu miesiącami umarł i zostawił jęj i jęj dzieciom posiadłość ową i cały majątek, a ona była tak pewna siebie, iż rzeczywiście zajęła to wszystko w posiadanie. Jest ona tak podobna do białych kobiet, że nikomu na myśl nieprzyjdzie, widząc ją, iż rzecz ma się inaczej; zresztą ludzie po większej części zapomnieli o wszystkiem, i są pewni, że ona jest białą kobietą z Ochio; — i byłoby już wszystko przepadło, gdybym ja niebył zajechał przypadkiem w tamte strony. Widzicie państwo, ona wypędziła od siebie jednego dozorcę, zato, że się ludzie na niego skarżyli. Zeszedłem się raz z tym człowiekiem, a gdy mi zaczął opowiadać swoją historią, po kilku zapytaniach doszedłem, kto ona jest rzeczywiście. Udałem się tedy zaraz do jednego z pierwszych adwokatów, bo niebyłem pewny siebie. Przejrzeliśmy razem wszystkie ustawy o emancypacyi, i przekonaliśmy się, że jęj karta wolności jest zupełnie nie-

ważną. Oczywiście zatem rzecz, iż tak ona jak jój dzieci, tak dobrze są niewolnikami, jak każdy inny niewolnik na plantacyi, i że cały spadek dochodzący wartości stu tysięcy dolarów, jest prawną waszjéj familii własnością. Pojechałem na miejsce, żeby wszystko z bliska obejrzeć, przedstawiłem się jój i jój dzieciom, i przekonałem się, że ona jako własność, wysokiéj jest wartości. Ma ona przeszło lat czterdzieści, ale niktby nie powiedział że jest starsza nad dwadzieścia siedem, do dwudziestu ośmiu. Jest to kobieta bardzo ładna, a jak mi powiadano, bardzo uzdolniona, i można ją śmiało otaxować na tysiąc, do tysiąca pięciuset dolarów. Smalley powiadał mi, że nieraz był świadkiem, jak daleko podlejszy towar sprzedawano po dwa tysiące dolarów sztuké; ale to mogło się chyba stać przy pomocy fałszywych dokumentów co do wieku. Oprócz tego, jest jeszcze dwoje dzieci, tak ładnych jak rzadko widzieć się zdarzy, i prawie całkiem białych. Chłopiec ma około dziesięciu lat, a dziewczynka ma ze cztery lata. Możecie sobie państwo wystawić, z jaką ostrożnością z nimi postępowałem, gdyż ja uważam tę kobietę i jój dzieci, jako znaczną część całego majątku, a gdybym się był wydał z czémkolwiek, mogliby nam umknąć, zanim bylibyśmy w stanie przeszkodzić temu. Widzicie państwo, iż nieulega żadnej wątpliwości, że rodzina Gordonów ma niezaprzeczone prawo do tego majątku, i mojm zdaniem, powinniście państwo natychmiast wystąpić ze swemi pretensjami. Przyznam się, iż niezmiernie byłem zgorzony, widząc tę kobietę używającą bez troski majątku, który prawnie państwu się należy. Jak skoro tedy otrzymam zezwolenie dziedziców, będę mógł

dalsze kroki przedsięwziąć, i działania moje natychmiast rozpocząć.

Nina w ciągu całej tej mowy, patrzyła na pana Jekyl z wyrazem mocnego postanowienia, a gdy skończył, rzekła:

— Panie Jekyl, powiadano mi, że pan jesteś jednym z przelożonych nad kościołami, czy to prawda?

— Tak jest, Mis Gordon, chlubię się tym zaszczytem; odparł p. Jekyl, zamieniając nagle stanowczy ton z jakim mówił o interesach, w ciche, potulne szeptanie.

— Ja jestem młoda, napół dzika dziewczyna, mało w rzeczach religii pouczona; dla tego pytam się pana, czy pan, jako chrześcjanin, jesteś przekonany, iż my rzeczywiście mamy prawo do tej kobiety, do jej dzieci, i jej majątku?

— Oczywiście, czcigodna Mis Gordon; czyż to niesłuszna, aby wszelki majątek, był w posiadaniu tego, czyją jest własnością? Ja zapatruję się na ten interes poprostu okiem prawa, i widzę najdowodniej, że ta kobieta i jej dzieci, są tak samo własnością pani, jak trzewiki które masz na nogach. To nieulega żadnej wątpliwości.

— Ja rozumiem, — rzekła Nina, — że niekiedy należy także spoglądać okiem Ewangelii na otaczające nas przedmioty. Czy sądzisz pan, panie Jekyl, że postępując w ten sposób jak pan radzisz, postąpiłabym sobie tak, jakbym sobie życzyła aby postąpiono ze mną gdybym była na miejscu tej kobiety?

— Kochana Miś Gordon, — młode i tklive damy, w tej mierze częstokroć dają się uwodzić fałszywemu

wykładowi słów Ewangelii. — Przypuśćmy, że ja jestem wydziercą, który zabrał pani jej własność. Czyż ztąd wynika, że ta złota maxyma obowiązuje prawego właściciela, do zostawienia mię w niesłuszném posiadaniu? Ta kobieta jest pani własnością, równie jak i posiadłość, do której ona takie samo ma prawo, jak każdy złodziej lub rozbójnik. Zapewne, że ona nie będzie miała ochoty jej oddać, ale mimo tego, prawo zawsze prawem zostanie.

Podobnie jak wiele młodych osób, Nina czuła cały fałsz tych rozumowań, ale niemogła się na razie połapać, w czém on leży właściwie; krótko więc odpowiedziała panu Jekyl na jego długie dowodzenia:

— Mimo tego wszystkiego ja nie wierzę, żeby to miało być słusznie.

— Głupstwo! — krzyknął Tom. — Co to kogo ma obchodzić, czy to jest słusznie czy nie! Mówiąc otwarcie, głównie tutaj chodzi o to, że równie ty jak ja, djabelnie potrzebujemy pieniędzy, — trzeba więc brać gdzie można. Na kiego djabła przydałoby mi się w dzisiejszych czasach być świętszym niż wszyscy święci. Pan Jekyl jest także człowiek pobożny, i to w najlepszym gatunku. Kiedy więc on powiada, że to słusznie, na co my sobie już mamy nad tém łamać głowę? Mówił on już o tém ze stryjem Johnem, który się także na to zgadza. — Co do mnie, to wyznaję otwarcie, że mię to bynajmniej nieobchodzi, czy to jest słusznie czy nie. — Przy kim siła, przy tym prawo; — to jest moja zasada. —

— Ja już dosyć zastanawiałem się nad tym przedmiotem, rzekł pan Jekyl, — i mam to najmocniejsze

przekonanie, że niewola jest wypływem zrządzenia Opatrzności, i że prawa Panów, sam Bóg uświęcił. Przyznam się więc, że jakiegokolwiek uczucia mogłyby mię zniewalać na stronę téj kobiety, zawsze jednak miałbym sobie za obowiązek dopilnować, aby prawu temu zadość się stało.

— Wszystko, co panu mogę na to odpowiedzieć, — zawołała Nina, — ogranicza się na tém, że ja nie myślę się wcale mięszać w ten interes; bo jakkolwiek dowieśćbym tego panu może niepotrafiła, jednak czuję to mocno, iż jest niesłuszny.

— Jakaś ty śmieszna, Nino! — zawołał Tom.

— Powiedziałaś com miała powiedzieć, — odrzekła Nina, wstała i wyszła z pokoju.

— Bardzo piękne, wzniosłe uczucia, ale źle pokierowane, — rzekł Jekyl.

— My się znamy wybornie na takich figlach mądrości, nieprawdaż? — odezwał się Tom. — Ja powiadam panu, że ta moja siostra, to noszony ptaszek; mógłś się pan już tego być domysleć, po tém co nam dzisiaj rano splatała. Ona gotowa nam popsuć cały interes, jeżeli się natychmiast nie weźmiemy do roboty. Widzisz pan, jój ulubieniec, ów Harry, jest bratem téj kobiety; jeżeli mu więc choć słówko piśnie, on natychmiast napisze do siostry i zawiadomi ją o tém. Trzeba nam się więc będzie z tém pospieszyć, zanim Harry powróci, bo mi się zdaje, że on teraz na kilka dni wyjechał. Zresztą nie masz koniecznej potrzeby jój zezwolenia; nie potrzebuje nawet nic o tém wiedzieć, aż się proces skończy.

— Ja też radzę panu wzięść się energicznie do dzieła, — rzekł p. Jekyl, — i co prędzej zabrać tę kobietę i dzieci; będzie to postępek całkiem prawny. W każdym razie cała ta sprawa pójdzie przed sądy, które jój dozwolą bronić się przez adwokata. Wszystko tedy, z jednej strony stanie się wedle prawa, a z drugiej strony nie ulega żadnej wątpliwości, że los tej kobiety w rękach pańskiej siostry pozostawiony, równie będzie pomyślny jak gdyby zależała sama od siebie.

P. Jekyl mówił to wszystko nie tyle do Toma, ile do siebie samego; bo mimo argumentacyj, któremi zarzuty Niny zbić usiłował, zarzuty te obudziły w nim pewną wątpliwość, którą starał się uspokoić, powtarzając sobie jeszcze raz głośno swoje własne dowody. Natura bowiem, niestworzyła pana Jekyl gorszym od drugih ludzi; tylko zbyt czułe zaciekanie się w subtelności teologiczne i prawne manowce, zatwardziło jego uczucie, i dziwnie usposobiło jego umysł. Długoletnie albowiem badania, przywiodły go wreszcie do tego rezultatu, że każdy człowiek ma prawo do szczęścia doczesnego, stosunkowo do swych wrodzonych zdolności. Na tój to zasadzie gruntował on przekonanie swoje o słuszności niewoli rasy etiopskiej, jako mniej uzdolnionej niż rasy białe; tę zasadę posuwając dalej, utrzymywał, iż Bóg, jako najwyższa zdolność, ma prawo uciskać i dręczyć wedle swego upodobania, istoty sobie podporządkowane; tę zasadę nareszcie wyrozumowawszy i raz przyjąwszy, trzymał się jój z żelazną konsekwencyą, wzbraniając do siebie przystępu wszystkim innym uczuciom. Współuczucie z jakim Nina mówiła o tój kobiecie i jój dzieciach, które miały paść ofiarą prawnego postępowania, zwró-

ciło na siebie jego uwagę, ale tylko na chwilę. Bo i jakże zresztą miała taka bagatela obchodzić na seryo człowieka, który ostatnią nędzę i upodlenie całych pokoleń, przyzwyczajony był uważać, jako fakt stwierdzający jego teorye?...

Rozdział XVI.

OPOWIADANIE MILLY.

Nina przepędziła wieczór w salonie, a brat jój zajęty nowemi planami, zapomniał o rannych sprzeczkach, i odgrywał jak umiał rolę człowieka uprzejmego. Siostrę traktował z daleko większą oględnością niż dotąd, a nawet usiłował być grzecznym dla Klaytona, który usilność tę z miłą chęcią przyjmował. Wszystko to działało wybornie na humor Niny, która cały wieczór nader przyjemnie spędziła. Gdy wróciła do swego pokoju, zastała tam Milly, która ułożywszy swoją panią do snu, już od dawna czekała na Ninę cierpliwie.

— Mis Nina, ja jutro rano udać się w podróż. To też pomyśleć ja sobie, że musiec znaleźć choć chwilkę czasu, żeby was jeszcze zobaczyć, nim ja odejść.

— Ja na to nie pozwolę, żebyś ty miała się ztąd oddalać. Ten człowiek, z którym chcesz jechać, niepodobna mi się.

— Mnie się zdawać, że to porządny człowiek, — rzekła Milly; — on pewnie znaleźć dla mnie dobre miejsce, bo on zawsze tak bardzo zajmować się interesami

Mis Loo; a więc wy się o mnie nie troszczyć. Ja wam powiadać, że wszędzie być Pan Bóg, — to też ja się niczego niebać.

— Ależ tyś się tak przyzwyczaiła do naszej rodziny, — mnie ciebie tak żal, — mówiła Nina, — przynajmniej przyrzeknij mi, że powrócisz jak ci tam będzie źle.

— O, dziecię moje, — ja się o to nie bać. Kiedy kto swoją robotę odrobić, i to tak dobrze jak tylko módz, to trudno, żeby go ludzie dręczyć. Ja nigdy jeszcze nieznać ludzi, którychby ja nie potrafić zrobić dobremi dla siebie... Nie, dziecko, — ja się o siebie nie lękam, ale o was! Wy niewiedzieć co to jest żyć na świecie. Wy potrzebować koniecznie kogoś, ktoby z wami iść, komuby wy serce swoje otworzyć; kogoś coby was kochać, zawsze być z wami, i wasze kroki prowadzić. Wy mieć więcej kłopotów, aniżeli powinna mieć taka młoda osoba; wielu na was patrzeć, i wielu od was zależeć. Gdyby wasza mama żyć, toby być całkiem co innego; ale ja już widzieć jak to będzie: wy dużo rzeczy czuć i myśleć, a niemieć komu tego powiedzieć. I wy nareszcie musieć nauczyć się chodzić do Boga, który was kochać; — o, gdyby wy módz wiedzieć, jak On was kochać, toby wam serce stopnieć było od tego. Ja wam już raz była chcieć opowiedzieć, jak ja po pierwszy raz znaleźć Jezusa, — ale to długa historia.

— Ach! opowiedz mi ją, opowiedz! — zawołała Nina, i posadziwszy Milly na niskiej otomanie, sama usiadła przy niej i oparła głowę na jej piersiach.

— Moje dziecię, — zaczęła Milly powoli, smutnym głosem, wypatrzywszy przed siebie duże czarne oczy, — życie ludzkie na tym świecie, to dziwna rzecz. Moja ma-

tka, — oni ją byli przywieść z Afryki, i mego ojca także; moja matka nieraz mi opowiadać, że Afryka to być piękny kraj, gdzie złoto płynąć w rzekach, a drzewa rosnąć takie wysokie, ogromne, z takimi prześlicznymi kwiatkami, jak wy sobie tylko módz wystawić. Otóż oni przywieść mego ojca i matkę do Charleston, gdzie ich kupić p. Kampbell, ojciec waszej matki, jak tylko oni wyjść z okrętu; — ale pięcioro ich dzieci byli sprzedani komu innemu, i oni już nigdy niebyli się dowiedzieć, gdzie oni się podzieć. Ojciec i matka nie umieć ani słowa po angielsku, kiedy tu byli przybyć, — i nieraz mi powiadać byli, że do nikogo niemódz słowa przemówić, żeby pożalić się na swoje nieszczęście. Ja przypominać sobie, jak ja być małym dzieckiem, to oni po robocie zawsze wychodzić byli na pole, sięść sobie, patrzeć w gwiazdy, i wzdychać a wzdychać. Wtedy ja malutka, przybiegać do nich, i pytać się: „Mamo, mamo, dla czego wy tak wzdychać? Co wam brakować?“ „Mnie dużo brakować, — ona mi odpowiadać, — ja myśleć o moich biednych dzieciach. Ja patrzeć na gwiazdy, bo one podobne być do mnie; one tak niewiedzieć o sobie, jak ja o moich dzieciach. I ty także moje dziecię, możesz być sprzedana i pójść daleko od twojej mamy; niemożna wiedzieć co się stać z tobą, moje dziecko — ale kiedykolwiek przyjść na ciebie nieszczęście, tak jak na mnie, to ty pamiętać zawsze Boga prosić, żeby on ci dopomódz.“

— „Co to Bóg, Mamo?“ — ja się jój zapytać, a ona mi odpowiedzieć: „On te gwiazdy tam porobić!“ A kiedy ja ją prosić, żeby mi więcej o Nim opowiedzieć, ona mi tyle tylko rzec: „ On módz zrobić wszystko co On

chcieć, — i móżdż ciębie w każdym nieszczęściu poratować.“ —

— No, — ja się wtędy o to niewiele troszczyć, bo ja niepotrzebować niczyjój pomocy, — i ciągle tylko lubić skakać i tańcować, — ale matka mi zawsze powtarzać: „Dziecko! nieszczęście będzie przyjsć, — a gdy ono będzie przyjsć, to ty Boga prosić, a On ci będzie dopomóżdż.“

Ja nie być wprawdżie potem sprzedana, ale ojciec i matka pójść odemnie, bo ich wziąć ze sobą brat p. Kambella, który jechać do Nowego Orleanu, — ja zaś byłam zostać w Wirginii. — Otoż ja byłam wyrósć razem z waszą mamą, z Mis Harrit, Mis Loo i z innemi, i wesoło młode lata spędzać. One wszystkie lubiły Milly. Nikt nie potrafić tak biegać i skakać, tak koniem pokierować, albo łodzią sterować jak Milly; to tęż Milly wszystkim i wszędzie była potrzebna, bo umieć wszystko zrobić dla pań swoich. Mis Loo być najpiękniejsza z sióstr, i dla tego mnóstwo panów w nięj się kochać; — mamę waszą to znów każdy kochać; a co do Mis Harrit, to ta mieć bardzo dużo życia w sobie, zawsze coś robić, zawsze być czémś zatrudniona; i ona mię była bardzo lubić, bo ja się do nięj bardzo nadawać. Były to czasy bardzo szczęśliwe, ale kiedy mnie już być czternaście, albo piętnaście lat, to mnie zacząć być tak ciężko, tak dziwnie jakoś na sercu. Ja nierozumieć jak się to stać, ale ja w miarę jak być starsza, czuć coraz więcej, że ja być w niewoli. Ja sobie przypominać, że wasza mama była raz wyjść na pole, a ja właśnie z okna wyglądać; i ona mię zapytać: „Milly;

czegoś ty taka smutna od jakiegoś czasu?“ — „Ha! — ja odpowiedzieć, — zwyczajnie, ja mieć swoje smutki!“ — „A to o co? — ona się znów zapytać, — czy cię wszyscy nie lubią? czy nie masz tu wszystkiego, czego zapragniesz?“ — Wasza mama była bardzo roztropna panienska, zupełnie tak jak wy; otóż ja dziś jeszcze pamiętać, jak ona wyglądać, kiedy ja jej powiedzieć: „Zapewne Missis, — ale jednak ja zawsze być tylko biedną niewolnicą.“ — Potem mnie się zrobić przykro, bom sobie pomyśleć, że może była obrazić jej uczucia; ale ona powiedzieć mi: „Niedziwię się Milly, że to tak mocno czujesz, — jabym to samo czuła, gdybym była na twojem miejscu.“ — Potem ona to opowiedzieć Mis Loo i Mis Harrit, ale one się tylko śmiać były, i mówić, że mało jest dziewcząt którymby tak dobrze być na świecie jak Milly.

Mis Harrit najprzód pójść za męż, za niejakiego p. Karola Blair; a kiedy ona pójść za męż, ja musieć pójść z nią. Ja Mis Harrit bardzo byłam lubić, alebym zawsze woleć, żeby to było pójść z waszą mamą. Ja zawsze na to byłam rachować, że ja kiedyś należeć do waszjej mamy, i ona sobie tego bardzo była życzyć, ale ani słówka o tém nie pisać, bo Mis Harrit być jedną z tych, co to nie lubić o nie się prosić, i co zawsze na swoim postawić, czy to słusznie, czy niesłusznie. Ona zawsze była mieć więcej sukni, i pieniędzy, i wszystkiego jak inne siostry, bo ona mieć na wszystko oczy otwarte, i umieć chodzić za sobą. Posiadłość pana Blair była leżeć w innej okolicy Wirginii, i ja tam musieć pójść. — Mis Harrit niebyć wcale szczęśliwa, bo pan Blair był wielki ladaco. — Ja wam powiadać, Mis Ni-

na, że ten którego wy tutaj mieć, to bardzo dobry człowiek, i dla tego ja wam radzić, żeby wy pójść za niego; bo wy niewiedzieć co to być mężczyzna ladaco. Pan Blair kiedy się zalecać do Mis Harrit, to zawsze powiadać że ją kochać nad wszystko, że ona być jego aniołem, że on się wszystkiego złego na potém wystrzegać, i porządne życie chcieć prowadzić. Ale gdy ona pójść za niego, to wszystko to pójść z dymem. Zanim miesiąc upłynąć, on był powrócić do dawnego sposobu życia, — hulać, pić i pieniądze rozrzucać jak plewy.

Mis Harrit téż zupełnie się zmienić. Ona się nigdy nie uśmiechnąć, stać się surową, zgryźliwą, i dla mnie już niebyć tak dobrą jak przedtém. Ona być zazdrosna o swego męża, — a móż być bardzo spokojna, bo jabym go za nic w świecie niechcieć była dotknąć. Tak więc ja bardzo oplakane życie wieść między niemi. Oni mieli troje dzieci; aż nareszcie jednego dnia on umrzeć, bo pijany spaść z konia. — Po jego śmierci Mis Harrit trochę się uspokoić i zacząć zbierać resztki majątku, co jój i jój dzieciom pozostać; — ja sobie przypominać że tam być u niej jeden stryj, który jój pomagać długizrachować. Jednego dnia oni rozmawiać ze sobą w pokoju Missis, a ja siedzieć zaraz obok, w małym gabineciku nad szyciem; ale oni zanadto mocno być zajęci żeby na mnie uważać. Oni tam tak układać interes, żeby sprzedać wielką plantacyą i ludzi, prócz dwojga nas, którzy mieć iść z Missis na jakąś małą posiadłość. I ja słyszeć, jak on tak mówić do niej: „Dopóki twoje dzieci być małe, dopóty i ty małym móż się obchodzić, i żyć na téj małej posiadłości, a tymczasem z majątku

jak największe ciągnąć korzyści. Teraz Murzyni są w cenie, a więc ty mózdz bardzo korzystnie sprzedać tych, eo niekoniecznie potrzebni. A ty mieć tutaj tęgą, czarną dziewczynę, Milly.“ — Wy mózdz sobie pomyśleć, jak ja nadstawić uszy, kiedy to usłyszeć. „Trudno znaleźć piękniejszą rasę jak w niej“ — on tak mówić dalej, jak gdyby ja być krowa albo owca. „Czy ty jęj już dała męża?“ — „Nie, odpowiedzieć Mis Harrit, — mnie się zdawać, że ona być kokieta, i niechcieć wybrać żadnego.“ — „No, to się trzeba o to postarać, bo dzieci tęg dziewczyny będą stanowić majątek; ja już znać kobiety, które mieć po dwadzieścia dzieci, a żadne z nich niebyć mnięj warte, jak ośmsset dolarów. Więc będziesz mieć w nich oczywisty majątek; — jeżeli one do niej być podobne, to będą jakby gotowy pieniądz, a w razie potrzeby, każdęj chwili ty ją mózdz sprzedać.“ — Oh! Mis Nino, mnie te słowa upaść ołowiem na serce, — bo ja mieć już wtedy znajomość z jednym młodym człowiekiem i właśnie tego dnia ja chcieć o tęg pomówić z Mis Harrit. Ale teraz ja upuścić moję robotę, i pomyśleć sobie, że ja nigdy w życiu nie pójść za mąż. — I cały dzień ja nad tęg płakać, a wieczór opowiedzieć to Pawłowi, bo tak mu być na imię. Ale Paweł chcieć mi to wyperswadować; on zaręczać że tak źle nie będzie, że Missis tego niebędzie zrobić. W każdym razie my się bardzo byli kochać, i dla czegóżby nam niebyło uczynić to życie tak szczęśliwe jak tylko było można? Więc ja pójść do Mis Harrit i powiedzieć jęj co mieć na sercu; ja zawsze Mis powiadać wszystko otwarcie; — i teraz tęg zrobić tak samo. Ona wyśmiać się ze mnie, i powiedzieć mi, że nie trzeba płakać, aż chyba ona mi

krzywdę zrobić. Tak upłynąć trzy, albo cztery tygodnie, i Paweł nareszcie przekonać mię, żebyśmy się pobrać. Kiedy nam się pierwsze dziecko urodzić, Paweł być ogromnie kontent, i dziwić się, że ja się nie cieszyć. — „Pawle, — ja jemu powiedzieć, — to dziecko tutaj nie do nas należeć, one mōdz byćk iedykolvek sprzedane!“ „Dobrze, dobrze, — on mnie na to odpowiedzieć, — Milly, to one być boskie dzieci, jeżeli nie nasze!“ Bo widzicie Mis Nina, Paweł być Chrześcianin. Ach, co się potem dziać, to trudno wypowiedzieć. — Ja potem mieć mnóstwo dzieci, — chłopców i dziewcząt, i oni wszystkie przymnie wyrosnąć. Ja mieć czternaście dzieci, — i one wszystkie zostały sprzedane, — jedno po drugiem! Boże! To ciężki krzyż! ciężki! — Nikt tego nie pojmovać, kto niedoświadczyć!

— To hańba! — zawołała Nina obruszona. — Nie wiedziałam, że ciotka Harrit była taką złą kobietą! — I to moja ciotka tak postępować sobie mogła! —

— Dziecko, dziecko! — uspokajała ją Milly; — my sami niewiedzieć co tam być wewnątrz nas! Gdy Mis Harrit i ja były jeszcze młodemi dziewczętami, kiedy my razem były polować na jaja, i pływać w łódce po rzece, ja sobie nigdy nie myśleć, żeby na to mogło przyjść, i ona pewnie także nie myśleć. To tylko pewna, że co być złego w dziewczynie, kiedy ona być młoda i piękna, i kiedy się jēj cały świat uśmiechać, to niezmiernie szybko wzrastać w niēj gdy ona być kobietą, i gdy zmarszczki twarz jēj pokryć. — To też ponieważ Mis Harrit, kiedy jeszcze była dziewczyną, zawsze być łakoma na jaja, na jabłka i tym podobne rzeczy, więc późniēj łakoma być na pieniądze.

— Jednak, to się zdaje prawie niepodobieństwem, — rzekła Nina, żeby kobieta, kobieta wykształcona, i do tego jeszcze moja ciotka, mogła sobie w podobny sposób postępować!

— Ach, dziecię! Kobiety wykształcone tak samo mieć skłonności do złego, jak i inne. A zresztą, jeżeli wy się lepiej nad tém zastanowić, to wy się przekonacie, że to być rzecz najnaturalniejsza w świecie. Naprzykład wasza ciotka; Ona niebyć bogata, więc musieć się starać o pieniądze! ona musieć płacić rachunki pana Jerzego, i pana Piotra i Mis Suzy, — a oni wszyscy wołać na nią o pieniądze i ciągle o pieniądze. Czasami to ona niebyła wiedzieć co począć. Widzicie zatem, kiedy kobieta turbować się zkąd tu zapłacić: tutaj dwieście, a tam znowu trzysta dolarów, — kiedy mieć więcej Murzynów na plantacyi aniżeli jój potrzeba, a tu jeszcze przyjść do niej jakiś człowiek, który położyć przed nią ośmset dolarów w złocie i papierach i powiedzieć: „Ja sobie życzyć kupić waszego Łukasza albo Jerzego.“ — No, to co wy na to? — O! ci handlarze niewolników, to oni tylko chodzić i kusić ubogich ludzi, a zawsze mieć na zawołanie pieniądze, jak gdyby jaki djabeł. Ale ja nie mieć tak bardzo za złe tym biednym handlarzom niewolników, bo ich nikt nienauczyć być lepszymi. Wiele być takich Chrześcian, którzy o Chrystusie mówić, o religii szeroko rozprawiać, — którzy mieć biblie i do handlarzy niewolników tyłem się obracać, jakby oni niebyć godni z niemi mówić nawet, — a jednak oni być przyczyną wszystkiego złego na świecie. — Naprzykład ów stryj Mis Harrit, — to być człowiek bardzo chrześcijański, on chodzić na wszystkie nabożeństwa, — a jednak

to on jój był nabić tém głowę. Były czasy Mis Nino, kiedy oni mi byli sprzedać pierwsze dzieci, i kiedy ja moje serce wynurzyć przed Mis Harrit, to ona tak bardzo płakać, że aż mi jój żal się zrobić. Wtedy ona mi zawsze powiadać: „Milly! ja już tego nigdy niezrobić!“ Ale ja jój niewierzyć, bo wiedzieć że ona zrobić to znowu. Ale ona niebyć znowu taka zła kobieta, broń Boże! Biedna Mis Harrit taka niebyć! I onaby sobie niebyła tak źle postępować, gdyby nie on. Ale on zawsze przyjeżdżać i modlić się bardzo, a potem jako wilk krążyć około mojej chaty i patrzeć na moje dzieci. I on zawsze tak mówić do mnie: „No, Milly, jak się masz? Z Łucyi robi się weale tęga dziewczyna! Wiele lat ma Łucya? Tam w Waszyngtonie być właśnie jedna dama która potrzebować dziewczyny; — bardzo dobra i pobożna dama. Ja myślę, że ty niemiec nic przeciw temu, Milly. Twoja biedna pani tak potrzebuje pieniędzy!“

Ja nigdy nieodzywać się do tego człowieka; — raz tylko, kiedy on się mnie spytać, jak ja myśleć, wiele może być warta moja Łucya, kiedy mieć lat piętnaście, ja jemu odpowiedzieć: Panie! ona dla mnie tyle warta, co pańska córka dla pana. Potem ja wejść do domu i drzwi za sobą zamknąć; — bo ja niecheić widzieć, jak on te słowa przyjąć. — On tedy wracać do Mis Harrit, rozprawiać z nią, i upominać ją, że powinna mieć staranie o swoim majątku; przez co rozumiał sprzedaż moich dzieci. Przypominam sobie, kiedy Mis Suzy powrócić z pensyi, to być bardzo ładna panienska, ale ja niemódz na nią patrzeć, bo jój matka troje moich dzieci sprzedać była na to, żeby ją oddać na tę pensyą. Moja Łucya, — ach, mój Boże! — ona pójść za pokojówkę;

ja dobrze była wiedzieć co to znaczyć. Jej pani miała dorosłego syna, który zabrać Łucyą do Orleanu, i ona tam przepaść! Między nami niechodźć żadne listy; kiedy my się rozłączyć, a pisać nieumieć, to tak, jakby umrzeć dla siebie. O, nie, — to jeszcze gorzej! — Paweł, zawsze był uczyć Łucyą różnych pieśni, zanim ona wieczór pójść spać; lepiejby daleko być, żeby ona była umrzeć wprzód, nim się jednej takiej pieśni nauczyć. Oh! moje dziecko, ja długo potem srożyłam się i wściekała jak skrepowana lwica, i już nie być tak jak przedtém; ja byłam stać się zła i grubijanka. Mis Harrit być bardzo nabożna, i zawsze u niej było pełno duchownych i starszych kościół, którzy chceć mię gwałtem nawrócić. Ale ja im odpowiadać, że ja dosyć znać ich starą religją, i niechcieć więć słyseć o tem. Tylko Paweł, który być chrześcianin, kiedy mówić ze mną, to ja się trochę uspokajać, chociaż nie módz stać się taka jak on. Nareszcie tak się było stać, że Mis Harrit była mi przyrzec i zapewnić święcie, że najmłodsze dziecie moje będzie zostać przy mnie. Alfred być mu na imię. Ach, to dziecie ja byłam kochać bardziej jak wszystkie inne, bo to być wszystko co oni zostawić mojej miłości; gdy on rok mieć, pan Pawła przenieść się do Luzyany, i wziąć go ze sobą, i ja więć o nim niesłyseć. A tak stać się, że to dziecie być wszystkim dla mnie na świecie. — A być to piękny chłopiec, nadzwyczajnie piękny. A taki być zrzeczny, że mi nie mało roboty zawsze oszczędzić; a taki dowcipny, że ja zawsze musieć śmiać się z niego. On wielką mieć ochotę uczyć się, i sam nauczyć się czytać, i nieraz mi potem czytać z biblii. Ja go wychowywać jak móż, i uczyć jak móż. To mię tylko niepo-

koić było zawsze, że on zanadto być dowcipny; ja bać się że go to kiedy do nieszczęścia przyprowadzić będzie. Ja często o tém mówiła z Alfredem, i napominała go, żeby był pokorniejszym, ale to wszystko nadaremnie, bo on nie mógł się powściągnąć. Mis Nino, niech będzie jak chce, ale mnie tego nikt z głowy nie wybić, że pomiędzy czarnemi być dużo takich, co zdolniejsi nawet od białych, i co się potrafić wykształcić, byleby mieć środki po temu. Mis Nino, czy wy widzieli dużo białych chłopców, coby się sami czytać nauczyć? A mój Alfred tego dokazać! Ja wielką mieć w nim pociechę, bo ja myśleć sobie, że Missis moja będzie mi pozwolić żebym ja jój na pieniądze pracować. I ja chcieć pracować, ile tylko mógł, żeby zarobić tyle pieniędzy, żeby go wykupić, bo ja zawsze sobie myśleć, że on być za nadto żywy na niewolnika. — Widzicie, Mis Nina, on niemógł nauczyć się schylać karku, — nieudź się przemógł nikomu, on zawsze mieć na pogotowiu słowo do odpowiedzi. Ale obok tego on być bardzo dobry chłopiec; — i kiedy ja jemu przekładać i mówić jak to niebezpiecznie, to on mi zawsze przyrzekać, że będzie ostrożny.

Dobrze to jeszcze wszystko być, dopóki on być mały i być przy mnie, dopóki nie dojść dwunastu lat. On zwykle wtedy był talerze myć w kuchni, noże czyścić i trzewiki chędożyć. Ale kiedy on dorastać, oni osądzić, że już czas, żeby on pójść do cięższej roboty, czego ja się bardzo bać. Missis wtedy mieć dozorcę, który bardzo być przykry dla ludzi; otóż ja się bardzo lękać jakiego przypadku dla Alfreda, i tak się też stać. Zawsze tam

być coś między nim a Alfredem, i on ciągle latać na skargę de Missis.

Jednego dnia ja musieć iść za interesami do miasta, a kiedy ja wieczór wrócić, dziwno mi było, że Alfred nieprzychodzić do kolacyi. Ja sobie pomyśleć zaraz, że się coś złego stać. I ja pójść do Mis Harrit, i zastać ją jak ona siedzieć przy stole i pieniądze rachować. „Mis Harrit, — ja mówić do niéj, — ja nie módz znaleźć Alfreda, czy wy go nie widzieć?“ Z początku ona mi nieodpowiedzieć, tylko dalej rachować: „pięćdziesiąt dwa, pięćdziesiąt trzy.“ — Ja jéj nareszcie jeszcze raz zapytać: „Ja się spodziewać, że Alfreda nie spotkać żadne nieszczęście, Mis Harrit?— Wtedy ona spojrzeć na mnie i powiedzieć: „Milly, doprawdy, z twoim Alfredem nie można było do końca dojść; — mnie byli ofiarować za niego znaczną summę i ja go sprzedać.“ — Gorąco przejść mnie od stóp do głowy; ja przystąpić do niej, chwycić ją za barki i rzec: „Mis Harrit, wy już wzięść pieniądze za trzynaścioro moich dzieci, i wy mi przyrzec, że to jedno pozostać przy mnie. Czy to tak robić Chrześciance?“ -- „Ależ Milly, — ona mi odpowiedzieć — on niedaleko być ztąd, ty go zawsze módz widzieć, bo on tu zaraz być na plantacyi Jona. Ty módz jego odwiedzać, i on ciebie. Zresztą ty niecierpieć mojego dozorcę i powiadać, że on Alfreda do nieszczęścia przyprowadzić.“ — Ale ja jéj na to odrzeknąć: „Miss Harrit, wy módz siebie takimi rzeczami oszukać, ale nieoszukać mnie, ani Pana Boga. Wy mieć siłę za sobą, — wy nas nie chcieć czytać uczyć. Ale ja pójść z tem prosto do Boga; ja wam powiadać, że jeżeli gdzie jest Bóg, to ja Jego już znaleźć, i ja Jego prosić aby On obaczyć, jak

wy ze mną postępować — wy sprzedawać moje dzieci, żeby za swoje długi płacić!“ Tak ja do niej mówić, moje dziecię. Ja wtedy być biedne, głupie stworzenie, które nieznać Boga, a serce moje być jako żarzący węgiel. Potem ja się odwrócić i wyjść. A kiedy ja się kłaść spać, to ja widzieć w kącie tylko puste łóżeczko Alfreda, a nad niem zawieszone jego suknie od święta i trzewiki od święta, które ja kupić za własne pieniądze, bo on być bardzo ładny chłopiec, i ja chcieć, żeby on zawsze czysto wyglądać.

A kiedy przyjść niedziela, to ja wziąć jego surdut i jego trzewiki, zrobić z tego zawiniątko, i wziąć mój kij, i powiedzieć sobie: „Ja pójść na Jona plantacya, i zobaczyć co się dzieć z Alfredem.“ — A przez cały czas ja ani słowa niemówić z Missis, ani ona ze mną. Kiedy ja ująć połowę drogi do plantacyi, to ja usiąść pod wielkiem cykoryowém drzewem, żeby trochę wypocząć; wtem ja spostrzedz, że ktoś iść ku mnie, i niedługo poznać, że to była Huldah, moja znajoma z Jona plantacyi. Ja więc byłam wstać, i rozmawiać z nią, i powiedzieć jój, że ja iść odwiedzić Alfreda. — „Jakto, Mily! — ona zawołać, — to ty niewiedzieć że Alfred zabity!“ — Ach, Mis Nino, mnie się wtedy zdawać, jakby moje serce przestać uderzać! — „Huldah! — ja się jój zapytać, — oni go zabić?“ — „Tak jest“ — ona mi odpowiedzieć, i potem mi opisać jak się to stać. — Sztilcs, dozorca Jona, był słyszeć, że Alfred być bardzo żywy; — a kiedy chłopiec taki być, to on mieć zwyczaj, niedawać mu pokoju, tylko drażnić, a potem smażyć aż do krwi. Więc Sztilcs przy robocie, bardzo dokuczać i dogadywać Alfredowi, — ale on na wszystko

zaraz odpowiadać, bo być dowcipny, i nieumieć zmilczeć. Wszyscy się śmiać, a Sztilcs wściekać się i przysiądz, że go na śmierć zasmagać, — i wtedy Alfred od niego uciec. Sztilcs okropnie był kłąć i wołać na niego żeby wrócić, że on mu za to wszystko zapłacić; ale Alfred odpowiedzieć, że on się niewróci i bić się nie dać. Na to przyjsć młody Master Bill, i pytać się, co to się dziać; Sztilcs mu opowiedzieć wszystko, i dobyć pistolet, i zawołać: „Pójdź tu młody psie, zanim ja pięć będę narachować, — a nie, to ja będę strzelić!“ — „To sobie strzelić!“ odpowiedzieć Alfred, bo on nieznać co to bojaźń. — I on strzelić, — a Huldah mi powiadać, że on tylko podskoczyć, krzyknąć i upaść. Oni byli pobiegnać do niego, ale on już nieżyć, bo kula przejść mu przez samo serce; oni ściągnąć z niego odzież i opatrywać go, ale nadaremnie, on już nie żyć. — To oni wykopać dół i wrzucić go tak bez wszystkiego, zupełnie jak psa. Huldah pokazać mi jego kurtkę, w której być okrągła dziura, jakby ją kto wykroić, a dokoła niej jego krew. Ja nie niepowiedzieć, tylko kurtkę owinać w jego świetalne suknie, i pójść do domu. Potém ja pójść na górę do pokoju Missis; ona właśnie siedzieć wystrojona do kościoła i czytać biblią. Ja jęć kurtkę ponieść przed same oczy i powiedzieć: „Wy widzieć tę dziurę! Wy widzieć tę krew! Alfred zamordowany! Wy jego zamordować! Niechaj krew jego spaść na was i na wasze dzieci! O Boże w niebiesiech! Ty mię wysłuchać i we dwójnasób jej odplacić!“ —

Nina przejęta mimowolnym jakimś strachem, przestała prawie oddychać. Milly rozdrażniona własnem opowiadaniem, siedziała pochyłona naprzód, z szeroko otwar-

temi oczyma, z zaciśniętymi pięściami, a potężna jój postać zdawała się jeszcze rozszerzać i rosnać. I była w tej postawie podobna do olbrzymiej, z czarnego marmuru wykutėj Nemezis. Po chwili członki jej opadły, oczy powoli przybrały wyraz łagodny; spojrziała na Ninę miłościwie, ale uroczyście.

— Straszne to słowa były moje dziecko; — ale ja wtenczas dopiero być w Egipcie, i pielgrzymować po pustyni Synaj; ja slyszeć byłam dźwięki trąb, ale Pana jeszcze nie widzieć. Potém ja wyjść, i już więcej z Mis Harrit nie mówić; wielka przepaść być między nami, że żadne słowo nie módz przejść przez nią. Ja pracować bez szemrania, ale do niej nie się nieodzywać. I teraz dopiero ja sobie przypomnieć, co mi matka moja mówi przed laty: „Dziecko, gdy na ciebie przyjsz nieszczęście, to ty prosić Boga, aby On ci dopomódz!“ — Ja teraz spostrzedz, że ja się jeszcze nigdy do Boga nie modlić, i nie prosić Go żeby mi pomódz, — i ja sobie mówić, że mi Bóg nie pomódz, bo mi nie wskrzesić mego Alfreda; ale ja zawsze pragnąć znaleźć Boga, bo ja być bardzo niespokojna. Ja pragnęła iść do Niego i powiedzieć mu: „Panie! widzisz co ta kobieta zrobić!“ Ja chcieć mu to przedłożyć, i przekonać się czy On się za tém ująć. I ja powiadać wam, ja szukać Boga wszędzie i ciągle, we dnie i w nocy. Ja całe nocy w lasach przepędzać, i leżeć na ziemi aż do rana, i płakać i wołać, — ale mnie zdawać się, że mię nikt nie słuchać. Dziwnie mi się robić, kiedy ja spojrzeć ku gwiazdom! One tak przyjaźnie na mnie patrzeć i mrugać, ale nie mówić do mnie ani słowa! Czasami przychodzić mi taka dzika myśl, że ja musieć dziurę do nieba wydrzeć, że-

by Boga znaleźć. Potém, ja bylam słyszeć, jak oni czytać w biblii, że jednemu człowiekowi Bóg pokazać się na boisku, — więc ja myśleć sobie, że i ja możeby Go zobaczyć, gdyby ja mieć boisko. Więc ja sobie kawałek ziemi pod drzewami ubić tak mocno jak tylko mózż i tam modlić się, — ale On nieprzyjść!—

Potém znowu raz było wielkie nabożeństwo, więc ja sobie myśleć żeby tam pójść zobaczyć, czy ja Go tam nieznaleźć, — bo Missis w Niedzielę pozwalać nam była na nabożeństwo. — I ja pójść do namiotu gdzie być nabożeństwo, i słuchać jak oni tam śpiewać, a potém słuchać kazania, ale mi się to wszystko zdawać do niczego. Wtém ja usłyszeć jak ktoś czytać z biblii: „O, gdybym ja wiedzieć, gdzie Go znaleźć. Jabym Mu sprawę moję przedłożyć. Jabym usta moje dowodami napęhnić!“ — Ja sobie pomyśleć, że to właśnie być, czego ja sobie życzyć. Potém przyjść noc czarna, i oni wszyscy zapalić światła i pieśni śpiewać, i ja przybliżyć się, żeby słyszeć kazanie. I stanąć tam człowiek bładny i chudy, z czarnymi oczyma i włosami. Ten człowiek mieć kazanie, którego ja nigdy niezapomnieć. Jego text być taki: „On, który syna swego nieżałować, ale Go dobrowolnie za nas ofiarować, jakżeby On nam wszystkiego chętnie nie dać?“ — Otóż, te pierwsze słowa mnie zaraz uchwycić za serce, bo ja także bylam stracić syna. A ten człowiek opowiadać nam kto to być Syn Boski, — że to Jezus; — jak on być łagodny i wspaniały, — jak on wszędzie chodzić i dobrze ludziom czynić. O Boże! cóż to za cudowna historia! A potém, jak oni Go wziąć, cierniową koronę Mu na głowę włożyć, i okropnie krwią zbrozonego na krzyżu przybić! Bóg tak nas kochać, że

swemu Synowi tak wiele za nas cierpieć pozwolić! Moje dziecko, wtedy ja powstać, pójść przed ołtarz i uklęknąć z pobożnemi, i na twarz upaść, — a oni powiadać, że ja być w zachwyceniu. I to bardzo może być. Ja nie wiem gdzie ja być, ale ja widzieć Boga! Mnie się zdawać, jakby mi serce przestać bić; i ja Go widzieć, jak On cierpieć, i krzyż swój nieść i nieść, a jak cierpliwie! I zdawać mi się, że to nietylko wtenczas kiedy Jego na krzyż byli przybić, ale że On i teraz i zawsze za nas cierpieć. Ach, dziecko! ja widzieć jak On nas kochać wszystkich razem i każdego z osobna! A my się tak nienawidzić nawzajem! I wtedy ja poznać że ja zasługiwać tak być nienawidzona jak ja nienawidzić była! „O Panie! — ja tak zawołać, — ja się zarzekać tego! Ja Cię wprzód niebyła widzieć! Ja niewiedzieć, o Panie! co ja być za grzesznica! Ja już więcej niechęć nienawidzić!“ — I wtedy, moje dziecko, taki strumień miłości spłynąć w moje serce, że ja móżdż kochać białych ludzi i ja rzeknąć: „Panie! Ja kochać biedną Mis Harrit, która wszystkie moje dzieci sprzedać, i która być winna śmierci mego Alfreda! Ja ją kochać!“ — Dziecko moje, mnie wtedy zwyciężyć krew Baranka! Gdyby to był lew, jabym mu się potrafić opierać! Ale Baranek mnie zwyciężyć!

Kiedym napowrót przyjsć do siebie, ja się uczuć jakby dziecko. Ja pójść do Mis Harrit. Ja z nią niemówić od czasu śmierci Alfreda. Ona być chora i siedzieć w swoim pokoju. Biedactwo być bardzo blada i żółta, bo jēj syn ciągle się upijać i dużo ją kosztować. Więc ja przystąpić do niēj i rzec: „Mis Harrit ja widzieć Boga, i ja już teraz niemóżdż być twardego serca. Ja was

kochać z całego serca, jak Bóg nas kochać!“ — Moje dziecię, trzeba było widzieć, jak ta kobieta płakać; — ona powiedzieć do mnie: „Milly, ja być wielka grzesznica!“ — Ale ja jęj odpowiedzieć: „Mis Harrit, my obiedwie być grzesznice, i dla tego my powinny sobie nawzajem wybaczać. Was uwieść pokusa, ale Jezus już dla nas obu wyrobić przebaczenie!“ I od tego dnia ja już niemieć żadnych zajść z Mis Harrit, — my stać się siostrami w Chrystusie. Ja jęj pomagać znosić jęj krzyż, a ona mnie pomagać znosić mój. A jęj krzyż ciężki być, bo jednego dnia ludzie byli przynieść do domu niezwywego jęj syna, który pijany nabijać strzelbę, i samo serce sobie przestrzelić. Wtedy ja sobie przypomnieć, jak ja prosić była Boga, żeby on jęj w dwójnasób odplacić; ale wtedy już co innego mnie być w głowie. Gdybym była potrafić biednego Jerzego wrócić do życia, to jabym to być zrobić; — całą noc ja trzymać głowę biednej pani na moich rękach, — a ona ciągle płakać. To ją też do grobu wpędzić, — ona niedługo potem żyć i ciągle być gotowa umrzeć. Ona posłać odkupić syna mojej córki Łucyi, naszego Tomtita, i mnie go oddać. Biedaczka ona zrobić co móż! — Ja całą noc przy nięj czuwać, kiedy ona umierać. — Oh, Mis Nino, ile razy was pokusa uwodzić, żeby wy kogo nienawidzić, to wy sobie tylko pomyśleć, co by to być, gdyby on umierać.—A ona bardzo ciężką mieć śmierć, biedna pani; — grzechy ją bardzo przygniatać. „Ach, Milly, — ona tak mówić do mnie, — Bóg i ty móż mi przebaczyć, ale ja sobie sama przebaczyć nie móż!“ Ja ją uspakajać, i mówić żeby o tém niemyśleć. Ale ona bardzo długo się męczyć, — całą noc konać, a ciągle wo-

łać: „Milly, Dobra Milly! Ach, Milly, ty być przy mnie!“
I ja czuć, że ja ją kochać, jak swoją własną duszę; a
kiedy dzionek zaświtać, i Pan ją uwolnić raczyć, to ja
ją złożyć na łóżku, jakby ona być jedno z moich dzie-
ci. Ja wzięść jej rękę w swoją, ona jeszcze być ciepła
choć bezsilna; wtedy ja sobie pomyśleć: „Biedaczko!
jak to mogło być, że ja ciebie dawniej tak nienawi-
dzieć?“ — Ach dziecię, my nikogo niepowinni nienawi-
dzieć; my wszyscy być biedne istoty, — a nad nami
być Bóg, który nas wszystkich zarówno kochać!“ —

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.



Antykw. Naukowy
Poznań 87.06.20.
- 900-25